

MAGAZYN

BIĄŁY KRUK

ISSN 2544-6304

NR34 marzec – sierpień 2026



SEN

OPOWIADANIA

EWA GRZYBOWSKA ŚCIEŻKI CIENI

M.P. HARDY OSTATNI PORTRET

WOJCIECH MOSKA BEZSEN

AGATA KUBALA PODMIANA

AGATA SOBISZ NARCYZ

ALEKSANDRA SZŁAPKA KOLEKCJONER

MICHAŁ P. LIPKA KOT

E. DUNDER ENTERGATE

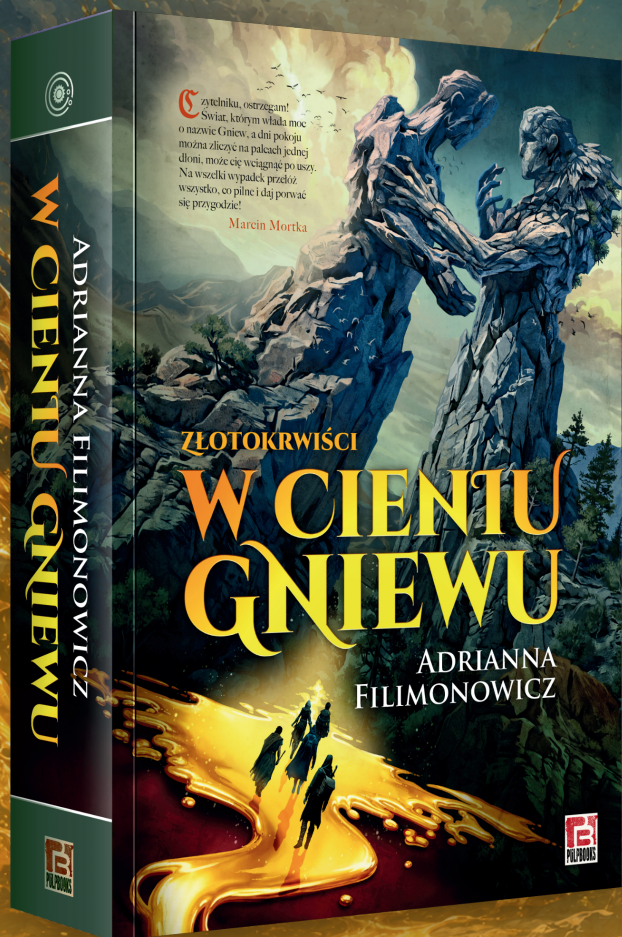
PIOTR SZCZEPONIK ARCHIWUM MYŚLI ZGUBIONYCH

ALICJA KACZMAREK ODWILŻ



Czytelniku, ostrzegam! Świat, którym włada
moc o nazwie Gniew, a dni pokoju można
policzyć na palcach jednej dłoni, może cię
wciągnąć po uszy. Na wszelki wypadek przełóż
wszystko, co pilne i daj porwać się przygodzie!

Marcin Mortka



Już w sprzedaży!

www.pulpbooks.pl/sklep

P PULPBOOKS



CZYTAJ OGLĄDAJ ZASUBSKRYBUJ

GOŚCILI U MNIE MIĘDZY INNYMI

Marek Oramus, Jarosław Grzędowicz,
Rafał A. Ziemkiewicz, Andrzej Ziemiański, Tomasz Kołodziejczak,
Wojtek Sedeńko, Konrad T. Lewandowski, Jacek Piekara,
Wiktor Żwikiewicz i wielu innych znamienitych twórców - nie tylko fantastyki



@PiotrGociekZaprasza

www.piotrgociek.pl

Audiodeskrypcja okładki dla osób niewidomych i słabowidzących

Ilustracja wykonana w technice cyfrowej. Dominują kolory czerni, granatu i fioletu poprzecinane białymi elementami i delikatnym czerwonym akcentem w dolnej części.

Na pierwszym planie, z centrum fioletowo-granatowego tła przywodzącego na myśl nocne bezgwiezdne niebo, wylania się świetlista biała głowa niezwykłego bytu. Długie czarne włosy okalające twarz bez rysów zlewają się w nieprzenikniony cień spływający ku dołowi okładki, a po bokach płynnie łączący się z gradientowym tłem. Istota opiera brodę na równie świetlistych dłoniach o smukłych, szpiczastych palcach bez paznokci. Prawą ręką dotyka lewego nadgarstka, a wyprostowanym wskazującym palcem lewej dłoni przeciąga lekko po czerni przed sobą niczym malarz pędzlem. Od opuszki biegnie po łuku smuga białego światła lub gwiazdnego pyłu przecinająca mrok. Kształtem i fakturą przywodzi na myśl fragment galaktyki z pasem jasnych gwiazd lub granicę między światami. Reszta sylwetki niezwykłego bytu ginie w mroku tła.

Na drugim planie, wokół postaci, unoszą się różnej wielkości ciemnoniebieskie rozety inspirowane mandalami. Księżycowy blask bijący od tajemniczej istoty oświetla je delikatnie – każdą pod innym kątem. Największa, jasnofioletowa rozeta jest częściowo skryta za głową bytu i tworzy wokół niej aureolę. Niezwykła istota sprawia wrażenie sennej lub zamyślanej.

W górnej części okładki, nad postacią, złożono wersalikami, bezszeryfowym krojem pisma wycelowany napis: „Magazyn Biały Kruk”. Tuż pod nim, po lewej stronie, umieszczono mniejszą czcionką: „ISSN 2544-6304”, a po prawej – nieco większą czcionką: „Numer 34 marzec – sierpień 2026”.

Przed istotą z cienia, trochę ponad jasną smugą gwiazdnego pyłu, znajduje się biały tytuł numeru: „Sen” – złożony wersalikami, szeryfowym krojem pisma. Nieco poniżej smugi, po lewej stronie, mniejszymi literami napis: „Opowiadania” wraz z listą zamieszczonych w numerze dzieł oraz ich autorów, których nazwiska wyszczególniono kolorem czerwonym.

W prawym dolnym rogu okładki umiejscowiono logo wydawcy – wpisany w koło biały zarys popiersia kruka patrzącego w bok na tle rozgwieżdżonego niebieskiego nieba. Głowa ptaka skierowana jest w lewo. Po jego prawej stronie, na granicy okręgu, zarysowano czerwony sierp księżyca. Na samym dole w dwóch wersach, czarnymi bezszeryfowymi wersalikami z białym konturem, złożono nazwę: „Biały Kruk, Klub Miłośników Fantastyki”.

Okładka jest mroczna i tajemnicza. Ciemne barwy i zagadkowa postać, która może budzić skojarzenia z wędrowcem ze świata między jawą a snem, podkreślają oniryczny, momentami niepokojący i surrealistyczny klimat zawartych w numerze utworów. *Kat Grzywacz*

REDAKTOR NACZELNY: **Grzegorz Czapski**

WYDAWCA: **Klub Miłośników Fantastyki „Biały Kruk” KRS: 0000845571 ISSN: 2544-6304**

ADRES KONTAKTOWY: **magazyn@bialykrak.org**

REDAKCJA I KOREKTA TEKSTÓW: **Grzegorz Czapski, Agata Gońbek, Natalia Kubicius, Michał Pleskacz, Agnieszka Turbakiewicz, Marta Choińska-Młynarczyk, Ewa Ryfun Jakubowska, Magdalena Zwolińska, Ewelina Bełz, Magdalena Siry, Anna Bolińska, Justyna Krawczyk, Małgorzata Sołkiewicz, Karla Kuźnicka, Jakub Nastała, Kat Grzywacz, Aneta Stawiszyńska-Marciniak**

OCENA TEKSTÓW: **Grzegorz Czapski, Anna Bolińska, Karol Lięcki, Bartłomiej Kilański, Maksymilian Rzeziński, Ewa Ryfun Jakubowska, Janina Zabielska, Natalia Kubicius**

SKŁAD I ŁAMANIE TEKSTÓW: **Grzegorz Czapski, Lidia Godlewska** PROJEKT LOGOTYPU: **Paweł Iwaniuk**

GRAFIKA NA OKŁADKĘ: **Anna Stefaniak** PROJEKT OKŁADKI: **Karolina Żuk-Wieczorkiewicz**

ILUSTRACJE / FOTOGRAFIE: **Karolina Ortyńska, Małgorzata Lewandowska, Ewa Grzybowska**

M A G A Z Y N

BIAŁY KRUK

2 _____ Wstęp

ARTYKUŁ

5 _____ Wiktoria Król
_____ Burzliwe życie Teodora Triplina

O P O W I A D A N I A

29 _____ Wojciech Moska
_____ **Bezszen**

47 _____ Piotr Szczepońnik
_____ **Archiwum myśli zgubionych**

63 _____ M.P. Hardy
_____ **Ostatni portret**

86 _____ Michał P. Lipka
_____ **Kot**

109 _____ Agata Kubala
_____ **Podmiana**

118 _____ Ewa Grzybowska
_____ **Ścieżki cieni**

142 _____ Agata Sobisz
_____ **Narcyz**

158 _____ Aleksandra Szłapka
_____ **Kolekcjoner**

173 _____ E. Dunder
_____ **Entergate**

194 _____ Alicja Kaczmarek
_____ **Odwilż**

Wstęp

Oniryzm jako konwencja literacka swymi korzeniami sięga już starożytności, kiedy to rozpoczęto opisywanie marzeń sennych oraz koszmarów. Motyw snu wykorzystywano często do ukazywania wizji, prorocत्व i wiadomości od istot wyższych, zwłaszcza bogów. Chociaż te wizje często bywały niezrozumiałe dla bohaterów, przybierając absurdalne i irracjonalne obrazy, ukazywały nam również odbicie duszy bohatera. Jednak prawdziwa kariera oniryzmu rozpoczyna się w XX wieku. Przykładowo: w swoich utworach sny opisywali Franz Kafka, Michaił Bułhakow oraz Bruno Schulz.

Jeśli zaś chodzi o fantastykę, to chyba nie da się nie wspomnieć, że właśnie w początkach XX wieku sny w przerażające, odbierające poczytalność wizje uzbroidł H. P. Lovecraft, który zsyłał je na bohaterów swoich utworów poprzez Wielkich Przedwiecznych, z samym Cthulhu na czele. Jak wiemy, ojciec współczesnej grozy często opisywał rzeczy, które śniły się jemu samemu, co czyni je jeszcze bardziej przerażającymi, bo przy lekturze możemy zanurzyć się na moment w wizjach cierpiącego na różne schorzenia umysłu.

Z obecnych dziś w środowisku fantastyki polskich autorów, którzy wykorzystali ciekawie motyw snu, przychodzi mi do głowy między innymi Wojciech Guńia, który w swoim zbiorze *Dom wszystkich snów* przedstawił w weirdowy sposób oniryczne wizje, które naraz zachwycają, przerażają i wywołują odrazę. Skumulowane tworzą tzw. sieczkę z mózgu próbującego zrozumieć, co się właśnie dzieje na kartach książki czytelnika. Jednak sen nie musi być zrozumiały.

Filmowo sen też nie raz był ukazywany. Chyba wszyscy kojarzą *Incepcję* Christophera Nolana, gdzie podróż przez wymysły świadomości była wręcz skokiem w utajone, okryte niesławą zakamarki ludzkiej psychiki. Wspomnieć również można o Freddym Kruegerze, ze znanego horroru *Koszmar z ulicy Wiązów*, gdzie

mordował swoje ofiary w snach. Również historia Sandmana, bohatera komiksu napisanego przez Neila Gaimana, ukazuje ludzkie sny jako miejsce akcji, a stan nieświadomości zostaje uosobiony.

Jak widzicie, motyw snu może być bardzo szeroko wykorzystany w popkulturze i autorzy bardzo często potrafią nas zaskoczyć. Do tego zdaję sobie sprawę, że wymieniałem tylko ułamek, nie rozpisując się np. o *Piaskunie* Hoffmanna czy *Kongresie futurologicznym* Stanisława Lema, gdzie sny i wizje odgrywają dużą rolę fabularną.

W numerze trzydziestym czwartym – „Fantastyka oniryczna i podróż w sen” (w skrócie „Sen”) – znajdziecie łącznie dziesięć opowiadań. Dziewięć z nich zanurzy Was w niesamowitym świecie sennych marzeń, ale również i koszmarów. Z kolei dziesiąte, czyli *Odwilż*, autorstwa Alicji Kaczmarek, pozwoli Wam wrócić do numeru „Zima/Frostpunk” (jest to jedno z trzech opowiadań z listy rezerwowej).

W publicystyce wraz z artykułem *Burzliwe życie Teodora Tripplina* powraca na łamy naszego czasopisma Wiktoria Król. Ilustrację okładkową przygotowała dla nas Anna Stefaniak.

Dziękujemy!

W imieniu redakcji „Białego Kruka” życzę Wam miłej lektury!
Redaktor Naczelny
Grzegorz Czapski



Burzliwe życie Teodora Tripplina

Wiktoria Król

Czy wiecie, że pierwszą polską powieść science-fiction napisał Kaliszzanin Teodor Tripplin? W 1858 roku, pisarz, wydał dwutomowe dzieło, zatytułowane *Lunatyka podróż po Księżycu*. Według badaczki z Uniwersytetu Warszawskiego – Joanny Mikołajczuk, stanowi ono nie tylko unikatowy przykład romantycznego SF w literaturze polskiej, ale jest też ważnym pomostem między osiemnastowiecznymi utopiami, a fantastyką naukową XX wieku^{1,2}.

Zaraz, zaraz! – powiecie, a co z Michałem Dymitrem Krajewskim i jego powieścią *Wojciech Zdarzyński, życie i przypadki swoje opisującego* (1785)?

1 J. Mikołajczuk, *Romantyczne science-fiction. Przyszłość według Teodora Tripplina*, „Literatura Ludowa” 2019, vol. 63, nr 2, DOI: 10.12775/LL.2.2019.004.

2 J. Mikołajczuk, *Wyznaczniki gatunkowe fantastyki naukowej wg Teodora Tripplina „Lunatyka podróż po Księżycu”*, „Creatio Fantastica” 2018, nr 2 (59), s. 69-94, DOI: 10.5281/zenodo.3311730.



Portret Teodora Teuttolda Tiplina
autorstwa Józefa Simmlera

Tak. Również i o tym autorze mówi się, że dał początek nurtowi prozy fantastycznej w naszym kraju. Powyższe myślenie jest jednak błędne. Wyżej wymienione dzieło to utwór typowo oświeceniowy, zupełnie daleki od wizji istotnej dla założeń science-fiction.

Pisarz opierając się na modnym, w owym czasie, schemacie narracji rozprawia się w tekście ze wszystkimi wadami sarmackiego stylu życia. Bohater utworu, odbywa podróż na Księżyc balonem. W literaturze rodzimej, motyw statku powietrznego, był nie lada nowinką technologiczną. Krajewski, sam jednak tego nie wymyślił. Zainspirowany m.in. *Tamtym Światem* (1657) Cyrano de Bergeraca, przyznał, że wzorował się na twórczości francuskiego pisarza³.

³ Tamże, s. 74.

Niestety pomysłu Michała Dymitra nie kontynuowano. Po oświeceniu nastała epoka romantyzmu, która nie sprzyjała pisanu o nauce i technice, a wręcz się od tych zagadnień odwrócono. *Mędrca szkiełko i oko* zostało zastąpione przez *czucie i wiarę*, jeszcze zanim nauka na dobre się zadomowiła w twórczości literackiej.

Dziewiętnastowieczna fantastyka czerpała z podań ludowych oraz wierzeń w duchy i rusalki. Na tym tle wyróżniał się doktor Tripplin (tak, był też lekarzem), który w wymienionym wcześniej utworze (*Lunatyka...*), z wyprzedzeniem, nawiązywał do wczesnego pozytywizmu.

Lunatyka podróż po księżycu uznawana jest za pierwszą w pełni ukształtowaną polską powieść science-fiction. Czy słyszę kolejne – Zaraz, zaraz!? Fakt! Adam Mickiewicz również miał pomysł na monumentalne dzieło *Historię przyszłości*, gdzie w pierwszej wersji z 1829 roku miał pisać o komunikacji międzyplanetarnej czy teleskopach wiszących na niebie, przez które można byłoby oglądać całą Ziemię. Problem w tym, że tekst ten nigdy nie został opublikowany i znany jest jedynie z niewielkich fragmentów oraz listów do przyjaciela Antoniego Edwarda Odyńca. Być może Mickiewicz mógłby zostać pierwszym polskim pisarzem SF, ale to Teodor jako pierwszy taką powieść opublikował w całości.

Dzieło Tripplina składa się z dwóch tomów. Pierwszy, *Lunatycy, czyli przepowiedziane nieszczęście*, to literatura obyczajowa. Na jej kartach poznajemy głównego bohatera Serafina Bolińskiego, człowieka opisanego jako słabowitego, melancholijnego i wrażliwego na fazy Księżyca, które powodują u niego lunatyzm. Jak się okazuje, ma to ścisły związek z pełnią, podczas której mężczyzna przedwcześnie przyszedł na świat. Widzimy tu typowego bohatera romantycznego, który idealnie wpisuje się w założenia epoki.

W drugim tomie, pt. *Podróż po Księżycu odbyta przez Serafina Bolińskiego*, Serafin trafia na Srebrny Glob podczas snu. Satelita Ziemi jest zamieszkaną przez dusze zmarłych mieszkańców planety nazywanych Selenitami, którzy żyją w dostatku, w bardzo zaawansowanym technologicznie świecie.

W treści odnajdziemy, między innymi gadające książki w kształcie zegarka – pierwowzór dzisiejszych audiobooków:

[...] pobiegł do szafy także w ścianę wmurowanej, w której leżało ze dwieście mniejszych i większych puszek kształtu zegarków.

— Te zegarki nazywasz książkami? — spytam zdziwiony.

— Bo te zegarki istotnie są książkami, u nas się nie czyta oczyma, lecz uszami. Nakręć tylko każdy z tych zegarków, a wypowie ci głosem ludzkim od początku aż do końca wszystko to, co zawiera. Chcesz, żeby przestał mówić, to zakręć tą sprężynką; chcesz wrócić do poprzedniego rozdziału lub do przeczytanej myśli, to się tylko spytaj tym indeksem, posuwając go jak w telegrafie elektrycznym, o co ci idzie, a natychmiast wróci maszyna do rozdziału lub do przeczytanej myśli i najspokojniej w świecie, nie gniewając się, powtórzy ci to samo i sto razy, jeśli tego zażadasz. [...] Przekonaj się tylko: wybierz sobie jaką chcesz książkę i zakręć ją, a zaraz ci zacznie gadać, co w sobie zawiera. Tytuły wypisane na każdej książce fosforycznym atramentem, świecącym w ciemności⁴.

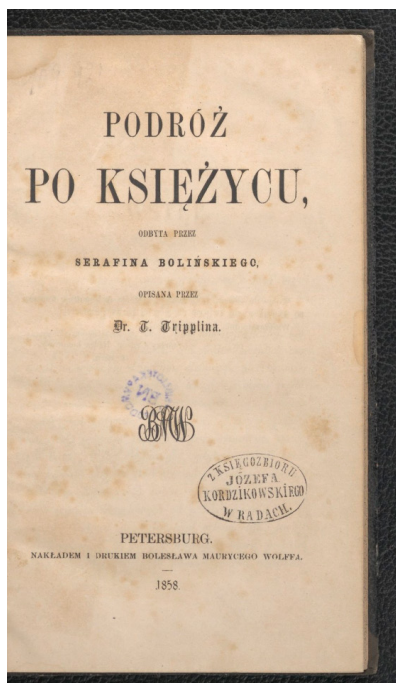
asystenta głosowego:

Patrz na ten globusik, wiszący u sufitu na cieniutkim druciku. Zgadłbyś, że to zegar mówiący i odpowiadający na pytania? Spytałem go się w języku, którym my przemawiamy w naszym kraju, o godzinę, a zobaczysz, co nastąpi. Istotnie skrzydlaty doktor zwrócił się do globusika i przemówił kilka wyrazów dla mnie niezrozumiałych. Globusik natychmiast odpowiedział kilka wyrazów, także dla mnie niezrozumiałych, dźwięcznym i miłym głosem⁵.

Jest też telegraf akustyczny, czyli dzisiejszy telefon, który mógł wysyłać wiadomości na duże odległości, ale działał wolniej niż zwykły aparat (dźwięk jest wolniejszy niż elektryczność). Tripplin mógł słyszeć o eksperymentach z przesyłaniem głosu przez Charlesa Page'a i Innocenzo Manzettiego w połowie lat 40 XIX wieku. Co więcej, *Podróż po Księżycu...* powstała siedem lat wcześniej niż *Z Ziemi na Księżyc* (1865) Juliusza Verne'a, co czyni Tripplina prekursorem również europejskiej fantastyki naukowej!

⁴ T. Tripplin, *Podróż po księżycu, odbyta przez Serafina Bolińskiego*, Petersburg 1858, s. 24-25.

⁵ Tamże, s. 21.



I tak podstępem, pisząc niby o fantastyce onirycznej i podróży w sen, postanowiłam podzielić się z wami życiem Teodora Tripplina. Zapewniam, że żaden tekst literacki nie będzie tak bogaty w zwroty akcji jak jego zyciorys. Zapnijcie pasy!

Od Powstania Listopadowego do medycyny

Teodor Teuttold Stilichon Tripplin, pseudonim „Teuttold”, pochodził z rodziny hugenockiej, której przodkowie zostali zmuszeni do opuszczenia Francji na skutek prześladowań religijnych wymierzonych w protestantów. Po okresie tułaczki rodzina ostatecznie osiedliła się w Kaliszu,

gdzie bohater tej historii urodził się 13 stycznia 1812 roku. W wieku szkolnym Teodor uczęszczał do pruskiej szkoły kadetów, gdzie jego ojciec wykładał filologię klasyczną. W 1830 roku, w wieku 18 lat, wstąpił do wojska i wziął udział w Powstaniu Listopadowym. Rok później, pod koniec toczących się walk, ranny, trafił do Elbląga gdzie przez dwa miesiące leżał nieprzytomny z gorączką. Po wszystkim, wraz z wujem – oficerem pruskim, udał się do Królewca (dzisiejszy Kaliningrad). Tam przez pół roku intensywnie przygotowywał się do egzaminu dojrzałości. Nauka poskutkowała i maturę zdał z wyróżnieniem. Wybrał studia medyczne. Oficjalnie zarejestrowano go jako studenta wydziału lekarskiego w dniu 10 lutego 1832 roku. Nie wiadomo, czy studia skończył. Nie zachowały się jego oceny ani dokumenty potwierdzające uzyskanie stopni naukowych poza kwitem za świadectwo odejścia z 18 października 1836 roku⁶.

⁶ A. Skrobicki, *Z pobytu lekarzy polskich w Królewcu po powstaniu listopadowym*, „Komunikaty Mazursko-Warmińskie” 1997, nr 3, s. 469.

Tripplin jedzie do Anglii i poznaje Dickensa ale wraca do medycyny

Świeżo upieczony (być może?) lekarz wsiadł na statek kupiecki, by udać się do Anglii. Miał ze sobą listy polecające od znanej angielskiej pianistki Anny Robeny Laidlaw adresowane do jej przyjaciół i krewnych w Londynie. Skąd ją znał? Nie wiadomo. Dzięki poleceniu, Teodor trafił do salonu literackiego pewnej pani Hethrington (nazwisko to, jak sam przyznawał, było zapewne pseudonimem używanym z ostrożności). W tym kręgu spotkał elitę literacką i artystyczną epoki, a nawet późniejszego premiera Benjamina Disraeliego. Na jednym z wieczorków zobaczył młodego Charlesa Dickensa. Wedle późniejszych opowieści Tripplina spotkanie przebiegało następująco: „Kto jest ten młody gentleman, tak przystojny, rozmawiający tyle z panną Jane Burney? pytam gospodyni. To Charles Dickens, ten sam, który pisze podobno owe *Sketches of London* w „Morning Chronicle”. Zabawne to artykuły, ale nie wiemy z pewnością czy z jego pióra wypływają. Ma mieć wiele dowcipu; nie znam go bliżej. [...] Ale coś panu wpadło w oko? [...] Racz mnie pani przedstawić panu Dickens”⁷. Nie byłoby w tej scenie nic nadzwyczajnego, gdyby nie zakończenie owego wspomnienia, bo okazuje się, że nikomu nieznany jeszcze Dickens miał zaszczyt poznać doktora Tripplina: „Panie Hethrington! panie Hethrington! Francis! – zawołała dumna Corinna Bromley – wyświadczyć panu Dickensowi zaszczyt przedstawienia go doktorowi Tripplinowi”⁸.

W przyszłości, Teodor zasłynie jeszcze z kilku rzeczy, chociażby wysokiej samooceny. Szerokie znajomości będą mu towarzyszyć przez całe życie.

Po krótkim pobycie w Anglii, lekarz dotarł do Francji i w 1836 roku zamieszkał w Montpellier, gdzie kontynuował studia. Po czterech latach zdobył doktorat z medycyny i chirurgii. Lecz i tam miejsca długo nie zagrzał, „zwiedził wzdłuż i wszerz Francję, nie osiadając nigdzie na dłużej nad kilka miesięcy, bo zaledwie bliżej z jaką obeznał się miejscowością, już ciągnęło go dalej, nawet bez

⁷ W. Ziemacki, *Polskie Dickensiana*, „Myśl Narodowa” 1937, R. 17, nr 21, s. 325.

⁸ Tamże.

względu na klientelę, którą sobie gdzieniegdzie wcale obfitą wyrabiał”⁹. Inne źródła podają, że żył w małym górskim miasteczku w dolnej Alzacji, gdzie praktykował medycynę i całkiem nieźle zarabiał. Miał posiadać dom z ogrodem i kawałek pola. Lecz i w tej relacji pojawia się informacja, że nogi go świerzbiły do kolejnych podróży: „Byłby zapewne zdobył niezły majątek, gdyby nie jego nieokiełznany temperament, który nie pozwalał mu siedzieć długo w jednym miejscu”¹⁰.

Będąc we Francji spędził syna Juliena Jeana Stanisłasa Tripplina¹¹ z niejaką Hortense Boulanger. Julien przyszedł na świat w 1843 roku w Strasburgu i w przyszłości został optykiem, horologiem¹² i astronomem. Nie wiadomo, czy z ojcem utrzymywał jakiegokolwiek kontakty. Tak czy siak Teodor opuścił Francję i wyjechał do Hiszpanii, gdzie wstąpił do wojska jako lekarz. Od czasu do czasu odbywał wycieczki do Portugalii albo dalej, do Afryki.

Kiedy „już uprzykrzył sobie przyrodę południa” – bo przecież nikt z was nie uwierzy, że zapuścił w końcu korzenie – „wyruszył na północ, do Danii, Norwegii i Szwecji, następnie do Anglii, z których to podróży pierwsze swe sprawozdanie w 1842 r. ogłosił w Poznaniu”¹³. Kolejnym krokiem było wydanie książki. W 1844 roku wydał przyszły bestseller – *Wspomnienia z podróży po Danii, Norwegii, Anglii, Portugalii, Hiszpanii i Państwie Marokańskim*. Książka od razu stała się hitem i doczekała się aż pięciu wydań¹⁴,

9 „Kłoso”, 1877.04.07(19), t. 24, nr 616, s. 256.

10 M. Łyskanowski, *Medycyna i literatura - związki integralne i odwieczne*, „Medycyna Dydaktyka Wychowanie” 1997, R. 29, nr 3-4, s. 59.

11 <https://www.geni.com/people/Julien-Tripplin/6000000216594673825> [dostęp: listopad 2025].

12 Horolog to ktoś więcej niż zegarmistrz. Zajmuje się projektowaniem i budowaniem zegarów, zegarków, chronometrią czyli nauką o pomiarze czasu i przyrządach do jego mierzenia, konserwacją czasomierzy oraz historią pomiaru czasu na przestrzeni dziejów.

13 „Kłoso”, 1877.04.07(19), t. 24, nr 616, s. 256.

14 [...] 4 tomy w Warszawie, 12 tomów w 1852-53 powiększone opisami Włoch, Francji i Szkocji. W 1854 wyszło czwarte wydanie, a po kilku miesiącach piąte (w Petersburgu) zawierające tylko pierwszych osiem tomów z trzeciej edycji. Oprócz tego w Warszawie wydano jako oddzielną pracę dodruk z tomu trzeciego, pt. *Anglia dziś i dziesięć lat temu* [...], „Kłoso”, 1877.04.07(19), t. 24, nr 616, s. 256.

z których jedno miało 12 tomów! Jak pisano w „Bluszczu”: „przez opowiadanie to zyskał tak wielki rozgłos, że pamiętamy z lat pierwszej młodości swej, iż wstydem było przyznać się do nieczytania Tripplina; w Warszawie zwłaszcza panowała istna tripplinowska gorączka”¹⁵.

Poczytny reportażysta i ekscentryczny medyk

Gdy Tripplin zaczynał opisywać swoje wrażenia z wypraw, reportaże podróżnicze w polskiej literaturze dopiero raczkowały. Swoje książki zawsze trochę koloryzował i jak pisano wniósł wyobraźnię „ruchliwą i żywą, dla której wypadki i koleje podróży, równie jak poznawane tu i owdzie postacie, stawały się tylko jakby punktami oparcia, gwoździ snucia na nich bujnych swoich, a zawsze jaskrawo lśniących obrazów”¹⁶.

Krótki pobyt w ojczyźnie, w Poznaniu, rozbudził w nim tęsknotę za krajem. Po kolejnym kilkuletnim pobycie we Francji, w 1848 roku Tripplin wraz z innymi rodakami rozczarowanymi Wiosną Ludów udał się do Galicji. „Tutaj to widziano go na rynku krakowskim w podwójnej roli, lekarza i żołnierza; tu nachylony, pod Sukiennicami, nad rannym kolegą, ujrzał córkę dawnego swego dowódcy, pułkownika w. p. Dunin-Żochowskiego. Chwila była jedyna do wzruszenia i zniewolenia serca, które pod wpływem pewnych uczuć i pewnych wrażeń było zawsze najsilniej. Ujrzał, poznał i poślubił”¹⁷.

Na fali popularności i dzięki wsparciu brata Ludwika, który pełnił posadę starszego cenzora, Teodor z żoną uzyskali zezwolenie na wjazd do Królestwa Polskiego. „Poprzedzony poczwórną sławą: podróżnika, literata, żołnierza i lekarza, przybył Tripplin do Warszawy w 1849 roku. Przybył i w jednej chwili stał się prawdziwym bohaterem dnia. Witano go z entuzjazmem, mówiono tylko o nim, rozchwytywano jego dzieła, recenzje sypały się za

15 „Bluszczy”, 1881.02.04(16), R. 16, nr 7, s. 56.

16 „Kłoso”, 1877.04.07(19), t. 24, nr 616, s. 256.

17 „Wędrowiec”, Seria 4, 1882, t. 1, nr 11, s. 171.

recenzjami, jedne pochlebniejsze od drugih, Tripplin stał się po prostu ulubieńcem Warszawy”¹⁸.

W Warszawie został właścicielem dużej kamienicy przy Nowym Świecie, gdzie prowadził praktykę lekarską i przez jakiś czas był bardzo rozchwytywany: „uderzał z razu excentrycznością zewnętrznego swego postępowania, która, że zakrawała na genialną po trosze niepospolitość, jak zwykle u nas wszystkie nowości, zjednała mu mir w publiczności”¹⁹.

W środowisku lekarskim był uważany za dość dziwnego przybysza. Teuttold twierdził, że wśród warszawskich lekarzy istniał podział na tych, którzy swoją wiedzę nabyli na uniwersyteckich wykładach oraz na tych „którzy nauczali się swej sztuki z kaje-tów”²⁰. Przedstawiciele tej drugiej grupy mieli być dumni ze swojej książkowej wiedzy i z nieufnością patrzyli na kolegę po fachu, który kształcił się za granicą, „był przez takich przyjęty, jak «pies w kręgielni»”, spotkał się z dezaprobatą, podejrzliwością, a nawet wrogością. „Onże «pies w kręgielni»”²¹ miał jednak wielu pacjentów, w tym sporo znanych osobistości, przyjaźnił się również z najznakomitszymi”²². Zazdroszczono mu zażyłych kontaktów, na przykład z Tytusem Chałubińskim – lekarzem, botanikiem i działaczem społecznym, uznawanym za najwybitniejszego Polaka drugiej połowy XIX wieku. Obaj panowie, prawdopodobnie, zaprzyjaźnili się nie przez wykonywany zawód, ale zamiłowanie do Tatr – Chałubiński był zagorzałym taternikiem i współtwórcą Towarzystwa Tatrzańskiego, a Tripplin odwiedził Tatry w czasie jednej ze swoich wypraw.

Poza koneksjami nasz bohater drażnił innych medyków zapewnieniami, że uzdrowił dziesiątki śmiertelnie chorych ludzi i ciężko rannych bohaterów różnych starć wojennych. Chwalił się, że po

18 M. Konopnicka, *Kilka słów o Teodorze Tripplinie i o podróżach jego*, „Wędrowiec” 1882, t. 1, nr 11, s. 171.

19 „Kłosy”, 1877.04.07(19), t. 24, nr 616, s. 256.

20 Tamże.

21 M. Łyskanowski, *Medycyna i literatura - związki integralne i odwieczne*, „Medycyna Dydaktyka Wychowanie” 1997, R. 29, nr 3-4, s. 59.

22 Tamże, s. 59-60.

bombardowaniu Krakowa przez Austriaków wiosną 1848 roku jako „doskonały chirurg uratował życie wielu rannym, lepiej ich operując od słynnych (wskazanych zresztą z nazwiska) krakowskich profesorów medycyny”²³. Lekarze zamiast podważać jego umiejętności lekarskie, krytykowali jego książki, uważając je za okołomedyczne, np. *Hygiena polska czyli sztuka zachowania zdrowia, przedłużenia życia i uchronienia się od chorób zastosowana do użytku popularnego z szczególnym poglądem na okoliczności w naszym kraju i klimacie wpłynąć mogące na tworzenie się słabości, cierpień i chorób* (1857) i *Kalotechnika czyli sztuka zachowania piękności: zawierająca: Hygienę zębów dra Desirabode; Hygienę rąk i nóg pani Lachapelle dra medycyny; Hygienę piersi i kibici Adama Raciborskiego dra medycyny; Hygienę włosów dra Juliusza Massé* (1856) – i że „żadnej nie mają wartości”²⁴.

To raczej nie ubodło lekarza-pisarza, ale swój gabinet lekarski zamienił na salon literacki. „Śród bardzo miłych i gościnnych domów poczesne miejsce zajmował doktor Tripplin niezmiernie ożywiony, fetował gości i bawił. Zbierało się tam towarzystwo bardzo liczne i urozmaicone. Więc literaci, muzycy, malarze, panowie etc., etc. Często urządzano wieczory tańczące. Na takim wieczorze tłok bywał ogromny, młodzieży huk. A mieszkał na Krakowskim Przedmieściu na pierwszym piętrze i z dużym salonem”²⁵. I tak lekarz został najpoczytniejszym polskim prozaikiem, czerpiącym z twórczości tak duże zyski, jakich nikt wówczas w kraju nie osiągał.

Ten zły Kraszewski

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie zazdrość kolegów po piórze. Bo: ileż można pisać książek podróżniczych, skąd brać wciąż nowy materiał? Czy naprawdę autor może być tak płodny? O ile

²³ J. Kolbuszewski, *O doktorze Teodorze Tripplinie i jego wycieczkach*, [w:] „Góry – Człowiek – Turystyka”, Kraków 2011, s. 207.

²⁴ „Bluszcz”, 1881.02.04(16), R. 16, nr 7, s. 56.

²⁵ J. Kolbuszewski, *O doktorze Teodorze Tripplinie i jego wycieczkach*, [w:] „Góry – Człowiek – Turystyka”, Kraków 2011, s. 207.

część z jego książek jak: *Wycieczki po stokach galicyjskich i węgierskich Tatrów* (1856), *Wycieczki lekarza Polaka po własnym kraju* (1858) czy *Dziennik podróży po Litwie i Żmudzi* (1859) na pewno wychodziły spod jego ręki i nie budziły zastrzeżeń, to część z jego reportaży zagranicznych a nawet powieści wydały się krytykom podejrzan. W stolicy rozeszła się plotka, że „doktor Tripplin urządził u siebie fabrykę przeróbek z obcych autorów, po części nawet tłumaczeń, do których przyuczywszy kilku młodych kandydatów na przyszłych pisarzy, z takowych kilkoma następnie śmiało rzutami, zmianami nazw i okoliczności, oryginalnymi wreszcie powiązaniem, wytwarzał dzieła jakoby nowe, które albo pod własnym swoim imieniem, albo niby poprzerabiane z posiadanych przezeń rękopisów nieznanych autorów, bez ustanku w świat szeroki wypuszczał”²⁶. Jeśli było to prawdą, to miał pan doktor głowę na karku.

Wkrótce przyszło jednak cięższe oskarżenie: „Plagiat!” – pisała w „Wędrowcu” Maria Konopnicka dopatrując się podstępów względem Teuttolda. Podobno z dobroci serca podpisał własnym nazwiskiem książkę napisaną rzekomo przez biednego emigranta, który wracał do domu z wygnania.

Żyją jeszcze ci, którzy znali p. H., emigranta, który przybył do kraju w 1857 r., zbliżył się do Tripplina, a następnie, upatrzwszy stosowną chwilę, wyprosił sobie u autora „Wspomnień” podpis, na manuskrypcie podanym za własny utwór proszącego. Utwór ten, sprzedany wydawcy, miał ocalić od głodu rodzinę emigranta. Tripplin z niedarowaną lekkomyślnością żądany podpis położył, nie troszcząc się o niego więcej niż o grosz biedakowi jakiemu rzucony. Tymczasem ów mniemany oryginalny utwór p. H. okazał się nędznym tłumaczeniem z francuskiego. Tego też tylko było potrzeba zoilom²⁷. Krzyknęto: „plagiat!” podano w podejrzenie wszystkie dawniejsze utwory Tripplina, rzucono się na jego dobre imię, jako na rzecz nienawistną, którą mało jest obalić, ale jeszcze nogami zdeptać ją trzeba²⁸.

²⁶ „Kłoso”, 1877.04.07(19) t. 24, nr 616, s. 256.

²⁷ Zoil – złośliwy, niesprawiedliwy krytyk literacki. Pojęcie pochodzi od imienia Zoilosa z Amfipolis, który w swoich dziełach poświęconych Homerowi źle ocenił jego utwory.

²⁸ „Wędrowiec” 1882, t. 39, nr 13, s. 200.

Prawdopodobnie chodziło o *Najnowszą podróż po Danii, Norwegii i Szwecji odbytą w roku 1855 przez skrzypka polskiego* (1857), która miała być plagiatem z utworu *Léonie d' Aunet Le Voyage d'une femme au Spitzberg* (1855). Jak pisała dalej Konopnicka: „Jeżeli Tripplin był użytecznym lub szkodliwym, to nie przez to bynajmniej, że się dopuścił plagiatu lub że się go nie dopuścił. Kwestię tę wszczęto niewątpliwie ponad wszelką jej ważność z osobistej ku pisarzowi niechęci”²⁹. A według niej Tripplin był trudną osobą, przy tym antysemitą, egoistą i bumelantem próżniakiem. Nie rozumiano jego francuskiego poczucia humoru, nazywano go bezbożnikiem; miał obrażać ludzi i stronnictwa swoim wojowniczym usposobieniem.

Ostateczny cios zadał mu jego dawny przyjaciel i pochlebca Józef Ignacy Kraszewski. Podstępnie opublikował recenzję jednego z jego utworów, która zaczynała się od pochwał pod adresem autora, by w drugiej części tekstu zamienić się w oskarżenie o plagiat. Dlaczego to zrobił? To proste – z zazdrości. Teodor był niesamowicie popularny i zarabiał o wiele lepiej niż on sam.

Kraszewski osiągnął swój cel: reputacja pisarza legła w gruzach.

W ciągu dwóch lat, w „Gazecie Warszawskiej” związanej z kręgiem zwolenników Kraszewskiego, ukazało się aż dziesięć tekstów zarzucających Tripplinowi zarozumiałość, pychę i niemoralność. Zarozumiałość i próżność to zrozumiałe, ale niemoralność? Cóż on mógł takiego napisać – pomyślicie sobie. W 1852 roku wydał powieść *Pan Zygmunt w Hiszpanii* z dość odważną sceną erotyczną. Pamiętajcie, to była połowa XIX wieku, a główny bohater poeta i jego ukochana, dama z wyższych sfer przeżywali burzliwy (dosłownie i w przenośni) romans podczas sztormu na statku Maria-Stella płynącym do Ameryki. Któryś z czytelników zasugerował, że scena była aluzją do Cypriana Norwida i jego uczucia do Marii Kalergis. Ktoś inny, anonimowo, przesłał Norwidowi egzemplarz książki z podkreślonymi fragmentami! Norwid do Triplina nie miał pretensji, ale na owe

²⁹ M. Konopnicka, *Kilka słów o Teodorze Triplinie i o podróżach jego*, „Wędrowiec” 1882, nr 11, s. 200.



insynuacje i próbę prowokacji odpowiedział wierszem *Na pokładzie Marii-Stelli*.

Jak żyć z takim piętnem?

Zaszczuty Tripplin postanowił opuścić Polskę i wyjechał do Wiednia, aby pomagać w konsyliach ponoć samemu dr Johanowi Ritterowi von Oppolzerowi. Potem udał się przez Odesę do Konstantynopola, skąd już po dwóch miesiącach przeniósł się do Jerozolimy, a następnie do Grecji i Algierii. Po czym ponownie wrócił do Konstantynopola „gdzie tylko szukał nowych wrażeń”³⁰, aby następnie znów pojechać do Włoch i do Francji. „Tam niebawem otrzymał miejsce lekarza w Rive des Gêres, miasteczku położonem bliskości Vienne. Już był sobie znaczną wyrobił

³⁰ A. Tripplinówna, *Ostatnie lata życia ś.p. T. Tripplina*, „Kłosy”, 1881.02.05(17), t. 32, nr 816, s. 102.

praktykę w tej miejscowości, kiedy go list Garibaldiego powołał na inne pole³¹. Nasz lekarz, pisarz i żołnierz pośpieszył do słonecznej Italii, gdzie otrzymał medal za zasługi i został mianowany na stopień kapitana wojsk włoskich. Jednak w 1860 roku, gdy Garibaldi ruszył pod Castelfidardo, wycofał się z armii. Tłumaczył się tym, że jako Polak nie może walczyć przeciwko papieżowi. Wrócił do Jerozolimy, gdzie przez rok pracował w szpitalu, a przy okazji odbywał podróże po Bliskim Wschodzie.

Po tym czasie zamieszkał w Rzymie. Tu oddał się pracy literackiej i jednocześnie „otrzymał od kardynała Riario Sforza polecenie, aby zbadał i udowodnił wspólne pochodzenie wszystkich aryjskich języków”³². Przez dwa lata pracował nad tym zadaniem jednocześnie ucząc się języka włoskiego. Nie wiadomo, czy wykonał powierzone zadanie, ale mowy Dantego nauczył się tak dobrze, że za namową tamtejszych pisarzy zaczął publikować w ich ojczystym języku. Oprócz tekstów podróżniczych, które mu od zawsze dobrze szły, zaczął pisać dramaty. Rzekomo cieszyły się wielkim powodzeniem i grywane były w Rzymie, Florencji, Neapolu, Pizie, Siennie i wielu innych miastach w kraju.

Znając jego zamiłowanie do wojaczki niczym dziwnym nie było, że gdy w 1866 roku wybuchła wojna pruso-austriacka, ponownie zaciągnął się do wojska. „Z ostatecznym oswobodzeniem Wenecji złożył oręż, w roku 1868 osiadł w klasztorze Citeriore wraz z jedenastu rodakami i tam pracował jako rolnik, organista, lekarz, filantrop i współpracownik kilku gazet, do których posyłał artykuły beletrystyczne i polityczne”³³. Lecz i tu nie zagrażał miejscą, po rozproszeniu tej niewielkiej wspólnoty, „która z taką prostotą i naiwnością orała zagony Kalabryi”³⁴. Potem wyjechał do Florencji, aby zająć się reżyserowaniem sztuk swojego autorstwa.

Innym razem, żyjąc beztrosko w Sienie, nasz doktor pewnego dnia przyjął pod swój dach rodaka, niejakiego Byszyńskiego, który był studentem trzeciego roku medycyny i choć zdolny, bra-

³¹ Tamże.

³² Tamże.

³³ Tamże.

³⁴ Tamże.

kowało mu funduszy by skończyć naukę. Tripplin, jako że miał dość wysokie mniemanie o sobie jako o lekarzu, postanowił uczyć go osobiście. To nie było jednak dla niego. Znużony byciem profesorem po raz kolejny pojechał do Jerozolimy. W domu zostawił wszystko: rękopisy, dokumenty, dyplomy. Przez dwa lata nie było wiadomo, gdzie aktualnie przebywał. W międzyczasie student przywłaszczył nazwisko swojego nauczyciela i przeniósł się do Bolonii, i później do Pizy, gdzie praktykował medycynę jako doktor Tripplin.

Pogłoska o śmierci

Kiedy prawdziwy Teodor wrócił do swojego domu we Włoszech, i dowiedział się, że były „uczeń” zniknął z całym jego dobytkiem nie rozpaczał, „lecz ze zwykłą lekkomyślnością, zamiast poszukiwania onych, pośpieszył do Turynu, gdzie został współpracownikiem gazety „Il Giorna-le di Torino”³⁵. Bo przecież utrata całego dobytku nie musi od razu oznaczać zaprzestania podróży. Pewnego dnia przeglądając gazetę, natknął się na własny nekrolog. Kradzież mienia to jedno, ale kradzież tożsamości to inna sprawa. Natychmiast ruszył do Pizy, by odzyskać utracone dokumenty i rękopisy. Zamiast tego znalazł skromny grób z napisem Teodor Tripplin. Po oszuście nie było śladu.

Wiadomość o rzekomej śmierci lekarza dotarła do Polski w 1877 roku. W jednym z wielu nekrologów napisano:

Wiadomość podana niedawno przez pisma publiczne o śmierci Dr. Teodora Tripplina, nastąpionéj niby zaprzesztego miesiąca w Pizie, we Włoszech, żywe po wielu znów latach obudziła u ogółu naszego wspomnienie tej oryginalnej postaci, która przed laty mniej więcej dwudziestu i kilku, pojawiwszy się jak błyszczący meteor na horyzoncie Warszawy, jak meteor wkrótce zeń znikła, i zerwaniem wszelkich bezpośrednich z krajem stosunków, stanęła względem niego w jakiejś mitycznej oddali. Teraz dopiero, po kilkakrotnie w ciągu tego czasu doszłych nas wieściach, jak widać fałszywych, o zgonie Tripplina, to jakoby z Turynu, to z Konstantynopola, albo z Kairu, fakt ten, wymieniony powyżej, nie zdaje się ulegać już wątpliwości, a jakkol-

³⁵ Tamże, s. 103.

wiek od lat z górą osiemnastu, pisarz ten przestał w produkcji literackiej czynny brać udział, tym niemniej czujemy się w obowiązku treściwego choć odświeżenia w pamięci czytelników głównych szczegółów z jego działalności minionej, którą w epoce owej nieraz się piśmiennictwu wcale dobrze i zaszczytnie zasłużył³⁶.

Tymczasem żyjący Triplin dalej podróżuje

Sprawa rzekomej śmierci, kradzież rękopisów i utrata wszystkich dokumentów nie zdołowała Teodora aż tak mocno, żeby usiadł na miejscu i choć nie był już taki młody „rzucił się w kolejną awanturę losu. Gdy na Bałkanach wybuchła wojna, ruszył do Serbii, umrzeć z orężem w dłoni, było to jego marzeniem, ideałem”³⁷.

Według źródeł, został ciężko ranny w bitwie pod Cetynią na terenie Czarnogóry, a następnie internowany przez Austriaków i odesłany do lazaretu w Trente. Po opuszczeniu szpitala udał się ponownie do Włoch.

We Florencji, będąc ciężko chorym i bez środków do życia, załapał na ulicy. Przechodnie wezwali pomoc. Ponownie hospitalizowany tygodniami leżał w majakach. Gdy wreszcie się ocknął wezwał przyjaciół: rzeźbiarza Godeckiego i poetę Teofila Lenartowicza. Ci zrobili medykom burę, że na łóżku nie leży jakiś tam włóczęga, lecz wybitny i znany lekarz oraz dawny oficer wojsk włoskich. Pacjenta przeniesiono do jednoosobowej sali i objęto szczególną opieką. Gdy pisarz doszedł do siebie, zamieszkał u Godeckiego, gdzie powoli odzyskiwał siły. W międzyczasie podjął decyzję o powrocie do Polski, ale nie było to łatwe. Przewlekłe wycieńczenie organizmu nie odpuszczało. W Niemczech ponownie trafił na szpitalny oddział z powodu otwarcia starych ran. Podobno raz zemdlął tak mocno, że lekarze uznali go za zmarłego – „słyszał jak mówiono o sekcji, jak się już nawet do niej zabierano; a że raz w czternastym roku życia uległ był letargowi po tyfusie,

³⁶ „Kłosy”, 1877.04.07(19), t. 24, Nr 616, s. 256.

³⁷ A. Triplinówna, *Ostatnie lata życia ś.p. T. Triplina*, „Kłosy”, 1881.02.05(17), t. 32, Nr 816, s. 103.

prawdziwe więc katusze, jak sam opowiadał, przetrwał na łożu śmierci, aż do chwili ocknienia”³⁸.

Wiść o jego dramatycznym stanie dotarła do doktora Czerwińskiego, właściciela uzdrowiska Steinerhof, który postanowił leczyć Teuttolda u siebie. Teodor był u niego krótko, nie wierzył bowiem w cudowną moc hydroterapii i uciekł z sanatorium do Brucku. W tamtym momencie miał tylko jedno życzenie: „aby mu pozwolono udać się do Krakowa, tym bardziej, że go Austria, jako więźnia z pod Cetynji, srogo prześladowała”³⁹.

Przy pomocy tzw. zwangpass (z niem. dosłownie przymusowy paszport – dokument wydawany przez władze administracyjne do celów przymusowej podróży) przetransportowano go do Wiednia. Spędził tam kilka dni w areszcie, a „na uroczyste zapewnienie, że dłużej nad dwa tygodnie nie bawi w Krakowie, z tymże zwangpassem dostał się do grodu do którego tęsknił tak gorąco”⁴⁰. Spełnił więc swoje ostatnie marzenie: wrócił do Polski żywy, choć niewiele brakowało, by umarł w podróży.

Jak pisała Aniela Tripplinówna: „Na dziesięć dni przed powrotem jego do Krakowa przybył do nas niejaki p. Sapiński który go spotkał był w podróży w Brucku do Wiednia i przyniósł nam karteczkę, na której były wypisane nasze imiona. Poznaliśmy pismo stryja, ale uważając go jako dawno pogrzebanego w Pizie przypuszczaliśmy, że p. Sapiński trafił na jakiegoś oszusta chcącego się podszywać pod nazwisko Teodora Tripplina. Dla zdemaskowania więc niegodziwego samozwańca, nie zaś w nadziei, że powitam prawdziwego Tripplina, pośpieszyłam natychmiast do Krakowa, gdzie naturalnie od pierwszego wejrzenia poznałam brata mego ojca, którego pamiętałam z lat dziecinnych. Zabrałam go do hotelu, gdzie przeczekaliśmy dni dziesięć, spodziewając się otrzymać pozwolenie powrotu do kraju”⁴¹.

Mimo osłabienia i nawracających krwotoków doktor ciągle nie potrafił usiedzieć w miejscu. Zwiedzał miasto, odwiedzał starych

38 Tamże.

39 Tamże.

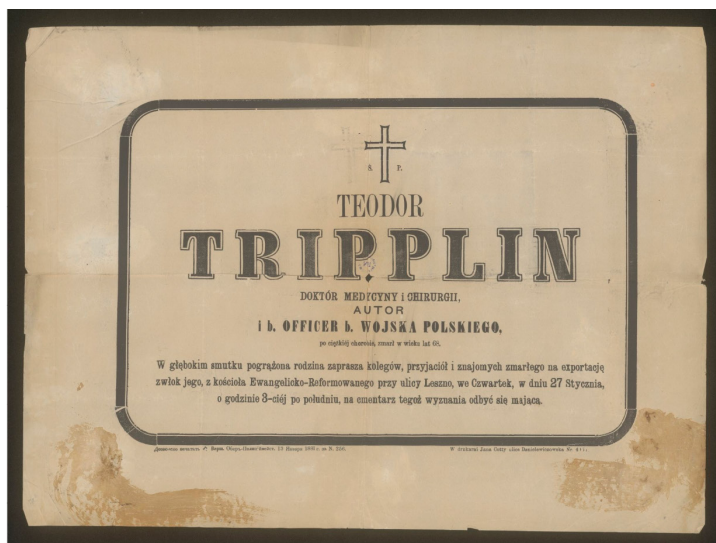
40 Tamże.

41 Tamże.

znajomych, wspiął się nawet na kopce Wandy i Kościuszki. Jak zanotowała Aniela: „wprowadzał w podziw dowcipem swoim, werwą, świeżością pamięci i głębokością uwag”⁴².

Władze rosyjskie nie pozwoliły mu jednak przekroczyć granicy Królestwa Polskiego. Urzędnicy pokazali mu jego własny akt zgonu, ten sam, który wystawiono w Pizie lata wcześniej i odmówili wjazdu. Dopiero dwaj jego przyjaciele Karol Kucz i Bogumił Poland, złożyli oficjalne oświadczenie, że „jako Dr Tripplin jest rzeczywistym Tripplinem”⁴³.

Nareszcie znów w Warszawie



Po powrocie do Warszawy, w 1877 roku, Teuttold nie przestawał pisać. Oprócz czterech tomów *Wspomnień z podróży* stworzył jeszcze kilka powieści, w tym komedii, np.: *Kobiety z duszą*, *Pan*

42 Tamże.

43 Tamże.

Zygmunt w Hiszpanii, Szatański Anioł, ponadto Salvatora Roze i Hrabiomanię. Większość z nich pozostała w rękopisie.

Pragnął „przypomnieć się rodakom i odzyskać dawną popularność. Że mu się to nie udało nie jego wina: zmienili się ludzie, zmieniły się stosunki, a wraz z nimi wymagania i pojęcia; ignorowano pracę starca stojącego nad grobem, którego dzieła rozrywano dawniej, którego nazwisko przez czas długi było na ustach tłumów, a dziś opuszczonego i zapomnianego. W samotności na łonie rodziny dogorywał Tripplin, nie skarżąc się na niewdzięczność społeczeństwa, które tak mocno ukochał, aż przyszła chwila ostatnia i śmierć spokojna i cicha niby kontrast z pełnym burz i przygód życiem”⁴⁴. W momencie jego powrotu do kraju krytyk Henryk Lewestam postanowił raz na zawsze rozprawić się z plotką o jego „fabryce literackiej”, która przez lata nad nim ciążyła. Lewestam zdecydowanie zdementował oszczerstwa, zauważając przy tym, że nie wiadomo nawet, kto pierwszy puścił tę wieść w obieg.

Śmierć prawdziwa

Gdy nasz bohater naprawdę umarł, „Kaliszanin”, gazeta z jego rodzinnego miasta tak pisała o jego śmierci:

Dr. Teodor Tripplin.

(Wspomnienie pośmiertne.)

Na świeżą mogiłę człowieka „co przeboleł wiele, bo ukochał wiele” rzucamy skromny wianek ze słów żalu i serdecznych wspomnień uwity. Zimna dziś skroń trupa, którego złożono doń na sen nieprzespany, nie ugnie się pod brzemieniem laurowych wieńców, tak samo jak nie ugięta się za życia cierniową często dźwigając koronę. Duch, któremu było za ciasno w cielesnej powłoce, który na żyjących przebywając świecie, rwał się ciągle w nieznanne sfery i z człowieka robił legendowego tułacza, co nigdzie się ostać, nigdzie spokoju znaleźć nie może nareszcie wyzwolił się z pęt doczesnych i poszybował tam, gdzie świeci światłość wiekuista⁴⁵.

⁴⁴ „Kaliszanin: gazeta miasta Kalisza i jego okolic”, 20 stycznia (1 lutego) 1881, R. 12, nr 9, s. 35.

⁴⁵ „Bluszcz”, 1881.02.04 (16), R. 16, nr 7, s. 56.

Po śmierci niektóre pisma nadal nie dawały spokoju pisarzowi. Na łamach „Bluszczu” powracano do sprawy plagiatów. Pisano:

Gdyby był nieboszczyk poprzestał na tym jednym liście laurowym, zostawiłby w literaturze, nie świetną wprawdzie, ale dobrą po sobie pamięć: on jednak zapragnął dalszych jeszcze laurów i tego, co za nimi przy rozgłosie i poczytności powszechnej idzie. Zaczął jedne i te same podróże przerabiać, dopełniać, rozszerzać, przyozdabiać, aż wreszcie z dwóch tomów zrobił dwanaście, a z jednego wydania pięć, w krótkim czasie przez łaskawą publiczność spożytych. Brnąc coraz dalej, jął rzeczywistość zastępować zmyśleniem najzupełniejszym; tłumaczył żywcem i przerabiał podróże francuskie, angielskie i niemieckie, podając je za swoje własne, a tłumacząc pośpieszenie, odślonił nierozważnie achillesową sławy swej piętę. Słynne jego „principes” w podróżach pani Audouard niedługo pamiętnemi pozostaną⁴⁶.

W tygodniku „Prawda” autor nie zostawił na zmarłym suchej nitki: „I znowu jeden człowiek zrobił zawsze u nas dobry interes: umarł dr. Tripplin. Przez całe życie nie był ani jedną chwilę tak sławnym, jak dziś po śmierci. Wszyscy pamiętamy, jak to się serdecznie śmiano na samo wspomnienie nazwiska słynnego podróżnika. [...] Nareszcie umarł – a wtedy w naszej prasie ożył. Ona zawsze krzyczy: *le roi est mort, vive le roi* – o każdym!”⁴⁷.

Autor nie bez złośliwej przenikliwości, zauważał, że gdyby pisarz mógł powstać z grobu i przeczytać, co o nim piszą, nie poznałby samego siebie. Nagle okazało się, że był człowiekiem „o wydatnym talencie pisarskim”, wytrwałym w swojej pracy i cechującym się „niepospolitą odwagą w życiu” oraz sercem „przejętym miłością bliźniego i dłońią zawsze otwartą dla tych, którzy cierpieli”. Wszystko to odkryto w momencie, gdy nie mógł już na nic odpowiedzieć. Za życia o takich zaletach nikt nie wspominał; dziś sypano mu kwiaty do grobu, bo wreszcie nie mógł poczuć ich zapachu.

W ogłoszeniu pośmiertnym pisano, że pozostawił po sobie wiele nieopublikowanych rękopisów i że rodzina z pewnością zadba

⁴⁶ Tamże.

⁴⁷ *Nekrologi*, [w:] „Prawda. Tygodnik Polityczny, Społeczny i Literacki.” 1881, R. 1 nr 5, s. 59.

o ich wydanie. Ale publicysta pyta ironicznie: „gdyby ten opłakiwany dziś Tripplin uporządkował był sam i przygotował do druku swe prace «przepełnione miłością ideału», czy to samo pismo, które tak rzewnie szlocha, przyjęłoby mu chociaż jeden artykuł nie nadesłany?”⁴⁸.

To jedno z najcelniejszych spostrzeżeń dziewiętnastowiecznej prasy o samej sobie. Wystarczyło, że ktoś zmarł, a dziennikarze (ci sami, którzy dotąd kpili lub milczeli) prześcigali się we wzruszeniach. W tekście czytamy o „płaczkach pogrzebowych” wylewających łzy na zawołanie. Autor porównuje ten mechanizm do obyczaju wiejskich kobiet, które obmawiają sąsiada, póki żyje, a gdy umrze, chwałą jego cnoty przy kieliszku gorzałki na stypie.

W tym zgryźliwym tekście nie chodziło wyłącznie o Tripplina. Raczej o diagnozę pewnej narodowej skłonności: by najpierw kpić, potem żałować, a na koniec pisać elegie. Zmarły stał się tu nie tyle bohaterem, ile pretekstem do uwagi o społeczeństwie, które łatwiej współczuje zmarłym niż rozumie żywych.

Czy to, o czym tu przeczytaliście przydarzyło się Teodorowi naprawdę? Czy walczył w tych wojnach? Był w tych miejscach? Znał tych ludzi? Trudno ocenić, należałoby zgłębić prasę poszczególnych krajów. We francuskim archiwum Gallica odnalazłam jedynie artykuły o jego synu.

Niemal wszystkie wspomnienia o nim wydrukowano krótko po jego śmierci. Historia stryja spisana przez jego bratanicę Anielę mogła być podkoloryzowana. Nawet jeśli Teodor Tripplin nie miał tak barwnego życia, to z pewnością sami przyznacie: byłby z tego niezły film.

⁴⁸ Tamże.

O autorce

Wiktoria Król – pisze o niepokojących rzeczach, które niestety się wydarzyły. Debiutowała w „Białym Kuku” artykułem *Dinosauria* (2018). W 2021 ukazał się jej kolejny artykuł w „Kuku” – *Cuchnące lato* oraz debiutancka książka o arszenicznym pigmentcie: *Kolor śmierci, odcień grobu, czyli 50 odcieni morderczej zieleni* (Wydawnictwo IX). Książka ta doczekała się w 2025 roku wersji rozszerzonej pod tytułem *Zabójcza zieleń* (Wydawnictwo Kobiace). Pisała również o porywaczach ciał zwanych rezurekcyjonistami (*Gang z Bethnal Green i nikczemne mordy w imię nauki*, Wydawnictwo IX 2023; *Porywacze ciał i burking, czyli brytyjska anatomia w XVIII i XIX w.* w monografii *Człowiek jako lek i obiekt badań*, Wydawnictwo Pharmacopola 2023). Na instagramie znana jako @morderczazielen

Kruki polecają Kruki

Karolina Żuk-Wieczorkiewicz

Karolina Żuk-Wieczorkiewicz

Opowieści z Avaroth



Avaroth.pl

Premiera już 12 września!

Kruki polecają Kruki

Natalia Kubicius



Premiera 3 września!

Bezsen

Wojciech Moska

1. noc

I kłamstwo niepojęte – mrok i sen kamienny.

Nie pamiętam, czyje to słowa, chyba Leśmiana albo Tetmajera. Zawsze przychodzą mi na myśl, gdy czekam, aż ciemność otuli mnie do snu. A przynajmniej tak powinna działać na każdego, kto po zmroku wbija się w miękką pościel, licząc na zasłużony odpoczynek. Niestety... Moja ciemność nie koi nerwów, lecz je nadwyreża. Zamiast pulsować usypiająco, drży bladym ziarnem, nie pochodzącym ani z ogarniętego nocą świata, ani z mojego wnętrza, tylko z tej dziwnej przestrzeni pomiędzy jawą a snem. Przypatruję się temu poblaskowi – co innego miałbym robić? Nie przymknę już przymkniętych powiek, nie ucieknę od oplatającej mnie czerni.

Jakim cudem innym przychodzi to tak łatwo?

Tiiuuuuuuuuuuuuuu...

Znów słyszę gwizd pociągu... Po tak długim czasie – po tylu nocach! – nie powinien być dla mnie zaskoczeniem. A jednak... Za każdym razem, kiedy rozbrzmiewa wokół mnie ten fałszywy ton, wzdrygam się i tracę resztki przekonania, że sen jest tuż, tuż. Że w końcu zaznam ukojenia.

Ustaje tak szybko, jak się pojawił. Zagubiona lokomotywa, zdążająca nie wiadomo gdzie i w jakim celu, milknie, a po obcesowym zawołaniu pozostawia głuchą ciszę. Ta natomiast otwiera mnie na odgłosy z pozoru słabsze, lecz nad wyraz dotkliwe. Wzerają się w głąb mojego mózgu jak świder maszyny górniczej.

Du-dum, du-dum, du-dum...

Słyszę bicie swojego serca, lecz nie czuję go w piersi, tylko przy skroni, przywartej ciasno do wymiętej poduszki. Mimo woli wsłuchuję się w to dudnienie, w tej chwili bardziej hałaśliwe niż wszystko inne. Mam wrażenie, jakbym to nie ja dudnił, tylko oplatająca mnie pościel, która z samej swej natury powinna być miękka i puchata, a wydaje się twarda, ciężka, wręcz ciernista. Jakby po zgaszeniu światła ktoś wepchnął do poszewki parę głązów. Kamienny sen, o tak...

...du-dum, du-dum, du-dum...

Każde uderzenie przywołuje szereg niechcianych myśli, łomot umysłu, wymiętego równie mocno jak ta okropna poducha. I naraż w tę pulsację wkrada się dysonans, dudnienie innej natury, już nie organiczne, a mechaniczne.

...du-dum, du-dum, DUM, du-dum, DUM!

Oczami wyobraźni widzę monstrualne tłoki w jakimś zakładzie na obrzeżach miasta, gdzie setki maszyn zsynchronizowanych poleceniem nocy dudnią, bębnią, stukoczą, łomoczą, tłuką... Taki obraz podsuwa mi otoczony ciemnością umysł. Ale i te dźwięki w końcu cichną. Machiny przerywają bieg, a potem zapadają się pod ziemię i tkwią tam aż do następnego zmięchu.

Znów tylko serce, znów to przenikliwe *du-dum, du-dum, du-dum...* Ach, gdybym tak mógł zawisnąć w powietrzu, nie stykać się już z niczym, trwać w podniebnym letargu bez tych wstrętnych poduch, rozgrzanych kołder, wygniecionych prześcieradeł.

Du-dum, du-dum, du-dum...

Dłużej tego nie wytrzymam! Chrzań się, nocy! Nie pozwolę ci, nie pozwolę...

Wstaję.

Ledwo trzymam się na nogach, jakbym dalej tkwił w tym paraliżującym uścisku. Przez okno wpada blade światło miejskiej latarni, kładzie się jasnym pasem na dębowym stole obok kuchni.

Kątem oka dostrzegam białe linie na cyferblacie piekarnika, ale nie potrafię ich rozszyfrować. Są rozmyte, nieważne, jak długo wbijałbym w nie wzrok. A może to moje oczy powleczone są łzami bezsenności, tą dziwną pajęczyną urojonego światła?

Nawigowany czarnymi krawędziami mebli, idę przez salon. Po omacku szukam telefonu. Na stole, na szafce, na biurku – gdzieś musiałem go zostawić. Przed snem sprawdzałem przecież coś w internecie. Ha... Przed jakim, kurwa, snem?! Od dwóch godzin nie śpię, tylko słucham tego okropnego dudnienia przeplatane-go klangiem maszynierii. Maszynierii? W okolicy nie ma żadnego zakładu, tylko setki identycznych szarych brył oddzielonych od siebie bezbarwnymi chodnikami. Co prawda na obrzeżach miasta biegnie stare torowisko, lecz z tego, co pamiętam, dawno wyłączyli je z obiegu. Słyszałem jednak gwizd pociągu, nie uroiłem sobie tego!

A jeśli to sen?

Nie... Nie zasnąłem. Jestem tego pewien.

W końcu znajduję telefon, zostawiłem go przy poduszce. Ech, powinienem o tym pamiętać, zawsze go tam kładę. Naciskam palcem czarną wypustkę na krawędzi czarnej obudowy i naraz przez tę ciemność przedziera się jaskrawe światło. Instynktownie przy-
mykam powieki, a gdy znów je otwieram, białość przeszywają rozmyte, wielokolorowe kontury. Bramy do cyfrowych otchłani.

Wybieram na chybił trafił jedną z nich, a potem sunę palcem po ekranie, szukając jakiegokolwiek oznaki, że ktoś inny również nie poddaje się siłom nocy – czuwa mimo woli, mimo pragnienia snu. Lecz żadna z bezsennych dusz nie daje znaku życia.

Zerkam w róg ekranu. 3:02.

Powiedziałbym, że męcę się tak dopiero od dwóch godzin – a w rzeczywistości minęły cztery. Nie tylko noc stroi sobie żarty, ale też czas rozciąga mnie na swoim płótnie, rozsmarowuje jak masło na kromce chleba. Po godzinie trzeciej w człowieku takim jak ja, nadprzytomnym i nadczułym, zachodzi subtelna zmiana. Nie czeka się już na sen, lecz na pierwsze promienie słońca. Brzask zwiastujący kres męczarni. Koniec obłądu.

Szmer. Szelest tkaniny. Przez chwilę tli się we mnie nadzieja, ale odchodzi tak szybko, jak przyszła. Nie słyszę już nic. Cisza. Jestem sam, bezradny w uścisku nocy.

3:54. Odkładam telefon na szafkę. Wzdycham. Kładę się na miękkiej, nieco już schłodzonej pościeli, świadomy, że nic się nie zmieni – że przecież nie znalazłem rozwiązania. Ale może jednak się uda? Poduszka pozostanie przyjemna w dotyku, idealnie dopasowana do mojego karku. Błagam! Niech tym razem nie stanie się tym skamieniałym tworem ściśniętym imadłem snu – snu, który nie chce nadejść.

Du-dum, du-dum, du-dum...

Niech tym razem...

DUM.

2. noc

Gdzieś muszą być, na pewno w którejś z tych szafek, chyba w tej nad płytą... O, jest! Jedna tabletką powinna wystarczyć. I melisę sobie jeszcze zaparzę, skoro jest pod ręką. Specjalną, nie taką zwykłą z marketu. Kupiłem ją w zielarskim, tak jak radzili w internecie. Lepiej wezmę dwie saszetki, może zadziała mocniej i szybciej odpłynę. Oby... W końcu zmorzy mnie sen, przyśni mi się coś przyjemnego, a nie te rwące się w szwach koszmary.

Szszszsz...

Zalewam melisę wrzącą wodą, kładę na kubku mały talerzyk. Nie chcę stracić ani trochę ze zbawiennej mocy naparu. Musi mi pomóc, musi! Melatonina, dwie saszetki ziół – razem wzięte na pewno mi pomogą. Wreszcie noc przestanie być moim wrogiem, w zamian stanie się najbliższym przyjacielem, tchnieniem ulgi, wyzwoleniem. Tym, czym być powinna od samego początku. Pozostaje tylko ułożyć się wygodnie, wyciszyć i coś...

Zasnąć.

23:00. Zamykam oczy. Odsuwam na bok wszelkie myśli. Nie pozwalam, by zmieniły się w ciąg słów obijających się bezwładnie o ściany umysłu. Nie myśleć, nie myśleć! Tylko spokój, wyciszenie, medytacja. O tak, sen to pewien rodzaj medytacji. Tak mówią. Do tego powinienem dążyć – odegnąć przeszłość i przyszłość. Być tu

i teraz, zsynchronizowany ze swoim ciałem. Wsłuchać się w jego cichy szept, w to, jak z każdym oddechem się rozluźnia, odrywa od świata jawy i na dobre wkracza do krainy snu. Mrok i sen kamienny, mrok i sen kamienny...

Du-dum, du-dum, du-dum...

...du-dum, DUM, DUM, du-dum, du-dum...

Spanikowany, podnoszę głowę. Próbuje skupić wzrok na cyfrach wyświetlanych tuż pod kuchennym blatem. Nie potrafię jednak ich rozpoznać – rozmywają się, niemal wibrują. Na przemian zamykam i otwieram oczy, aż w końcu wszystko się wyostreza. Z rozmycia wyłaniają się kontury czterech cyfr: dwójka, obok niej trójka, potem czwórka i siódemka.

23:47.

Jakim cudem, nocy!, zdążyłaś okraść mnie z trzech kwadransów? Przecież dopiero co przymknąłem powieki...

Wściekły, opadam na miękką poduchę. Raz jeszcze oplatom się kołdrą, jakby ta mogła ochronić mnie przed bezlitosnym spojrzeniem z głębin ciemności. Przez chwilę leżę na plecach, ale wiem, że nie tędy droga. W tej pozycji nigdy się nie uda. Obracam się na lewy bok, zamykam oczy i próbuję zasnąć. Próbuje, ha... Podskórnie czuję, że słowa takie jak „zasnąć” i „próba” nie powinny stać obok siebie. Muszę tylko się uspokoić. Muszę wsłuchać się w...

Du-dum, du-dum, du-dum...

Zrywam się z łóżka. 00:24.

Biorę telefon i na chybił trafił wybieram jedną z ikon. Instagram, niech będzie. To zawsze kończy się tak samo. Przesuwam palcem po ekranie, śledzę puste kadry z czyjegoś pustego życia. Zabawne... Zawsze dotyczą biegu dnia, nigdy stagnacji nocy. Po zmroku każdy jest samotny – albo otulony kojącym snem, albo pogrążony w wiecznej walce. Tak jak ja teraz, za każdym razem, gdy ogarnia mnie ciemność. Może to ona napawa mnie strachem?

Nie, nie... Godzinami mogę chodzić po mieście bez świateł, nie czuję wtedy lęku. To coś zupełnie innego... Myślę, że przeraża mnie to przedsenne znieruchomienie. Ot, boję się odpłynąć. Kurczowo trzymam się świadomości. Nie wiem dlaczego.

Szmer. Szelest tkaniny. Na skraju pola widzenia widzę gnącą się kołdrę. Głębokie wciągnięcie powietrza. Moja żona. Prawie

o niej zapomniałem w tym nocnym osamotnieniu. Patrzy na mnie nieprzytomnie. Po chwili w jej oczach wyrysowuje się zrozumienie. Nie pierwszy raz zastaje mnie z telefonem w ręce, bezsilnego i pokonanego przez ideę, jaką jest sen. Wzdycha raz jeszcze.

– Znowu nie śpisz, kochanie? – słyszę jej cichy głos.

Nie odpowiadam. Kiwam tylko żałośnie głową. Muszę wyglądać upiornie w tym jaskrawym świetle. Ostre krawędzie policzków. Krogulczy nos. I te oczy – lodowate, wręcz trupie. Mogłem uciec z telefonem do łazienki, ale nie będę udawał przed własną żoną. Minęły już czasy, gdy ukrywałem przed nią swoje problemy. Niech widzi mnie takim, jakim jestem. Poszarpanym przez ostrza nocy szaleńcem.

– Nie śpię – odpowiadam w końcu.

Bez chwili zawahania, jakby planowała to od początku, przyśuwa się do mnie i kładzie głowę na moim barku. Milczy. Jedynym, co słyszę, jest jej miarowy oddech. Chciałbym oddychać tak spokojnie. Tak normalnie.

– Mówiłam ci kiedyś, jak to robię? – pyta wreszcie.

– Co robisz?

– Jak zasypiam.

– Chyba mówiłaś. Jakiś czas temu. Ale możesz powtórzyć.

Choć nie oświecla nas już blask telefonu, to oczami wyobraźni widzę jej pogodną twarz – uśmiech, który przenika najgorsze ciemności. Nigdy bym się do tego nie przyznał, lecz gdy nie potrafię zasnąć, rozpaczliwie oczekuję jej pobudki. Spokoju w chaosie mroku.

– Zamykam oczy – mówi – i myślę o miejscu, w którym jesteśmy razem. Góry, pod koniec lata, jakoś na początku września. Namiot, a w nim my. Słyszę, jak wiatr szepcze za płachtą naszego schronienia. Czuję zapach górskiej roślinności. Widzę mgłę. Przemykającą lasem sarnę. Daleko, daleko za mgłą wyłania się szczyt. Jest pięknie. Jest spokojnie. Zatracam się w tej wizji. Pozwalam jej mnie opleść. – Na chwilę milknie. Uśmiecha się. – I w końcu zasypiam. Nawet nie wiem kiedy.

Sięga po szklankę, bierze łyk wody, po czym otula się szczelnie kołdrą i kładzie po swojej stronie łóżka. Z automatu robię to samo – podciągam bawełnianą tkaninę pod samą szyję i opadam

na poduszkę. Leżąc, nie mogę oprzeć się myśli, że między nami stoi jakieś niematerialne lustro. Po jednej jego stronie istota śniąca, po drugiej – do bólu świadoma. Odbijają się w nim sen i jawa. Bezruch i drżenie. Spokój i obłąd.

Zamykam oczy. Może jednak uda mi się skruszyć tę taflę przeciwności, może i ja w końcu dostąpię kojącej mocy snu.

Namiot w lesie, czemu nie?

Du-dum, du-dum, du...

Zielona płachta, piramidalne wnętrze namiotu poruszane podmuchami powietrza. Wiatr głaszcze rozciągnięty nade mną materiał, ja gładzę skórę wtulonej we mnie istoty. Chłonę zapach lasu, przez który przebija się subtelna woń kobiecej skóry. Widzę jej rozchylone usta, opadające na ramiona włosy i przymrużone oczy, brązowe jak ziemia pod naszymi ciałami. Dłoń opiera na mojej piersi, raz na jakiś czas dotyka mnie czule. Oddycham wolno i spokojnie. Czas płynie swoim rytmem, uspokajam się. Leżymy tak w niemal całkowitym bezruchu, poruszając tylko palcami. Żadnego dudnienia – ani kołającego serca, ani urojo-nej maszynyerii.

Czyżbym naprawdę śnił...?

Zerkam na dociągnięty do samej ziemi suwak. Mówiła o lesie, przemykających sarnach, odległym szczycie. Ogarnia mnie pragnienie, by wyrwać się z jej delikatnych objęć i sprawdzić, co jeszcze czeka mnie w tej sennej rzeczywistości. Rzucam okiem na jej twarz.

Ma przymknięte powieki. Śpi.

Powoli się od niej odsuwam. Przechodzę ostrożnie do klęku. Łapię za suwak i z cichym świstem ciągnę go ku górze...

Miękki grunt. Zapach żywicy. Zieleń mchu. Żdźbła trawy poruszone meandrującym wiatrem. Sarna. Przyczajony lis. Przepastne korony drzew wysoko nade mną. Pomiędzy nimi olbrzymia gór-ska grań. Majestatyczny, szary kamień. Na pewno prowadzi do niej jakaś ścieżka, to oczywiste. Nagle uświadamiam sobie, że nic innego nie ma znaczenia. Muszę tam dotrzeć, na sam szczyt. Nie będę przecież tkwił bez celu w namiocie...

Wychodzę i staję na niewielkiej polance. Kątem oka, przez wąską szczelinę, widzę nieruchome kobiece ciało. Niech śpi, przejdę

się sam. Tylko parę kroków i zaraz do niej wrócę. Wciągam do płuc zapach otaczającej mnie przyrody. Trawa, wilgotna ściółka, kwitnące krzewy. Cudownie...

Stawiam pierwszy krok.

I raptem wszystko zaczyna się zacierać. Tracę grunt pod nogami, a może to ziemia nie stawia mi już oporu. W jednej chwili zrywa się nić łącząca mnie z tym miejscem. Ostatkiem myśli spostrzegam drżącą, pomarańczową lunę wyłaniającą się zza krawędzi góry...

Promienie słońca. Brzask.

Górski krajobraz rozdziera się na strzępy, zastępowany głęboką ciemnością. Już tylko czerni, szmer i w końcu cisza. Otwieram oczy.

Pierwsze, co przykuwa moją uwagę, to światło poranka padające na kuchenny stół. Zerkam na cyferblat piekarnika. 7:47. Jak to? Przecież dopiero co była północ, dopiero co wyobraziłem sobie namiot i ten górski świat...

Nagle do mnie dociera... Udało się! W przypływie radości mam ochotę rzucić się na żonę, mocnym uściskiem podziękować jej za ten namiot, za dotyk, za lisa skrytego w leśnym gąszczu.

Jedno tylko nie daje mi spokoju...

Skąd to dojmujące zmęczenie?

5. n...

– Co ty wyrabiasz?

Zastygam z filiżanką przy ustach. Podwójne espresso z niewielką ilością mleka. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że zamierzam wypić je tuż przed snem. Dostrzegam skonsternowane spojrzenie żony, lecz mimo to upijam parę łyków. Cholera, gorzkie.

– Piję kawę – odpowiadam. – Skoro namiot działa, to nie muszę już szprycować się melisą.

– I dla odmiany zamierzasz pobudzić się kofeiną? Przecież ty nienawidzisz kawy...

Do dna. Matko, jakie obrzydliwe. Z każdym łykiem coraz gorsze. I ludzie piją to dla przyjemności?

– Chcę sprawdzić, czy kofeina nie wzbogaca doznań sennych. Chciałbym zobaczyć więcej, pójść dalej... Ale kiedy tylko wychodzę na polanę, budzi mnie słońce. Nie potrafię zrobić nawet paru kroków, rozumiesz?

Oczywiście... Nie rozumie. W jej oczach nie ma już konsternacji, lecz dogłębne zdumienie. Wzdycha ostentacyjnie, jakby to wystarczyło za odpowiedź, i kładzie się do łóżka. Po chwili najwyraźniej stwierdza, że nie może zostawić tego bez słowa komentarza, bo słyszę dobiegający spod kołdry beznamiętny głos:

– Jak chcesz. Moim zdaniem przesadzasz.

– Ja po prostu...

Nie kończę. Nie wiem, co „po prostu”. Nic już nie jest proste, wręcz przeciwnie. Nie potrafię wyjaśnić, czego szukam w tamtym lesie. Dlaczego tak bardzo zależy mi na dotarciu na szczyt? Powinienem przecież relaksować się wewnątrz namiotu, napawać bliskością wyimaginowanej żony, gotowej robić, co tylko zechcę. Lecz coś pcha mnie dalej, do celu, na sam wierzchołek...

Odstawiam pustą filiżankę na blat i kładę się po swojej stronie łóżka. Wciąż dzieli nas to nieuchwytne lustro, tylko teraz odbija coś zupełnie innego. Chociaż oboje śpimy, chociaż oboje śnimy, są to sny pokrewne jedynie z nazwy.

Przymykam powieki i bez strachu wsłuchuję się w ciche *du-dum, du-dum...*

Namiot. Woń lasu. Oplatająca mnie kobieta.

Nie czekam, aż zaśnie. Leżę przy niej już czwartą noc, bez ruchu i bez celu. Wystarczy. Wysuwam się z jej objęć i wstaję, lekko zgarbiony, z czubkiem głowy przypartym do rozchwianej płachty namiotu. Sięgam ręką po uchwyt suwaka. Wychodzę, nie zastanawiając się nawet, czy przeszkadza to żonie.

Zresztą, ona przecież nie istnieje. To tylko wizja, senny majak. Właściwie mógłbym być tu całkiem sam. Następnym razem, śniąc, będę o tym pamiętał.

Wiatr kęsa mnie lekko w szyję. Na krawędzi wzroku widzę lustrującego mnie lisa. Czuję żywicę, ziemistą woń mchu. Jak co noc doświadczam bogactwa natury, lecz nie ma to już znaczenia. Bez reszty skupiam się na majaczącej w oddali górze. Pod stopami

widzę ścieżkę prowadzącą aż pod sam szczyt. Tak sędzę, chociaż nie mam pewności – zasnuta jest mgłą.

Stawiam pierwszy krok. Potem drugi, trzeci, czwarty. Za mną trójkątny namiot otoczony żywą zielenią, przede mną – wysoki szczyt. I jedno, i drugie doskonale widoczne, niezmacone, jak poprzednio, przygasającym snieniem.

Trudno w to uwierzyć, ale kawa zrobiła robotę!

Zrywam się do biegu, lecz na zrywie się kończy. Zastygam w pół kroku. Przede mną nie ma już jednej drogi, tylko dziesiątki rozwidlających się ścieżek. Jedna prowadzi na wprost, ale tuż przy granicy mgły zawraca, by minąć mnie bokiem i rozplynać się w nicości przy samym namiocie. Mam więc do wyboru którąś z dróg na lewo lub na prawo – jedną z serpentyn biegnących przez gęsty las okalający górę z obu stron. Która z nich zaprowadzi mnie na szczyt?

Wybieram pierwszą z brzegu. Zostawiam za plecami namiot i biegnę w stronę ciemnej kniei. Gdy tylko w nią wpadam, jak na zawołanie gasną wszelkie barwy. Potykam się o korzenie wyrastające z suchej gleby. Pełno na niej małych kamyczków o ostrych krawędziach. Biegnać, uderzam w nie czubkami butów.

Stukot i trzask. Stukot i trzask...

Nadal czuję woń natury, specyficzny zapach żywicy i aromat grzybów, lecz nie jest to już – jak przy namiocie – delikatny bukiet, tylko ostry fetor obumierającej flory. Wszystko wokół oplecione jest tkaniną śmierci. Las zdaje się gnić, osuwać w ramiona zagłady. Jak mało trzeba, by spokojne śnienie przeistoczyło się w koszmar...

Mimo to pędzę co sił w nogach, licząc, że za moment ścieżka zatoczy koło i na tle jaśniejszego nieba ujrzę w końcu grań. Niestety droga wciąż prowadzi naprzód, między czarnymi pniami, które dawno przestały przypominać dumne płody ziemi. Są jak obsydianowe posągi; przysięgłbym, że wpatrują się we mnie bezdusznie i wrogo. Idiotyzm, wiem... ale boję się, że gdy tylko na nie spojrzę, one również skierują na mnie swoje żywiczne ślepie. Próbuje omijać je wzrokiem, skupiać się na tym, co dalej, lecz nigdzie nie widzę ani upragnionego szczytu, ani nieba za przepierzeniem

lasu. Wszędzie tylko czarne kontury drzew na tle jeszcze głębszej czerni.

Zbłądziłem...

Dość! Rzucam się do ucieczki, z powrotem do namiotu, w którym śpi wyimaginowana żona. Czuję na plecach oddech obłądu. Powtarzam sobie, że to sen – to tylko zjawy! – ale co z tego, skoro wszystko wydaje się takie realne. Nieruchome dotąd korzenie unoszą się i sięgają ku mnie, coraz śmielej i natarczywiej. Formują nade mną pokrzywiony portal, który niemal... który prawie...

Jakby w reakcji na te myśli brama momentalnie się kurczy i sięga czubka mojej głowy, targa mnie za włosy, a gdy nie mam ich już wcale, szarpie gołą skórę, by ostrymi wypustkami wnikać do mózgu. Próbuję krzyczeć, wołać o pomoc, lecz z moich ust nie wydobywa się żaden dźwięk. Stukot i trzask. Stukot i trzask...

Brzask!

Spomiędzy drzew przebija światło. Błady pomarańcz za kolumnadą czarnych drzew. Otwieram oczy.

8:57.

W jednej chwili czern zostaje zastąpiona mieszanką rozmytych barw – brązu, bieli, zieleni i czerwieni. Po chwili rozpoznaję w nich nasze mieszkanie. Salon i kuchnię. Moją żonę. Dociera do mnie jej głos:

– Długo spałeś. – Pochyla się nade mną. – Pół nocy drzałeś. Jesteś cały spocony.

10.

Nie zliczę, ile razy wyruszałem spod namiotu na spotkanie z ciemnością lasu. Nie znalazłem nic poza kruszejącą korą, stukoczącymi kamieniami i zdeformowanymi konarami, które co prawda przestały szarpać mnie za skórę, ale wciąż czały się na krawędzi spojrzenia. Mimo to miałem nadzieję, że w końcu dopisze mi szczęście i któraś z dróg okaże się tą odpowiednią...

Nie dopisało.

Nic dziwnego, szczęście zdawało się nie mieć dostępu do krainy snu. W ciągu ostatnich nocy sprawdziłem każde z rozwidleń.

Którędy bym nie poszedł, żadnego postępu. Tyle prób – tyle kaw! – a ja zamiast zbliżać się do celu, tylko się od niego oddalam.

Kątem oka widzę jej spojrzenie – już nie skonsternowane, nawet nie wystraszone czy zdumione, lecz wściekle. Przestała zwracać mi uwagę. Widać pojęła, że jej słowa do mnie nie docierają. Ale to nie tak, że jej nie słucham, nie... To ona nie potrafi mnie zrozumieć! Gdyby w swoim śnie rozsunęła poły namiotu, gdyby miała w sobie to samo pragnienie, które wypełnia mnie po brzegi... Nigdy nie pojmie, dlaczego z takim uporem walczę o kolejny krok. Patrzy więc tylko tym wściekło-zmartwionym wzrokiem, to na mnie, to na trzy puste filiżanki, i milczy.

22:57.

Powinienem się kłaść, ale, cholera, zaczyna zbierać mi się na wymioty. Krzywię się już na samą myśl o kawie. A muszę przecież iść dalej, aż na sam szczyt! Została mi już tylko jedna ścieżka – ta na wprost, opleciona gęstą mgłą. Może wbrew temu, co widzę, wcale nie zakręca w pół drogi... Może to tylko senny miraż?

Rzucam się na łóżko. Po mojej stronie nie ma już ani poduchy, ani kołdry. Wywaliłem je zeszłej nocy, było mi za gorąco. Jakby dopadała mnie jakaś choroba... Dlatego właśnie muszę to zakończyć. Kiedy wejdę na górę, wszystko się zmieni.

Zamykam oczy.

Jestem sam. Pozbyłem się żony, ot tak, jedną myślą. Rozwiała się jak duch.

Wychodząc z namiotu, spoglądam przelotnie na otaczający mnie las, jego gęste korony piętrzące się nad czarnymi jak noc pniami. Mam je gdzieś. I tak pośród nich nie znajdę niczego poza ciemnością.

Mgła.

Biegnę jej na spotkanie, niemalże unosząc się nad ziemią. Mam nad tym coraz większą kontrolę, pewnie dzięki kofeinie we krwi. Gdybym tylko chciał, mógłbym się wznieść i szybować w powietrzu niczym ptak. Ale to jutro albo pojutrze. Tak.

Po paru susach docieram do miejsca, w którym zieleń lasu znika pod naporem bieli. Dziwne... Z bliska nie przypomina skondensowanej pary wodnej, a przecież tym właśnie powinna być mgła. Wisząca przede mną chmura wygląda raczej jak klej. Albo

śmietana, której nie mają się prawa grawitacji. Nie zastanawiam się nad tym zbyt długo – wyciągam przed siebie ramię i aż po łokieć zagłębiam je w białej zawieszynie. Momentalnie czuję chłód i narastające mrowienie. Ogarnia mnie lęk, ten sam, który wcześniej towarzyszył mi w ciemnym lesie. Ale to złudzenie, to tylko złudzenie – ganię się w myślach. We śnie jestem przecież królem. Robię, co zechcę. Nie muszę bać się tego, co napawa mnie lękiem po drugiej stronie snienia.

Ignoruję przenikające mnie zimno i rzucam się przed siebie. W okamgnieniu otacza mnie białość. Nie wiem już, gdzie przód, a gdzie tył. Czy powinienem iść przed siebie? Liczyć, że w końcu znajdę się u podnóża góry?

Uparcie próbuję stawiać kolejne powolne kroki, lecz kleista maź nie daje za wygraną. To zajmie całe wieki! Nie zdążysz, wracaj! – słyszę piskliwy głos pod czaszką, ale gdy próbuję się odwrócić, nie potrafię. Brakuje mi siły, by w tej mlecznej brei zatoczyć koło. Mogę tylko iść naprzód w ślimaczym tempie, wierząc, że „naprzód” oznacza wyrwanie się z objęć mgły.

Znienacka dopadają mnie ponure myśli... Czy opasany białą mazią ujrzę światło poranka? Czy zdołam się obudzić? Wyobrażam sobie nachyloną nad łóżkiem żonę – widzę, jak szepcze, chwilę później krzyczy, a gdy spostrzega, że nic z tego nie odnosi skutku, chwyta mnie za barki i potrząsa z całych sił – lecz ja nie odzyskuję przytomności, uwięziony we mgle u podnóża góry.

Nie, nie, nie! Nie mogę oddać sterów panice. To tylko barwa. Czym ta biel różni się od tamtej czerni pośrodku lasu? Wszystko to tylko wyziewy mojego umysłu. Mogę nad nimi panować. Wystarczy, że się uspokoję, postawię jeszcze parę kroków i na dłoni poczuję coś szorstkiego. Otóż to, muszę tylko wyobrazić sobie, jak wyciągam dłoń i...

Za tym progiem istnienia zamglonym... – nagle wraca do mnie fragment tamtego wiersza. Już pamiętam, to jednak nie był Tetmajer, lecz Lange.

W mgnieniu oka gaśnie otaczająca mnie biel, jakby te słowa zdołały poruszyć tryby snu. Znów mogę unosić nogi, machać rękoma, obracać się we wszystkie strony. Czuję na dłoniach szorstką

fakturę skały. Czym prędzej ścieram z oczu białą maź, by spojrzeniem potwierdzić to, co wyczułem opuszkami palców.

Jestem u podnóża góry. Wysoko nade mną majaczy poszarpany wierzchołek – skalna krawędź na tle jaśniejszego nieba.

Zaraz, zaraz... Jaśniejszego?

Nie, nie! Jeszcze nie teraz! Byłem tak blisko, wystarczyło wzbić się w powietrze. Tylko tyle... Nie chcę otwierać oczu, lecz noc nie przewidziała dla mnie już nic poza mrokiem, delikatnie zabarwionym pomarańczem świtu.

Szmer. Szelest tkaniny. Słyszę głos żony. Jest wystraszona i rozedrgana.

– Wstawaj, proszę. Boję się o ciebie...

Otwieram oczy.

Nadal nic – tylko czerni. Ciśnie mi się na usta paniczny krzyk, raptem jednak z ciemności wyłania się rozmyty kontur kobiety siedzącej na brzegu łóżka i zamiast wrzasku wydaję z siebie stłumiony jęk. Żałosny, przzerwany w pół dźwięku – podobnie jak każdy z moich snów ukrócony jest nadejściem bezlitosnego brzasku.

11...

Tym razem żadnej kawy. Nie przełknę już tego obrzydlistwa...

Właśnie dlatego zaopatrzyłem się w zgrzewkę energetyków. Powinny zadziałać mocniej, pomóc mi dotrzeć do końca. Nie rozumiem jednak, skąd ta niemoc. Za mną dziewięć przespanych nocy. Nie tylko nie mam problemów z zaśnięciem, ale śpię nieprzerwanie aż do rana. Dlaczego więc czuję się, jakbym od tygodnia nie zmrúżył oka?

Cóż... Najważniejsze, że tam – za skalną krawędzią, u progu snu – wszystko ustanie. Położę się na kamieniu i nieniekajony już niczym, będę gapił się na niebo. Dopiero wtedy osiągnę spokój. Ten prawdziwy.

Z rozmyślań wytrącają mnie przerażone oczy, które gdyby to tylko było możliwe, ciskałyby błyskawice. Oczy mojej żony.

– O co znowu chodzi? – pytam.

– Wiesz o co. – Nadal gromi mnie wzrokiem. – Spójrz na siebie. Jesteś ledwo żywy. Już wczoraj myślałam, że cię... – Nie kończy,

ale łatwo się domyślić, co chciała powiedzieć. – Nie wiem, co tam robisz, ale to nie jest sen! Poza tym kto normalny pije kawę albo to cukrowe gówno przed snem? Przecież...

– Nikt normalny – odpowiadam. – Nie jestem normalny.

Przez chwilę patrzy na mnie z rozdziawionymi ustami, jakby zamierzała coś powiedzieć, lecz zaraz chowa twarz w dłoniach. Przyznaję, przykro mi patrzeć, jak cierpi. Nie jestem zimny jak lód, ale nie ma powodów do obaw. Noc, sen, ciemny las, wierchołek góry... To jej nie dotyczy.

Zresztą to ostatni raz. Na pewno.

– To już koniec – mówię, starając się nadać głosowi uspokajający ton. – Ostatni raz.

Odsuwa ręce od twarzy. Znów widzę jej oczy, świdrujący brąz obwiedziony gęstą bielą. Nie musi nic dodawać. Jej spojrzenie mówi samo za siebie.

„Trzymam cię za słowo”.

– Obiecuj, że nie wyjdiesz z namiotu – przerywa milczenie. – Obiecuj...

– Obiecuję – odpowiadam bez namysłu.

Nie muszę kłamać. Nie wyjdę z namiotu. Tym razem postaram się „obudzić” już na zewnątrz, naprzeciw mgły, przez którą przemknę niczym ptak.

Dopijam energetyk i nie trwoniąc więcej czasu, padam na łóżko. Jestem okrutnie zmęczony. Tak bardzo potrzebuję odpoczynku... Ostatnim, co rejestruję, przymykając ciężące mi powieki, jest wyraz jej twarzy – jednocześnie smutny i zatroskany, jakby w ciągu kilku dni postarzała się o dekadę.

Ciemność.

Tchnienie wiatru. Las. Ścieżka we mgle. Szczyt.

Du-dum...

Nie muszę już stawiać kroków. Wystarczy wzlecieć, o tak! Sunę nad ziemią, wreszcie wolny od ograniczeń ludzkiego ciała. Wpadam we mgłę i bez wahania pozwalam jej mnie opleść. Nie czuję strachu ani chłodu. Wiem, że jedną myślą mogę znaleźć się po drugiej stronie bieli – u podnóża góry. Przyszykam powieki, a gdy po chwili znów je otwieram, po mgle nie ma już śladu. Jest

za to szorstka, kamienna ściana ciągnąca się wysoko, wysoko ku granicy snu.

Nie tracę ani chwili. Wzbijam się w powietrze.

...du-dum, du-dum, du-dum...

Lecę – nade mną krawędź oddzielająca szarość kamienia od błękitu nieba – lecę – przede mną skała, rozmyta zawrotnym tempem – lecę – pode mną biel, a wokół nieskończony las – lecę – odczuwam dziwny opór – zwalnię – jakby sen usilnie próbował mnie zawrócić – zatrzymuję się – nie potrafię już dłużej lecieć.

...du-dum, du-dum, DU-DUM...

Rozpaczliwie chwytam się wystających skał, przywieram ciasno do zimnego zbocza. Z całych sił odpycham się ku górze jak wiewiórka wspinająca się po pniu drzewa. Raz, drugi, trzeci... To już, widzę krawędź! Raptem ogarnia mnie radość, niemalże ekstazytyczna, lecz niestety – po raz kolejny doświadczam, jak cienka jest granica pomiędzy dwiema skrajnościami. Pomiędzy szczęściem a bezgranicznym strachem. Łapie mnie paraliż. Nieruchomieję.

...DU-DUM, DU-DUM, DU-DUM...

To sen, to tylko sen – powtarzam w myślach. W prawdziwym świecie nic bym nie zdziałał, wisiałbym tak przez jakiś czas, a potem spadł w objęcia mgły, ale tutaj... Tutaj mogę wszystko! Wystarczy uruchomić wyobraźnię: unieść kolano, wsunąć stopę w szczelinę, chwycić palcami wystającą półkę, podkurczyć prawą nogę, podnieść lewą rękę, i znów, lewa noga i prawa ręka, lewa i prawa, lewa i prawa...

...DUDUM, DUDUM, DUDUM, DUDUM...

Znów przypominam sobie fragment wiersza. *Może tam, za tym progiem istnienia zamglonym, nie ma nic?* Zamieram z palcami zaciśniętymi na skale. Widzę błękit nieba i płaszczyznę szczytu. Uświadamiam sobie, że wystarczy raz jeszcze unieść nogę i będę u celu. Osiągnę to, o czym marzyłem. Dotrę tam, gdzie chciałem dotrzeć, odkąd wyjrzałem z namiotu. Lecz kolejne słowa uderzają we mnie jak młot. *I nicość – i nicość!* Co, jeśli... tam rzeczywiście nic nie ma?

W jednej chwili wraca do mnie wszystko. Każde słowo i każdy werset. Zamglony próg, mrok i sen kamienny, i nicość... i śmierć –

śmierć pod płaszczykiem nieosiągalnego marzenia. Robi mi się zimno. Przerazliwie zimno.

*Może tam, za tym progiem istnienia zamglonym
Nie ma nic? Może śmierć – to najwyższe złudzenie –
I kłamstwo niepojęte – mrok i sen kamienny,
I próżnia – i zaprzeczeń wieczysta bezlicość –
I zgnilizna bezduszna – i nicość – i nicość! –
Śmierci – a jam cię przybrał w złoty płaszcz bezcenny!*

Nie potrafię opanować kołaczącego serca. Wali jak oszalałe, czuję to nawet we śnie. Co gorsza, dociera do mnie, że tam – na szczycie góry, za tym progiem istnienia – nie zdołam go uspokoić. Tak bardzo się myliłem. Od samego początku śniłem kłamstwo. Najwyższe złudzenie...

DUDUMDUDUMDUDUMDUDUM...

Wisząc, obracam się w stronę lasu. W samym jego środku rozpoznaję niewielką polanę, a na niej zielony namiot, niemalże niedostrzegalny na tle przestworu snu. Byłem pewny, że go usunąłem, tak samo jak wcześniej wyparłem się własnej żony.

Pode mną kłębi się gęsta biel.

Wiem już, co muszę zrobić. Nawet jeśli to koniec, nawet jeśli serce i tak wyskoczy mi z klatki piersiowej, nawet jeśli nie zdołam się już „obudzić” – wiem, że w żadnym wypadku nie mogę iść dalej. Nie mogę przekroczyć progu.

Zamykam oczy.

Rozluźniam palce.

Odpycham się od skał.

Opadam niczym ptak bez skrzydeł.

DUDUMDUDUM

Szmer. Szelest tkaniny.

DUDUM, dum.

W opowiadaniu użyto fragmentów wiersza XXXII z „Rozmyślań” Antoniego Langego.

O autorze

Wojciech Moska – zawodowo zajmuje się programowaniem i fotografią. Redaktor i korektor magazynu „Statek Głupców”. W głębi serca humanista, choć przez lata uparcie zaprzeczał, by było to prawdą. Od dziecka mieszka na Górnym Śląsku, ale jego dusza należy do Beskidów i Tatr. Pisarski sprinter – im krócej, tym lepiej. Wygląda na to, że nigdy nie napisze powieści.

Archiwum myśli zgubionych

Piotr Szczepońnik

Ktoś złośliwy powiedziałby, że życiem Łukasza kierował przypadek. Mężczyzna przez ponad trzydzieści lat płynął z prądem, dbając wyłącznie o to, by nikomu nie nadepnąć na odcisk, niejako przy okazji stając się mistrzem w ignorowaniu bycia deptanym. Jego świat ograniczał się do pracy w biurze za minimalną krajową, wynajętej kawalerki oraz drogi łączącej te miejsca. Ten pozornie błogi stan trwał aż do dnia, w którym Łukasz wszedł do kolektury i skreślił sześć liczb.

Wieczorem okazało się, że wygrał trzydzieści milionów złotych.

Gdy pierwsze emocje, wyrażane głównie za pomocą skakania oraz pohukiwania, nieco się uspokoiły, dotarło do niego, że nie do końca pamięta, gdzie konkretnie schował szczęśliwy los.

Łukasz był za pan brat ze stanami lękowymi. Doświadczał ich dość regularnie, zazwyczaj kilka chwil po przebudzeniu. Metodą prób i błędów opracował sposoby radzenia sobie z nimi. Tabletką, ulubiona muzyka oraz nastawienie budzika na nieco wcześniejszą porę zwykle pozwalały mu się wziąć w garść przed pracą.

Ogarniająca go właśnie panika była czymś zupełnie nowym. Mężczyzna miotał się po mieszkaniu, pochłonięty tym charakterystycznym stanem, który zmusza do sprawdzania kieszeni pięć razy w nadziei, że za szóstym palce trafią w końcu na upragnioną rzecz. Napędzane szaleństwem poszukiwania trwały dwie godziny, a ich skrupulatność zawstydziłaby nawet cierpiącą na zaburzenia obsesyjno-kompulsywne gospodynię domową podczas wiosennych porządków.

Łukasz nie brał jeńców. Zazwyczaj unikający wysiłku „być może milioner” chwycił za róg wersalki i szarpnięciem przesunął ją na środek pokoju. Ten dzień miał zapisać się czarnymi zgłoskami w historii niedosłej cywilizacji roztoczy, które po skolonizowaniu zalegających pod ścianą kłębów kurzu znajdowały się na granicy wynalezienia koła. Ocalałe pajęczaki zanosły w świat mrozącą krew w żyłach¹ historię o tytanicznym bóstwie, które ze złowrogim błyskiem w oczach rozerwało ich dom na strzępy.

W Ewangelii według świętego Mateusza można trafić na zbiór całkiem niezłych rad na temat bycia upartym², choć tym razem to wezwani przez sąsiadów strażnicy miejscy wcielili je w życie. Zaczęło się od kołatania do drzwi zakłócającego ciszę nocną delikwenta, a skończyło na wręczeniu mandatu, o który ten najwyraźniej się prosił.

Łukasz położył się spać w poczuciu niesprawiedliwości tak rażącej, że przebijała nawet niehomologowane żarówki LED w reflektorach samochodowych. W myślach raz za razem odtwarzał drogę z kolektury, próbując zrozumieć, co tak właściwie się stało. W przerwach przywoływał typowane liczby.

Dziesięć – dzień wypłaty. Dwadzieścia osiem – dzień wypłaty zanim przesunięto ją na początek miesiąca. Jedenaście – numer na liście w dzienniku szkolnym. Szesnaście – dzień odnawiania się transferu w mobilnym internecie. Trzydzieści – numer kawalerki, oraz dwadzieścia trzy – bo nie miał innego pomysłu.

¹ Naturalnie w przypadku tych gatunków, które krew posiadały. U całej reszty opowieść mroziła głowotułów.

² „Proście, a będzie wam dane; szukajcie, a znajdziecie; kołaczcie, a otworzą wam”, Biblia Tysiąclecia, Mt 7, 7.

Mamrotał, powtarzając wszystko w kółko aż do momentu pogrążenia się we śnie.



Poczekalnia nie wyróżniała się niczym szczególnym. Lastryko pod kapciami, łuszcząca się, zielonkawa farba na ścianach oraz szeregi niezbyt wygodnych krzeseł mogły znaleźć się równie dobrze w szpitalu, jak i na dworcu. Jedynym niemieszczącym się w schemacie elementem był ubiór otaczających Łukasza ludzi. Zdecydowana większość miała na sobie piżamy, część – nocne koszule, a nieliczni stali w bieliźnie, próbując ukryć dobrodziejstwo inwentarza. Łukasz postanowił nie przyglądać się towarzystwu zbyt dokładnie, obawiając się wypatrzenia kogoś o swobodniejszym podejściu do mody łózkowej.

– Pan tu nie stał.

– Słucham? – zapytał, spoglądając na wyraźnie zirytowanego człowieka ubranego głównie w majtki oraz potargany podkoszulek.

– Proszę się nie wpychać w kolejkę. – W oddechu kolejkowicza można było wyczuć silną woń tytoniu. – Każdy chce tu coś załatwić. Ma pan w ogóle numerek?

– Ale jak to, numerek?

Rozmówca zmierzył go wzrokiem zarezerwowanym dla osób nierozumiejących podstawowych zasad rządzących światem. Jeśli w markecie jest przecena, to się bierze nawet, gdy danej rzeczy nie potrzebujemy. Podczas wakacji all-inclusive należy ładować na talerz, ile wlezie, a jeśli gdzieś jest kolejka, to należy grzecznie zapytać, kto ostatni, i się ustawić za nim³.

– Pani Basiu! – krzyknął. – Ten gość nie chce wziąć numerka!

Poczekalnię w jednym momencie wypełniła cisza tak głęboka, że można było usłyszeć skrzypnięcie krzesła, gdy siedząca za masywnym biurkiem kobieta nieco przesunęła ciężar ciała. Pani Basia była drobną, zasuszoną osobą o nieokreślonym wieku, która

3 Ewentualnie rzucając wcześniej żarcik: „Teraz już ja. He, he”.

w każdym innym miejscu wywołałaby skojarzenia z dobrotliwą babcią, co to żadnego wnusia nie wypuści z domu bez posiłku i paru złotych w kieszeni. Jednakże w miejscu pracy roztaczała wokół siebie aurę władzy absolutnej. Wystarczyło jedno spojrzenie, by delikwent wypadł z kolejki. Wyjątkowe przewinienia były karane wciągnięciem na czarną listę, a ta w ostateczności rywalizowała jedynie z zaciśniętą trytytką.

– Numerek – warknęła głosem tak ostrym, że można było nim ciąć szkło.

Wyciągnięty palec przeznaczenia, prywatnie pani Basi, wskazywał na niewielki automat znajdujący się zaraz przy jej biurku.

– Bez niego nie wejdzie. Już nigdy – dodała tak na wszelki wypadek.

Dochodząc do wniosku, że lepiej nie ryzykować konfrontacji z kobietą, która żywo przypominała mu nauczycielkę chemii z liceum, Łukasz wygładził piżamę w niebieskie pasy i rozpoczął marsz hańby przez poczekalnię.

– Przepraszam, nie wiedziałem – wydukał jeszcze, ale nie został zaszczycony odpowiedzią.

Ekran obudził się pod dotykiem dłoni mężczyzny i poprosił o określenie sprawy do załatwienia.

– Za moczenie nocne podziękuję – czytał, szukając czegoś choć zbliżonego do pomocy w odszukaniu zgubionych losów. – Zespół niespokojnych nóg? Nie, to odpada. Łagodzenie przypadków krzywego spania po czterdziestce, zespół do spraw bólu pod lewą łopatką, może kiedy indziej. Koszmarna windykacja? Zgubione myśli! – krzyknął z satysfakcją, czym zyskał sobie ostrzegawcze sygnienie zza biurka.

Maszyna zgrzytnęła, zarządziła i wypłuła z siebie świstek oznajmiający wszem i wobec, że Łukasz znajduje się na miejscu cztery tysiące dwieście trzydziestym.

– Mam numerek! Czy teraz ktoś mnie przyjmie? – zapytał, naciągając na twarz najlepszy uśmiech.

– Czekaj, aż wywołają go na ekranie. – Zakończony krwistoczerwonym paznokciem palec powędrował w górę i wskazał na dziesiątki zawieszonych pod sufitem monitorów.

Interesujący Łukasza dział obsługiwał właśnie petenta o numerze piętnaście.

– Ale ja nie mam czasu! – powiedział to głośniejsze, niż zamierzał, zyskując sobie tym samym pełną uwagę pani Basi.

– Przepraszam jaśnie pana za wszelkie utrudnienia wynikające z wykonywania obowiązków służbowych! – Każde słowo zostało podkreślone uderzeniem w klawiaturę. – Przecież od razu powinniśmy zrozumieć, z jakim kalibrem osoby mamy do czynienia.

Uderzenia stawały się coraz głośniejsze, a kolejkowicze odkryli w sobie nagłą potrzebę zajmowania jak najmniej miejsca. O rzucaniu się w oczy nie wspominając.

– To nie tak. Po prostu nie mogę aż tyle czekać.

Gdyby pogardę można było wyrazić za pomocą jednostek miar i wag, spojrzenie starszej pani z pewnością znalazłoby się gdzieś między arem a hektarem. W ostateczności zaraz przed hektolitrem. Jakoś tak się złożyło, że choć była z natury niezwykle tolerancyjna, to do listy zjawisk nietolerowanych praktycznie codziennie coś dopisywała. Niemal na samym szczycie znajdowały się osoby mówiące o niej „starsza pani”. Pierwsze miejsce zarezerwowane było dla bezdennej głupoty, którą uosabiał stojący przed nią mężczyzna.

Już szykowała się do udzielenia stosownego upomnienia, gdy drzwi za nią otworzyły się ze skrzypnięciem tak nieśmiałym, jak gdyby nawet one stwierdziły, że zwracanie w tej chwili na siebie uwagi jest złym pomysłem.

– Dzień dobry, Pani Basiu – powiedział niepozorny człowiek w szarym swetrze i o włosach przypominających ptasie gniazdo. W jego głosie można było usłyszeć wielkie litery. – Czy może audytor już przyszedł?

To wystarczyło, by rozproszyć humanoidalną wieżyczkę strażniczą. Światła szperacza przesunęły się na nową ofiarę, dzięki czemu dały Łukaszowi szansę na wzięcie pierwszego od dłuższej chwili oddechu.

Ciekawie jest obserwować osoby powszechnie uważane za przerażające, gdy odzywa się do nich właściwy człowiek. Przemiana w postawie kobiety była niczym topnienie lodowców, tylko

zamiast bezdomnych misiów polarnych zostawiła po sobie uśmiechy i rzucane spod powiek spojrzenia.

Łukasz nie wiedział, co było gorsze.

– Niestety, panie Grzesiu – zaszczebiotała niedawna ściana lodu. – Dam znać, jak tylko ktoś się zjawi.

To była jego szansa. Sama myśl o podjęciu ryzyka sprawiła, że Łukaszowi zakręciło się w głowie. Na szczęście słowa ani myślały zaczekać i wyrwały się na wolność.

– Chyba mowa o mnie.

– Panu? – Uzbrojone w grube szkła szperacze znów skupiły się na nim. – To czemu nic pan nie mówił? I po co brał numerkę?! – Oburzenie zabarwiło szarawe lico na czerwono.

Gdy cerber użalał się nad losem skazanego na wieczne potępienie numerka, twarz nowoprzybyłego pojaśniała. Nazwany Grzesiem mężczyzna potrząsnął ręką Łukasza, wyrzucając z siebie słowa w tempie, które nawet karabin maszynowy MG 42 uznałby za przesadzone.

– Nie mogliśmy się już pana doczekać! – dało się wyłowić z werbalnego huraganu. – Wszystko już przygotowane. Możemy iść?

– Poproszę o okazanie legitymacji służbowej oraz upoważnienia. – Pani Basia przypuściła ostatni, desperacki atak.

– Chyba zostawiłem je w innych spodniach. – Głupawo uśmiechnięty Łukasz poklepał się, markując poszukiwanie kieszeni.

– To proszę wrócić jutro z dokumentami.

Wiele się słyszy o kropce nienawiści. Choć wygląda zwyczajnie, pełni w komunikacji ważną rolę, przekazując bogactwo negatywnych emocji. O kunszcie pani Basi najlepiej świadczyło to, że Łukasz po raz pierwszy ów specjalny znak przestankowy usłyszał.

– Oj, przecież to nie jest potrzebne na już. – Grzegorz starał się ratować sytuację, wciskając się między drapieżnika a ofiarę. – Można to przecież donieść, prawda? My tymczasem będziemy mieć porządek w papierach.

Cisza nerwowo przestąpiła z nogi na nogę, nie do końca wiedząc, ile ma trwać.

– To może zrobimy tak: pani pozwoli audytorowi wziąć się do pracy, a ja wyślę tutaj praktykanta z kawą. Dobrze pamiętam? Czarna jak noc i słodka jak pani oczy?

Kilka minut później Łukasz siedł w kierunku schodów, wpatrując się z nabożnym podziwem zmieszonym pół na pół z zazdrością w plecy Grzegorza. On nigdy nie radził sobie z ludźmi, o sytuacjach konfliktowych nie wspominając, a teraz mógł za darmo obserwować mistrza przy pracy.

–Zacniemy od sortowni, dobrze? – Ze słów urzędnika biła duma podobna do tej towarzyszącej rodzicowi pokazującemu światu pierwszy rysunek pociechy. – Tam dochodzi do wstępnej obróbki wszystkich zgubionych myśli.

Gdzieś na końcu tunelu błysnęła sugestia światła.

–Czy możemy wypróbować system na bazie konkretnego przykładu? – zapytał Łukasz, starając się nie okazywać nadmiernej ekscytacji.

–Pewnie tak, ale to na późniejszym etapie. Funkcja sortowni kryje się w jej nazwie, że tak powiem. – Grzegorz uśmiechnął się przepraszająco. Komentarz o poziomie pytania pozostał niewypowiedziany. – Proszę się nie przejmować hałasem. To niestety nieodłączny element procesu. Spore środki idą na ochronę słuchu i dodatki za szkodliwe warunki pracy. BHP się uparło.

Łukasz potaknął jedynie z poważną miną, nie do końca rozumiejąc, o co chodzi jego przewodnikowi. Owszem, słyszał odległy huk, ale zrzucał to na karb towarzyszących mu od lat szumów usznych. Gdy dotarli do celu, hałas stał się nie do zniesienia.

Urzędnik wcisnął w ręce wizytatora słuchawki i samymi gestami wyjaśnił, jak je założyć.

–To słuchawki aktywne – powiedział po sprawdzeniu, czy poduszki dobrze przylegają. – Niestety budżet nie przewidywał środków na baterie, więc te musimy załatwiać sami. No, ale bez nich się nie da.

Sortownia okazała się pomieszczeniem rozmiarów boiska piłkarskiego, choć wypełniające ją po sufit sterty akt sprawiały, że łatwiej było o atak klaustrofobii niż o łyk świeżego powietrza. Z zawieszonych pod nim rur sypały się kolejne tony papierów, czym wywoływały tu i ówdzie niewielkie lawiny i posyłały w powietrze kłęby kurzu. Wystarczyła chwila, by pył oblepił skórę oraz drogi oddechowe odwiedzających.

W samym centrum chaosu znajdowało się niewielkie biurko, którego czysty blat był niczym środkowy palec podstawiony pod nos rzeczywistości. Siedzący na jedynym⁴ krześle mężczyzna sprawiał wrażenie pokonanego. Pokryty grubą warstwą pyłu, starał się sortować koperty do kilkunastu lekko już przepelzionych kartonów.

– Mariusz to nasz najlepszy pracownik! – wykrzyknął radośnie urzędnik, brnąc przez zwały papeterii. – Nikt tak dobrze sobie nie radzi z segregacją.

Tymczasem albo chwalony mężczyzna nie zdawał sobie sprawy z tego, że nie jest już sam, albo rozmyślnie ignorował gości. Skupiony na zadaniu, sięgnął do najbliższego kopczyka i wczytał się w treść zapisaną na kartce rozmiaru A4, po czym odłożył dokument do pojemnika oznaczonego czerwoną taśmą. Gdy to czynił, do pomieszczenia wpadło dziesięć metrów sześciennych makulatury⁵.

– Czy nie powinien robić tego nieco... szybciej? – zapytał Łukasz, starając się uniknąć zasypania przez jedną z lawin.

– Pośpiech sprzyja pomyłkom, a na te nie możemy sobie pozwolić.

Istnieją na tym świecie sytuacje niemożliwe do uniknięcia. Jeśli spieszymy się do domu, przeważnie bywa tak, że natykamy się wyłącznie na czerwone światła. Gdy zależy nam na produkcie dostępnym w limitowanej ilości – zabraknie go na chwilę przed naszym dotarciem do sklepu. Z kolei jeśli równowaga okaże się zbyt krucha, to zaburzy ją nawet przelatujący owad. Kichnięcie Mariusza nie tylko posłało w powietrze kłęby pyłu, ale też naruszyło i tak wątpliwą strukturę kopców. Papierowa powódź przetoczyła się przez blat, wpadając do przypadkowych pudeł. Pracownik, jeszcze chwilę temu nazwany najlepszym, popatrzył na to beznamietnym wzrokiem, wzruszył ramionami i sięgnął po kolejną kartkę.

⁴ Prawdopodobnie, ponieważ nikomu nie chciało się przekopywać przez hałdy papieru celem zyskania pewności.

⁵ Dla lepszego zobrazowania zjawiska warto zauważyć, że jeden metr sześcienny papieru gazetowego waży około osiemset kilogramów.

– Powiadają, że ten się nie myli, kto nic nie robi – stwierdził po dłuższej chwili Grzegorz, masując skronie.

– To są te zapomniane myśli? – zapytał Łukasz, próbując zmienić temat.

– I to z całego świata! W ojczystym języku osoby je gubiącej.

– Te kartony mają jakiś sens?

– Ogromny! Podobnie jak przy segregacji odpadów, każdy kolor oznacza inną kategorię myśli, określając metody archiwizacji oraz utylizacji.

Łukasz ze zdziwieniem obserwował jak urzędnik za biurkiem łokciem strąca kilka kartek do przypadkowego pudła. Skojarzenie ze śmieciarkami zgarniającymi segregowane odpady jak leci było aż zbyt oczywiste.

– Czyli jeśli wasz najlepszy pracownik coś pomiesza, to ktoś później może zacząć myśleć w obcym języku?

– Ależ skąd! – Grzegorz nieco się oburzył, choć raczej nie w związku z nasyceniem pytania ironią. – Przecież to zgubione myśli. Najpierw ten ktoś musiałby je znaleźć.

Jeszcze chwilę przyglądali się pracy Mariusza. Przez około pięć minut z namaszczeniem przeczytał i włożył do pudełka trzy karteczki. Ułamek tego, co wsypywało się do kartonów pod wpływem grawitacji lub prądów powietrznych.

Łukasz czasami czuł się jak kukiełka, której ruchami steruje bardzo roztrzepana siła wyższa. Wchodził do pomieszczenia i zapominał po co. Stał w sklepie, kompletnie nie pamiętając, co miał kupić. Podejrzewał, że w takich momentach absolut o nim zapominał, zajmując się znacznie pilniejszymi sprawami, jak choćby wizyta w toalecie. Teraz zaś okazało się, że część jego codzienności jest gdzieś tutaj. Skrupulatnie przeczytana, zarchiwizowana i niemożliwa do odzyskania. Nie żeby jakoś szczególnie mu na niej zależało.

– To może pójdziemy dalej? – zapytał Grzegorz, delikatnie, choć stanowczo popychając rzekomego audytora do wyjścia.

Gdy drzwi zatrzasnęły się za nimi, a słuchawki wylądowały na półce, pozostało tylko otrzepać się z pyłu i podążyć za przewodnikiem.

– Co się dzieje z pudłami po wypełnieniu?

– Są przewożone do archiwum, gdzie cały sztab pracowników pakuje je do teczek i kartonów bezkwasowych. Oczywiście wszystko zgodnie z instrukcją kancelaryjną oraz najlepszymi praktykami.

– Sztab, czyli...?

– Dwóch praktykantów. Ale! Nadzoruje ich pełnokrwisty archiwista.

Łukasz tylko uśmiechnął się pod nosem. Zbyt wiele lat przepracował w podobnym miejscu, by wierzyć w tak gładko wygłoszone zapewnienie o zgodności z regulaminami.

– Czyli tutaj możemy wyszukać konkretną myśl?

– W teorii jest to możliwe, owszem – odpowiedział Grzegorz. – Ale w praktyce? Byłoby to coś nowego.

Zatrzymali się przed drzwiami opatrzonymi tabliczką informującą wszem i wobec, że mają zaszczyt stać u progu Archiwum Departamentu Myśli Zgubionych. Urzędnik położył dłoń na klamce, ale się zawahał.

– Nie jest pan audytorem, prawda? – zapytał bez odwracania się.

– Za mało się czepiałem?

Łukaszowi zaczęło się robić na zmianę zimno i gorąco. Wpadł po same uszy i teraz już nigdy nie przypomni sobie, gdzie zostawił kupon. Niewyobrażalne bogactwo przepadło. Zamiast jednak wzywać ochronę, Grzegorz się zaśmiał.

– Prawdziwy zacząłby toczyć pianę na sam widok sortowni.

– Czy mimo to mogę spróbować i skorzystać z pomocy archiwum?

– O ile podpiszesz protokół pokontrolny, w którym nie stwierdzasz naruszeń – powiedział Grzegorz z błyskiem w oku.

– Ale to nie będzie problem, że audyt klepnął wam przypadkowy człowiek?

– Gdzie tam. – Machnął ręką, wyrażając stanowisko na temat obaw Łukasza. – Ważne są pieczętka i podpis, nawet jeśli jedno z drugim nie do końca się zgadza. Miną miesiące, zanim ktoś się zorientuje, a wtedy będzie już za późno. Nasi są bardzo kreatywni w poszukiwaniu sposobów na rozmycie winy.

Mężczyźni uśmiechnęli się do siebie i już po chwili drzwi do celu stanęły otworem.

Archiwum przypominało świątynię wzniesioną ku czci bogów ładu i porządku. Przynajmniej póki ktoś nie postanowił zbyt dokładnie się jej przyjrzeć. Odchodząca tu i ówdzie taśma klejąca oraz brakujące oznaczenia półek były najmniejszymi przewinieniami.

Między gęsto poustawianymi półkami uwijało się dwóch nastolatków nadzorowanych przez starszego i łysego jak kolano urzędnika o posturze tak wątlej, że byle przeciąg mógł go ponieść w siną dal. Uchodziłby za wampira, gdyby nie ciągnąca się za nim aura przetrawanego czosnku.

– Panie Kleofasie, dzień dobry – powiedział Grzegorz. – Nadeszła inspekcja!

– Jak to mawiają, gość w dom, gacie w dół, forsa na stół! – Starszy człowiek wyszczerzył się w nieco wybrakowanym uśmiechu.

– To może innym razem – powiedział Łukasz, na wypadek gdyby archiwista zamierzał spełnić groźby. – Wolałbym zająć się sprawdzeniem państwa systemu.

– Trochę poczucia humoru jeszcze nikogo nie zabiło. – Kleofas nieco się naburmuszył.

– Chryzyp by się z tym nie zgodził – powiedział jeden z praktykantów, czym naraził się na pełne nagany spojrzenie.

– Pan Kleofas był obecny podczas zakładania tego archiwum – powiedział z emfazą Grzegorz. – Przez to też jako jedyny radzi sobie z odnajdowaniem tu czegokolwiek.

– Czy tak zaawansowany wiek nie przeszkadza w pracy? – zapytał Łukasz.

– Nie może – zapewnił archiwista. – Wyraźnie dano mi do zrozumienia, że nawet jeśli coś by mi się stało, to szefostwo nie przyjmie tego do wiadomości.

– Taka troska musi być pocieszająca.

– Niekoniecznie.

Zebrani zamilkli na chwilę, zamyśleni nad losem pracowników niezastąpionych.

– To ja zostawiam was samych – rzucił Grzegorz. – Obiecałem Baśce kawę.

Z pewnym zdziwieniem Łukasz popatrzył za oddalającym się przewodnikiem. Zdążył go polubić.

– Celem kontroli jest odszukanie konkretnej myśli na podstawie przybliżonego opisu – powiedział.

Zdziwił się, że jego słowa przeszły bez komentarza. Albo brzmiał bardzo profesjonalnie, albo archiwiści nieszczególnie się nim przejmowali. Zupełnie jakby przeszli tyle nieudanych audytów, że kolejny nie mógł w ich życiu niczego zmienić.

– To czego szukamy, drogi panie? – zapytał Kleofas.

Oto nadeszła jego chwila. Mógł wykazać się przed szefostwem. Kto wie? Może nawet dostanie podwyżkę? Albo choć dzień urlopu?

– Szukamy myśli o losie... losu. – Łukasz dokończył nieco mniej pewnym głosem. – Takiego na loterię – dodał.

– Loteria? – zamyślił się antyczny archiwista. – To może być pod tyloma kategoriami, że poszukiwania zajmą nam całą wieczność.

– Minimum pięć godzin – powiedział jeden z praktykantów.

– Jak mówiłem, wieczność. – Starzec się zasępił i momentalnie stracił zapał. – Nie wolałby pan czegoś prostszego? Na przykład...

Otworzył pierwszą z brzegu szufladę, z której wyłowił kartę katalogową.

– Lista zakupów w dawno wymarłym języku? – zapytał z nadzieją. – Jest tu sporo ciekawostek. Wiedział pan, że już wtedy stosowano ketchup? No właśnie. Nie! A tak by pan wiedział.

– Jestem zmuszony nalegać. To był wczorajszy kupon z zaznaczonymi sześcioma liczbami. Podać jakie?

– Może później. Jakiego koloru był papier?

– Chyba normalny? – zaryzykował Łukasz. – Białe, z pomarańczowymi elementami?

Kleofas skrzywił się i wymamrotał kilka niezbyt pochlebnych uwag na temat świata oraz kierunku, w jakim ten zmierza. Mimo to poszukiwania ruszyły. Praktykanci zniknęli w kartotecznym labiryncie.

– Nalegałbym na zmianę zdania. Mamy tu całkiem świeżo zgubione myśli. Co by pan powiedział na przepis na domową zapiekankę z pieczarkami? – Czegokolwiek by nie mówić o Kleofasie, nie poddawał się łatwo. – Nie? To może receptura na tajną mieszankę jedenastu ziół i przypraw pewnej sieci fast foodów? Taki jeden nieszczęśnik od miesięcy regularnie zapomina tego składu. Chyba go już nawet nie wypuszczają z kuchni.

– Nie jestem zainteresowany.

– Twardy z pana zawodnik. Ale w takim wieku nie wypada inaczej. – Mrugnięcie okiem miało potwierdzić niestosowny podtekst. Niestety, zostało dwukrotnie awizowane i zwrócone do nadawcy. – To może skuszę pana kompletnym zbiorem wyników polskiej drużyny piłkarskiej na mistrzostwach świata od 1974 roku?

– Jeśli chodzi o sport, to wolę siatkówkę – odpowiedział coraz bardziej zirytowany Łukasz. – Dacie radę znaleźć moją myśl czy mam sporządzić raport?

– Ale po co te nerwy? – zapytał przymilnym tonem archiwista. Na twarzy wykwitł mu dziwaczny uśmiezek. – Skoro jedzenie i sport odpadają, to może zainteresuje pana coś bardziej... pikantnego?

Łukasz już miał na końcu języka nader dosadny komentarz, ale nie zdążył go wygłosić, ponieważ jeden z praktykantów uprzejmie chwycił go pod łokieć i zaprowadził z dala od uszu przełożonego.

– Proszę nie słuchać tego starucha. Nie rozpoznałby wartej zainteresowania myśli, nawet gdyby ugryzła go w tyłek.

– Ale ja naprawdę chcę tę jedną, konkretną.

– Nie będę owijał w bawełnę, to raczej się nie stanie. – Praktykant przyjął wystudiowaną minę, wyrażającą ubolewanie nad stanem świata. – Ale możemy zaproponować panu alternatywę. Myśli do wyboru, do koloru! Umiejętności, plany, nawet pomysły na dochodowe interesy! Wszystkie śnione w najgłębszych fazach REM i zapominane po przebudzeniu.

– To aby legalne?

– Nie wiem, nie pytałem. – Praktykant wzruszył ramionami. – Kiedyś proponowaliśmy jeszcze rewolucyjne pomysły, ale pojawiły się problemy. Po co komu alternatywa dla paliw kopalnych czy leki zwalczające najgroźniejsze choroby, skoro później nasi klienci giną w niewyjaśnionych okolicznościach? To negatywnie wpływa na popyt. Nikt nie lubi, gdy samoloty tak po prostu spadają. Jeszcze ktoś wpadnie na pomysł zbadania tego przy użyciu parówki i mikrofal. Komu to potrzebne?

Nim Łukasz zdołał odpowiedzieć, usłyszał drugiego młodocianego biznesmena.

– Panie inspektorze! Chyba coś znalazłem!

Łukasz po raz pierwszy w życiu poczuł, jak jego serce wypełnia koncentrat nadziei. Najchętniej wziąłby tego chłopaka w ramiona i zakręcił nim, jak zwykli to czynić aktorzy pod sam koniec komedii romantycznych, gdy wszystkie pułapki zostały ominięte, a do odbębnienia zostały już tylko ślub oraz puszczone do skocznej muzyki napisy końcowe.

– Datowany na wczoraj kupon na loterię z wytypowanymi sześcioma numerami.

Mężczyzna przebiegł spojrzeniem podsunętą pod nos kartę, a świat wokół z każdą chwilą tracił nieco koloru.

– To nie ten.

– Ale jak? – zapytał wyraźnie oburzony praktykant. – Wszystko się zgadza. Data, liczba wytypowanych pozycji, nawet kolory!

– To nie jest mój los!

Nagle archiwum zaczęło trząść się w posadach jakby pęczniąc. Szafki pękały i wyrzucały w powietrze fontanny kartotek. Pomieszczenie się zakołysało, a Łukasz wyładował na jednej ze ścian. Ostatecznie podłoga ustąpiła i zrzuciła go w ciemność.

Obudził się z krzykiem. Kołatanie serca, zimne poty, rozbiegany wzrok. Normalny poranek. Mimo oporu zeszytniałego karku podniósł się z kanapy, chłonąc godną pożalowania scenę, jaką przedstawiał jego pokój. Powyrzucane z szafy ubrania mieszały się z książkami oraz ziemią z doniczki rozbitej w szale poszukiwań. Ledwo trzymająca się życia paprotka pewnie z ulgą powitała początek końca męczarni.

Na ławie przy łóżku leżała prosta, wiązana teczka z wypełnionym raportem. Nawet ktoś już przybił w odpowiednich miejscach przypadkowe pieczętki imienne. Brakowało tylko jego podpisu. Oczywiście według dokumentu wszystko przebiegło pomyślnie, a audytor nie zgłasza żadnych zastrzeżeń.

Mógł jedynie pokręcić głową z politowaniem. Podstawowy błąd. Nic tak nie zwraca uwagi, jak zbyt pozytywny raport. Brak zidentyfikowanych uchybień oznacza konieczność wysłania kogoś, kto sprawdzi wszystko znacznie dokładniej, a tego nie chce żadna poważna instytucja.

Łukasz wstał chętniej niż kiedykolwiek wcześniej. Nie udało mu się odszukać wspomnienia, ale to jeszcze nie koniec. Na odbiór wygranej miał trzydzieści dni, a jeśli raz zdołał wyśnić archiwum myśli zgubionych, da sobie radę ponownie. A w dodatku dysponował teraz argumentem koronnym: trzeba dostarczyć raport. Grzegorz na pewno mu pomoże.

Ruszył do pracy, nie mogąc doczekać się nocy.

O autorze

Piotr Szczepońnik – urodzony w 1986 roku miłośnik fantastyki, grozy oraz strzelectwa. Mieszanka zainteresowań w połączeniu z wrodzonym talentem do wyrządzania sobie krzywdy sprawia, że jego życie to ciągłe balansowanie na krawędzi. Nigdy nie wiadomo, co przyniesie kolejny dzień. Czy to będzie zacięcie kartką? Może rozgrzana łuska odbije się od czoła i wleci za kołnierz? Bycie urzędnikiem i pisanie wydawało się mniej kontuzjogenne. Wydawało.



Małgorzata Lewandowska

Ostatni portret

M.P. Hardy

Kobięcy portret to miejsce zbrodni, gdzie malarz porzucił dowody swojej obsesji, a modelka – resztki tajemnicy.

Zawisza czuł, że to on jest ofiarą. Płótno stawiało opór: było napięte niczym płat świeżej skóry. Każde pociągnięcie pędzla przypominało nie pieszczoty, lecz precyzyjne nacięcia, jakby próbował skalpelem wydobyć prawdę ukrytą głęboko pod warstwą gruntu. Szpachla zgrzytała z suchym trzaskaniem, które w ciszy pracowni brzmiało jak łamanie drobnych kości.

Wynajmowana przestrzeń malarska przy ulicy Kolumba odychała farbą i dojmującą samotnością. Zapach terpentyny i oleju lnianego mieszał się z aromatem czekolady z pobliskiej fabryki, tworząc mdłą woń, która wżerała się w ubrania. Wąskie smugi jasności przecinały kurz unoszący się nad porozrzucanymi pędzlami, tubkami, notatnikami, szkicami oraz sztalugami, oświetlając tuziny kobiecych portretów i subtelnych aktów w różnych rozmiarach i stadiach ukończenia.

Każdy niedoskonały.

Zawisza odsunąwszy się od płótna, obserwował, jak popołudniowe promienie tańczą na mokrej farbie. Światło wydawało się płaskie, pozbawione ciepła, jakby ktoś nieudolnie nałożył

laserunek na starą deskę. Palce artysty, pokryte bielą i ugiem, drżały nad paletą, gdy pędzlem nabierał ultramarynę. Przed nim z gęstej mazi barw wylaniały się delikatne rysy, które próbował uchwycić już po raz dziewiąty w tym tygodniu.

Sięgnął po kubek z kawą. Była zimna. Zawsze była zimna, jakby stygła w momencie, w którym nalewał ją z kawiarki. Pociągnął łyk. Czarna ciecz nie miała smaku, stanowiła jedynie rekwizyt, który uspokajał dłonie.

Zacznął każdy dzień podobnie: kawa, szybki szkic, potem malowanie aż do zmierzchu, gdy cienie w pracowni stawały się zbyt głębokie, by odróżnić błękit od czerni. Coraz rzadziej wychodził na zewnątrz. Świat za oknem wydawał mu się zbyt hałaśliwy, zbyt chaotyczny, pozbawiony właściwej perspektywy. Coraz częściej ryglował drzwi na cztery spusty, ignorując natarczywe dzwonięcie telefonu i kalendarz z przekreślonymi datami wernisaży.

W centrum tej rutyny stała ona. Muza. Studentka teatrologii, dorabiająca jako modelka u studentów malarstwa. Jej uroda przypominała klasyczne rzeźby: delikatne rysy, alabastrowa skóra i oczy koloru letniego nieba, które zawsze zdawały się patrzeć gdzieś poza ramy obrazów. Miała w sobie coś eterycznego, jakby nie należała w pełni do tego świata.

Muza. Jego obsesja i przekleństwo.

Od pierwszego spotkania na uczelni nie potrafił przestać o niej myśleć, ale nie była to jedynie tęsknota mężczyzny do kobiety. Jej obecność nadawała sens każdemu pociągnięciu pędzla. Malował ją wciąż na nowo – w surowym świetle poranka, w dusznym półmroku popołudnia, czasem z pamięci, jakby próbował odtworzyć jej twarz z gęstwiny urojeń. Każdy portret był próbą uchwycenia tej iskry – błysku w oku, gestu dłoni, cienia uśmiechu. Tego czegoś, co sprawiało, że serce Zawiszy przyspieszało.

Muza siedziała naprzeciwko artysty, pozując na starym, wyściełanym fotelu. Miała niewątpliwy talent. Nie mrugała, nie zmieniała ułożenia dłoni, nie poprawiała ubrań. Jej klatka piersiowa ledwo się unosiła, jakby oddychanie stanowiło jedynie zbędny dodatek do idealnej pozy.

– Może wystarczy na dziś? – odezwała się, płynnie przesuwając dłonią po karku. – Siedzę tu już trzy godziny. Hej, Zawisza, dobrze się czujesz?

Złapał się na tym, że nie słucha modelki. Analizował światło na jej policzku, które nie zanikało wraz z zachodem słońca. Studiował układ włosów i linie szyi, szukając błędu w kompozycji, którego nie potrafił naprawić. Sztuka stała się dla niego ważniejsza niż inspirująca ją osoba.

– Jeszcze pięć minut – wychrypiał, próbując zapamiętać dokładny odcień różu ust.

Muza westchnęła. Przychodziła do pracowni regularnie, ale zawsze z dystansem, który stawiał między nimi niewidzialną szybę. Pozowała cierpliwie, czasem żartowała, innym razem zamykała się w sobie tak szczelnie, że stawała się posągiem. Była uprzejma, lecz nieprzenikniona – jej spojrzenie, choć ciepłe, zdawało się omijać malarza.

Cisza w pracowni zgęstniała, potęgując suchy szelest pędzla i miarowy oddech modelki. Zawisza pogrążył się w transie; zapomniał o świecie poza ramami obrazu. W końcu poczuł ukłucie niepokoju, gdy cienie w kącie pracowni poruszyły się, jakby ożywione własną wolą. Potrząsnął głową, próbując odpędzić to wrażenie, ale zmęczenie sprawiało, że tracił kontrolę nad perspektywą. Ostatnio zdarzało mu się gubić w myślach. Coraz częściej tracił poczucie czasu.

Kiedy ocknął się z odrętwienia, fotel był pusty.

Muza wyszła. Ale kiedy? Zawisza nie usłyszał skrzypnięcia drzwi, nie zapamiętał pożegnania ani dźwięku kroków na schodach. Został sam na sam z obrazem, który wciąż go nie satysfakcjonował.

To nie było to. To nigdy nie było to.



Zajęcia na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuki w Szczecinie miały w sobie coś z nużącego rytuału: szuranie sztalug o parkiet, zapach świeżych płócien i cichy gwar studentów, którzy z każdym

semestrem stawali się Zawiszy coraz bardziej obcy. Ich ambicje wydawały mu się błahe, a lęki o przyszłą karierę – dziecinne.

Wszedł do sali z teczką pełną nowych prac. Był spięty, jakby pod pachą niósł sekrety, a nie obrazy. Towarzyszył mu Ryś. Uparty przyjaciel z czasów liceum malował głównie bezpieczne, przewidywalne pejzaże, ale jako jedyny nie rezygnował z prób zrozumienia tego, co nazywał artystycznym zacięciem Zawiszy.

– Znowu malowałeś ją całą noc? – spytał, zapewne na widok jego podkrążonych oczu. – Stary, jedziesz na oparach.

– Nie mogłem przestać – odparł Zawisza, rozstawiając prace. – Każdy portret wydaje się niepełny.

Ryś prychnął i pokręcił głową, przyglądając się półaktowi Muzy.

– Nic dziwnego. Gdybyś, dla odmiany, przestał szukać w niej metafizyki, a skupił się na długich nogach i tych jędrnych...

– Hm, hm – chrząknął wykładowca, po tym jak wyrósł zza ich pleców.

Profesor „Wilk” Wilczyński powoli przechodził między sztalugami. Stukot jego obcasów o parkiet brzmiał jak odliczanie wyroku. Zatrzymał się przed pracami Zawiszy; przesunął okulary na czoło, odsłaniając głęboki, czerwony ślad na nasadzie nosa. Milczał długo, wodził palcem w powietrzu tuż nad powierzchnią farby. Pozostali studenci zbierali się dookoła, tworzyli duszny półkrąg ciekawskich twarzy.

– Twój nowy cykl... – zaczął Wilk, ostrożnie gładząc ramę płótna, jakby dotykał chorego zwierzęcia. – Technika nienaganna. Światłocień kontrolowany, kolor do bólu harmonijny. Ale kim jest ta kobieta?

– To... Muza – wykrztusił Zawisza.

– Muza? – Profesor uniósł brew. – A czy ta Muza ma imię? Czy ma własne myśli, marzenia, lęki? Czy patrząc na te obrazy, widzę osobę, czy jedynie projekcje twoich fantazji? A może to tylko preparat, idealnie zakonserwowany w oleju?

Zawisza poczuł rumieńce na policzkach.

– Sztuka to prawda – kontynuował Wilk. – A prawda bywa brzydka, niedoskonała, bolesna. Tymczasem te płótna to lustra twojej obsesji. Zamiast sportretować kobietę, tworzysz fantazmat.

Idealizujesz, zamykasz w ramie jak w klatce. Gdzie tu miejsce na prawdę? Na życie? Na choćby jeden niekontrolowany oddech? Skąd ta ucieczka w powtarzalność?

Ryś, widząc, że przyjaciel błędnie i zaczyna drzeć, próbował rozładować napięcie:

– Może Zawisza po prostu znalazł swój styl? – rzucił z wymuszonym uśmiechem i mrugnął do kolegów. – Wie pan, profesorze, „błękitny okres”, „różowy okres”... Może to „okres Muzy”?

Wilk nie odwzajemnił uśmiechu.

– Styl to nie więzienie, panie Ryszardzie – odparł, unosząc palec. – Sztuka nie polega na powielaniu marzeń i wygładzaniu rzeczywistości, tylko na zmierzeniu się z „tu i teraz”. Z brudem, z zapachem potu, z upływem czasu. A te prace... one są nieludzko niezmiennie.

Odwrocił się na pięcie i odszedł w stronę kolejnej sztalugi. Studenci również podążyli dalej, rzucając na Zawiszę współczujące spojrzenia lub zamieniając ciekawość w kpiące, jakby odrysowane od szablonów grymasy.



Po zajęciach Ryś dogonił Zawiszę na korytarzu, sapiąc i poprawiając pasek ciężkiej torby.

– Stary Wilk był dziś szczególnie zjadliwy. Twoje portrety są technicznie świetne, ale... może spróbuj czasem czegoś innego. Strzel jakiś pejzażyk, wyjdź do ludzi. Namaluj chociaż coś, co nie ma jej oczu.

– Pejzaże są dla dzieci – odburknął Zawisza i nie zważając na urażoną minę przyjaciela, zbiegł po schodach.

Wyszedł z budynku, by poszukać ratunku w rześkim powietrzu Szczecina, ale trafił chciwał, że na Placu Orła Białego spotkał Muzę. Siedziała na ławce, piękna jak nigdy i nieobecna jak zawsze. Na kolanach trzymała szkicownik – ten sam, którego nie pozwalała mu otwierać. Kiedy go zobaczyła, zbladła. Wyglądała na zakłopotaną, jakby czekała na kogoś innego.

– Dziękuję za wczorajszą sesję – powiedziała szybko, nerwowo domykając szkicownik i unikając jego wzroku. – Ale na razie zrobię sobie przerwę od pozowania. Muszę skupić się na własnych... projektach. Znajdź inną modelkę, proszę.

Świat zachwiał się, jakby ktoś gwałtownie szarpnął za krawędź płótna, na którym rozpięta była rzeczywistość Zawiszy. Poczuł, jak coś w nim pęka, a słowa grzęzną w gardle i zamieniają się w suchy proszek pigmentu.

Ona była jego światłem, jego inspiracją, jego wszystkim! Bez niej całe to miasto stawało się ledwie płaską, dwuwymiarową dekoracją.

Muza wykorzystała jego oszołomienie. Prędko się pożegnała i odeszła, zniknęła w tłumie szarych przechodniów. Zawisza został sam z teczką jej portretów pod pachą.



Reszta dnia upłynęła mu w półśnie.

Wyszedł na miasto, by choć na chwilę uciec od dusznej atmosfery pracowni, ale Szczecin przywitał go wrogo. Słońce wisiało nad Odrą niczym koło wycięte z żółtego papieru. Nie raziło w oczy, nie dawało ciepła – było po prostu plamą najtańszej żółci kadmowej, nałożoną zbyt grubą warstwą na wyblakłym firmamencie.

Cienie budynków stały się nienaturalnie ostre, czarne jak smoła pogazowa, pozbawione przejść tonalnych. Świat wokół Zawiszy przypominał niedokończony szkic, któremu ktoś zapomniał nadać głębię. Ludzie mijali go bez słowa, płascy i sztywni jak kartonowe wycinanki, przesuwane niewidzialną ręką po chodnikach.

Kiedy dotarł pod Urząd Miejski, kamienny gryf strzegący wejścia wydał mu się większy niż zwykle. Gdy artysta przechodził obok, bestia powoli poruszyła łbem. Nie było to złudzenie – kamień zgrzytnął, posypał się z niego pył. Puste oczodoły gryfa śledziły każdy krok Zawiszy z pogardą należną intruzowi, który nie zna swojej roli w kompozycji.

– Wracaj do ramy – zdawał się szumieć wiatr w koronach platanów.

Gryf naprężył mięśnie, gotów skoczyć i wyrzucić malarza poza granice tego trójwymiarowego świata, do którego Zawisza ewidentnie przestał pasować.

W głowie artysty pulsowały słowa Wilka: obsesja, więzienie, ucieczka. Gdy wracał do pustej pracowni, zrozumiał, że jego rzeczywistość się kurczy. Wszystkim, co posiadał, były obrazy, a każda próba uchwycenia Muzy coraz bardziej go od niej oddalała...

Tego wieczora znów malował z pamięci.

Tworzył jak opętany. Nie wybierał barw, tylko wrywał je z palety. Używał wszystkich kolorów naraz: czerwieni, czerni, błękitu, złota. Farby nie schły, lecz walczyły ze sobą na płótnie, tworząc apokaliptyczną, błotnistą wizję.

Dopiero kiedy o świcie opadł z wyczerpania, a dłonie – ubrane aż po łokcie – zaczęły drżeć, zobaczył, co stworzył. Na tle alabastrowej twarzy namalował całe miasto. Mroczny Szczecin, pełen poskręcanych ulic i trawionych ogniem gmachów. Muza stała się częścią tej architektury, jej oczy ziały oknami płonących kamienic, a włosy przeobraziły się w gęsty dym snujący się nad czarnymi wodami Odry.



Spóźniony na własny wernisaż, Zawisza pchnął drzwi ProMedii.

Nowoczesna biblioteka w sercu Szczecina tętniła życiem, jak przystało na miejsce, które stało się kulturalnym salonem miasta. Popołudniowe światło, rozproszone na szklanych ścianach, wydawało się jednak artyście zbyt jasne, zbyt czyste. Szelest ubrań, szum wentylacji i stłumiony gwar rozmów zlewały się w obcą, multimedialną mozaikę, która kompletnie nie przystawała do wnętrza jego pracowni.

Tego dnia w ramach „Mecenatu Sztuki Współczesnej – Debiuty 2026”, ufundowanego przez Kancelarię Wenturicz, w przestrzeni wystawowej ProMedii eksponowano dawne dzieła Zawiszy – te sprzed czasu, gdy Muza stała się jego obsesją. Większość była pogodna, pełna światła i ruchu: *Podwórko przy Świętego Ducha*

z bawiącymi się dziećmi, *Tramwaj nr 5 o świcie* z rozmytymi konturami pasażerów czy miejskie pejzaże w pastelach.

Zawisza dostrzegł bolesną prawidłowość. Z każdym kolejnym płótnem, z biegiem lat systematycznie usuwał ze świata ludzi. Ostatni obraz z cyklu nosił tytuł *Samotność*. Przedstawiał niewyraźną, rudowłosą dziewczynę w deszczu na tle opustoszałego Dworca Głównego.

Ludzie krążyli między obrazami. Szeptali, robili zdjęcia telefonami. Nikt nie wiedział, że autor stoi tuż obok i przygląda się swojej przeszłości jak obcemu, niezrozumiałemu światu.

Burczało mu w brzuchu, a przynajmniej tak interpretował ten tępy ból w środku. Kiedy ostatnio jadł? Próbował sobie przypomnieć smak wczorajszej kolacji, fakturę chleba, zapach masła. Nic. Pamięć podsuwała mu jedynie obrazy martwej natury z jabłkami, które malował na pierwszym roku.

Przeszedł wzdłuż ściany i zatrzymał się przy *Autoportrecie z nawiedzeniem*. Widząc siebie sprzed lat, poczuł ukłucie żalu – tamten chłopak na płótnie miał w oczach blask i lekkość życia, których Zawisza nie potrafił już odnaleźć pod warstwami znużenia. Nawet podpisy się nie zgadzały. Od jakiegoś czasu sygnował obrazy samym nazwiskiem, grubymi literami. Tymczasem tutaj, w rogu każdego płótna, widniały drobne, eleganckie inicjały: „M.Z.”.

Odwrócił się, gdy usłyszał za plecami znajomy głos.

Muza stała za nim zamyślona, z dłonią opartą o podbródek.

– Nie wiedziałam, że masz tu wystawę. – Podeszła do niego z lekkim uśmiechem. – To... zupełnie inne obrazy niż te, które malujesz teraz.

Zawisza skinął głową. Czuł się nagi, wystawiony na widok publiczny wraz ze wszystkimi skrawkami przeszłości.

– To było zanim... – urwał, obawiając się jej reakcji.

Muza spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– Zanim co?

– Zanim zacząłem malować ciebie – wyznał szeptem. – Wtedy wszystko było... prostsze. Świat miał trzy wymiary. Farba była tylko farbą...

Muza przez chwilę milczała, wodząc wzrokiem po płótnach.

– Na żadnym z tych obrazów nie widzę siebie. Nawet ta dziewczyna, o tam, na dworcu... – Wskazała na *Samotność*. – Ona jest inna. Bardziej obecna, bardziej prawdziwa. Niedoskonała.

– Może dlatego, że wtedy nie próbowałem nikogo zatrzymać na zawsze – powiedział cicho. – Po prostu malowałem to, co widziałem.

Muza spojrzała mu w oczy. Dostrzegł w jej źrenicach swoje małe odbicie, uwięzione w błękitach tęczy.

– I może właśnie dlatego te obrazy są takie żywe.

Zawisza odwrócił wzrok. Czuł, jak narasta w nim wątpliwość.

W tłumie odwiedzających na ułamek sekundy dostrzegł swoją sylwetkę, stojącą nieruchomo przy martwej naturze. Kiedy jednak mrugnął, postać zniknęła. Przeszedł obok kolejnego płótna i znów zobaczył siebie, tym razem jako chłopca na dziecięcym portrecie. Zrobiło mu się zimno.

Muza dotknęła jego ramienia.

– Wszystko w porządku?

– Tak – skłamał. – Po prostu... dziwnie tu być.

Z *tobą*, dodał w myślach.

W głowie wirowały mu obrazy, których nie pamiętał: setki sesji, tysiące pociągnięć pędzla, godziny spędzone na bezruchu. Na ścianach migwały twarze, które coraz trudniej było mu odróżnić od własnej. Przestrzeń biblioteki zaczęła się rozmywać, a gwar głosów zamienił się w szmer, w którym wyczuwał powtarzane szeptem imię. Tylko czyje?

Rozejrzał się gwałtownie. Gdzie się podziała Muza?

Zawisza cofnął się i niemal upadł, gdy spojrzał na polerowaną posadzkę. W jej lustrzanej tafli nie dostrzegł swojego odbicia, tylko pustą salę i ramy wiszące na ścianach. Kiedy podniósł wzrok, rzeczywistość ostatecznie pękła. Wszystkie obrazy na ścianach jak na komendę odwróciły się tyłem, ukazując surowe, brudne krosna i numery inwentarzowe. Tylko *Tramwaj nr 5* pozostał widoczny. W jego oknach, zamiast pasażerów, migwały dziesiątki twarzy Muzy. Każda patrzyła na malarza z inną emocją: od litości po przerażenie.

Ścigany przez lęki, Zawisza wybiegł z biblioteki. Po raz pierwszy nie wiedział, kim jest – artystą, który szuka prawdy

w cudzych rysach, czy człowiekiem, który zgubił siebie w pogoni za niemożliwym ideałem.



Wieczorny Deptak Bogusława pulsował wysokimi światłami i niskim gwarem. Zawisza szedł powoli, mijając kawiarnie, których szyldy rozświetlały mokry bruk ciepłymi kolorami. Ludzie rozmawiali przy stolikach, śmiali się, unosili kufle i filiżanki. On zaś czuł się jak widz za szybą – niewidzialny, oddzielony od życia cienką warstwą niedoschniętego werniksu. Każde światło wydawało się zbyt ostre, każdy głos zbyt odległy, jakby miasto zaczęło funkcjonować według własnych, niepojętych reguł.

Zawisza nie widział już ludzi. Nie słyszał już pojedynczych zdań, tylko narastający szum. Wyłapywał w nim czasem swoje imię, ale brzmiało ono obco, zniekształcone przez nieznane usta.

Przystanął przy witrynie wypełnionego po brzegi lokalu. W szybie odbijała się jego sylwetka, lecz twarz miała rysy Muzy – ten sam układ brwi, identyczne zagięcie warg. Mrugnął, próbując strząsnąć z siebie to złudzenie. Odbicie wróciło do normy, ale na szyi pozostała smuga ultramaryny.

Kątem oka dostrzegł znajomą sylwetkę. Czyżby to była tamta rudowłosa dziewczyna z obrazu *Samotność*?

Odwrócił się, lecz zobaczył tylko przechodniów. Ich twarze wydawały się niepokojąco znajome, jakby należały do ludzi z jego dawnych obrazów. Każdy gest, uśmiech, każde spojrzenie – wszystko było niepokojąco powtarzalne.

Im dalej szedł, tym bardziej Deptak Bogusława się zmieniał. Latarnie nie świeciły już punktowo; rozlewały blask po bruku jak rozmażane plamy farby. Szyldy pulsowały nienaturalnym rytmem, a ogródki kawiarniane rozrastały się w nieprawdopodobne labirynty stali, wikliny i szkła. Rozmowy przy stolikach zlały się w jeden szeleszczący szmer. Dźwięk przypominał darcie papieru. Zawisza ze zgrozą rozpoznawał w nim swoje najskrytsze myśli, wymawiane obcymi głosami.

Dotarł do Placu Grunwaldzkiego i znieruchomiał przy magnolii. Drzewo wydawało się martwe, namalowane ciężkim impastem na tle fioletowego nieba. Artysta obserwował, jak tramwaj linii numer 5 zgrzyta na szynach i zatrzymuje się na przystanku. Drzwi się otworzyły, ale zamiast pasażerów wysiadły postacie o zamazanych twarzach: sylwetki zmarłych rodziców, dawno niewidzianych znajomych oraz osób z najstarszych szkicowników Zawiszy. Ich kontury były rozciągnięte i nieostre, jakby ktoś namalował je na zbyt wilgotnym papierze i pozwolił farbie spłynąć. Przechodziły obok malarza bez słowa.

Wagonów przybywało, choć tory nie powinny ich pomieścić. Niczym szklane węże, tramwaje zyskiwały fantastyczne kształty: jeden przypominał gigantyczny szkicownik, inny miał okna w kształcie złożonych ram, jeszcze inny był w całości obszyty morowym płótnem. Gdy z metalicznym jękiem mijały Zawiszę, dostrzegł na ich bokach identyczne napisy reklamowe:

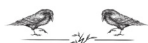
**Jeszcze dzisiaj zapraszamy na niezwykle wernisaż:
 AUTOPORTRET DWUSTRONNY
 malarski duet w lustrzanym odbiciu**

Plac Grunwaldzki rozciągał się, tracąc swoją geometrię. Gwiazdziste ulice odchodzące od ronda wiły się w nieskończoność. Przechodnie stawali się coraz mniej wyraźni; ich twarze zamieniały się w bezkształtne plamy suchej farby.

Zawisza ruszył przed siebie, nie wiedząc, dokąd idzie.

Każdy krok przenosił go głębiej w miasto, które coraz mniej przypominało Szczecin, a coraz bardziej scenerie z jego obrazów. Czuł, że świat wokół staje się miękkim, rozmazany, jakby ktoś rozciągnął granice rzeczywistości.

Nie wiedział, ile czasu minęło, zanim zorientował się, że nie potrafi już samodzielnie obrać kierunku.



Czas i przestrzeń przestały mieć znaczenie. Wszystko, co widział Zawisza, było jednocześnie znajome i obce. Szczecin, w którym mieszkał, i Szczecin, który przez lata systematycznie przemalowywał w głowie.

Szedł przez opustoszałe ulice, gdzie światło latarni rozlewało się jak rozcieńczona farba, a budynki zdawały się goreć podtynkowym światłem. Minął strzelistą bryłę Filharmonii, której białe krawędzie odcinały gmach od reszty miasta. Każda ulica prowadziła gdzieś indziej. Każdy zakręt stanowił przejście do nowej sali galerii pełnej nieskończonych obrazów. Każdy szczegół był przerysowany, jakby ktoś wyostrzył kontrast.

Kamienne gryfy, zeskoczywszy z fasad, przemykały wśród cieni. Ich złote korony lśniły w mroku, a czerwone łapy zostawiały na bruku wielobarwne ślady. Mityczne bestie nie polowały; obserwowały Zawiszę z wyższością kustoszy. Pilnowały, by ten nieduany model nie opuścił granic narzuconej mu ramy.

Gdy artysta dotarł do Wałów Chrobrego, piaskowcowy taras widokowy wydał mu się gigantyczną sztalugą podtrzymującą nocne niebo. Zbiegł po kamiennych schodach w stronę Odry, a rzeźba Herkulesa walczącego z centaurem ożyła w półmroku, rzucając cień, który próbował chwycić go za poły płaszcza.

Wzdłuż nabrzeża stopy malarza pozostawiały zagłębienia w mazi przypominającej połączenie farby olejnej i portowego szlamu. Zapach terpentyny przenikał się z rybim odorem, tworząc mdłą mieszaninę drażniącą gardło. Zawisza przekroczył granicę. Znalazł się w Mieście Pamięci – miejscu, gdzie wszystko było echem jego wspomnień, lęków i pragnień.

Przechodził właśnie przez Łasztownię, gdy wznosząca się tam rdzawa, najeżona światłami bryła Morskiego Centrum Nauki zapulsowała w ciemności niczym gigantyczny, porzucony na brzegu kadłub statku widma. Kawałek dalej, wzdłuż linii wody, trzy żurawie portowe, Dźwigozaury, ożyły. W kabinach rozbłysły oczy z kolorowych reflektorów, omiotły nabrzeże snopami żółci i błękitu. Stalowe ramiona drżały jak ścięgnię żywych istot. Z haków zwisały obrazy Zawiszy – głównie portrety Muzy, ale też dziecięce szkice, płótna pełne tęsknoty i rozpacz. Dźwigozaury poruszały

się powoli, w takt oddechu malarza, a każde skrzypnięcie ich konstrukcji brzmiało jak pękanie kolejnych klatek pamięci.

Miasto prowadziło go dalej, aż pod bramy Cmentarza Centralnego. Rozległa nekropolia przywitała artystę nienaturalną ciszą, którą co chwilę przerywał suchy dźwięk tysięcy przewracanych kart szkicownika.

Nagrobki przybrały kształty powykręcanych, kamiennych sztalug, a wyryte na nich epitafia powtarzały zjadliwe uwagi Wilka z recenzji dyplomowych:

**zbyt dosłowny
brak dystansu do modelki
technika nad treścią**

Cienie przechadzały się między grobami; szeptały imię Zawiszy, a on sam czuł się jak gość na własnym pogrzebie. Przystanął, gdy mróz ścisnął mu gardło. Na jednym z nowych pomników, wykonanym z gładkiego, czarnego granitu, ujrzał bowiem swoje nazwisko. Napis został wykuty czcionką, która przypominała jego pismo:

**ARTYSTA, KTÓRY ZAPOMNIAŁ
ŻE MALUJE LUDZI
A NIE PRZEDMIOTY**

Pod spodem widniała data:

17 marca

Dzień pierwszej sesji z Muzą.

Zawisza nie musiał zamykać oczu, by tam wrócić. Wspomnienie uderzyło go z siłą fizycznego pchnięcia.

Wtedy, tamtego marcowego popołudnia, wszystko wydawało się jeszcze pod kontrolą. Muza siedziała na fotelu, a on, pewny swojej ręki, nakładał pierwsze szkicowe linie.

– Źle stoisz – rzuciła nagle, przerywając pozowanie.

– Co? – Zawisza zamrugął. – To ty pozujesz.

Muza uniosła się wówczas z fotela. Podeszła do niego powoli i płynnie, jakby dryfowała w powietrzu, a nie stąpała po podłodze.

Chwyliła go za podbródek.

– Światło pada ci na czoło pod złym kątem. Psujesz kompozycję – mruknęła, przekręcając jego głowę w stronę okna. – Bark wyżej. O tak. Teraz wreszcie pasujesz do tła.

– O czym ty mówisz? – Zaśmiał się nerwowo, próbując obrócić sytuację w żart. – To ja jestem malarzem, a ty modelką. Chyba że chcesz się zamienić?

Spojrzała na niego z politowaniem, jak rzeźbiarz patrzący na krnąbrną glinę. Potem, jak gdyby nigdy nic, wróciła na miejsce. Ten jeden gest zmienił jednak wszystko. Mięśnie Zawiszy zastygły w narzuconej przez Muzę pozycji. Nie mógł już opuścić barku. Nie mógł odprowadzić jej wzrokiem...

Wspomnienie pękło jak sparciałe, zbyt mocno naciągnięte płótno.

W głuchej, cmentarnej ciszy usłyszał za plecami głos Rysia:

– Pogrzebałeś nas wszystkich. – Przyjaciół stał w przybrudzonym mundurze woźnego Akademii. Trzymał szeroki, mokry pędzel zamiast miotły. – Ale najgłębiej pogrzebałeś siebie.

Zawisza z wrażenia trącił nagrobek, który rozpadł się na kawałki, odsłaniając surowe płótno z serią szybkich szkiców: Muza odwrócona plecami, akt Muzy z zasłoniętymi oczami, cień Muzy na ścianie. W rogu każdego szkicu migotała czerwona pieczęć Akademii oraz napis:

korekta: brak światła kierunkowego

Na nic się zdała ucieczka. Żaden kierunek nie dawał schronienia. Miasto Pamięci wciągało artystę głębiej.

Nie wiedząc jak, dotarł nad Jezioro Szmaragdowe. Woda nie przypominała tu cieczy; lśniła nienaturalnym, ciężkim i kredowym blaskiem, a powietrze drgało wokół Zawiszy w postaci miliónów drobnych, jaskrawych kropek, jak na obrazach puentystów.

Muza wynurzyła się z wody jako mityczna syrena. Jej włosy falowały błękitem nasyconego nieba, a ogon mienił się setkami

odcieni zieleni. Śpiewała cicho, a jej pieśń, smutna i piękna zarazem, niosła żal i tęsknotę za utraconym światem.

– Liczyłeś kiedyś warstwy? – spytała, wskazując na swoje ciało pokryte laserunkami. – Pod tą szmaragdową powłoką jest hematytowy grynszpan, a pod nim... głęboko pod spodem, wciąż tkwi twoja pierwsza, nieporadna wersja z siedemnastego marca.

Zawisza, w poszukiwaniu jakiegokolwiek broni przeciwko tej wizji, sięgnął po pędzel utkwiony w piasku. Włosie rozpadło się jednak na pojedyncze, sztywne kreski – identyczne jak te w jego starym zeszycie do ćwiczeń z rysunku gesturalnego. Fale Jeziora Szmaragdowego, zamiast uderzać o brzeg, zaczęły układać się w precyzyjne, podręcznikowe diagramy anatomii dla artystów, przekroje mięśni i sploty ścięgien.

– Wciąż nie rozumiesz? – Muza zarzuciła ogonem, ochlapując malarza kroplami farby akrylowej. – Jesteś w samym środku własnego szkicownika. Każda kreska to pręt kraty więzienia, które sam zaprojektowałeś.

Po tych słowach cała szmaragdowa przestrzeń zaczęła się gwałtownie rozmywać. Kolory spływały, mieszały się w brudną szarość, by po chwili, z niemal słyszalnym uderzeniem, przybrać monumentalny kształt gmachu Książnicy Pomorskiej.

Wnętrze biblioteki było labiryntem regałów, wijących się jak wstęgi Möbiusa. Na każdej półce leżały książki opatrzone imieniem Zawiszy. Tomy otwierały się same, ukazując strony zapisane nie tekstem, lecz technikami malarskimi. Wszystkie dzieła opisywały obrazy malarza i analizowały obsesję; rozkładały na czynniki pierwsze każde pociągnięcie pędzla i poddawały wiwisekcji każdy portret Muzy.

Zawisza przechadzał się między regałami. Wokół, po gzym-sach i szczytach szaf, przemykały miniaturowe kamienne gryfy. Syczały ostrzegawczo, gdy artysta próbował ich dotknąć.

W lustrzanych oknach biblioteki rzeczywistość ulegała ostatecznemu zatarciu. Zawisza nie widział w nich własnego odbicia, tylko korowód postaci: Muza jako szmaragdowa syrena, jako eteryczny duch z Placu Orła Białego, jako chłodna modelka z pracowni, a w końcu... on sam.

W dziale rękopisów znalazł dziennik, napisany jego pismem. Dokumentował jednak wydarzenia, których Zawisza nie potrafił sobie przypomnieć, i opisywał uczucia, których artysta być może nigdy nie miał odwagi doświadczyć:

22 marca – Muza powiedziała dziś, że kocha innego. Ale gdy patrzę na swoje obrazy, widzę w nich prawdziwą miłość. Czy ona kłamie, próbując uciec przed przeznaczeniem? Czy może to ja, warstwa po warstwie, tworzę rzeczywistość, która nigdy nie miała prawa zaistnieć poza ramą?

28 kwietnia – Zaczynam rozumieć, że moje obrazy żyją własnym życiem. Każdy portret Muzy przedstawia zupełnie inną kobietę. Jedna ma w oczach obietnicę poranka w pościeli. Inna – lód rozstania bez nadziei. Kolejna zdaje się spoglądać z lustra z wyższością antycznego bóstwa. Którą z nich powinienem kochać?

5 czerwca – Śniłem o mieście zbudowanym z moich wspomnień; o Szczecinie, który jest jedynie dekoracją dla jednej, jedynej sceny. Wszystkie drogi, wszystkie labirynty ulic i korytarze bibliotek prowadziły nieuchronnie do niej. Ale każda z tych dróg okazywała się ślepą uliczką z namalowaną ścianą.

Zawisza czytał zapiski z rosnącą paniką. Czy te litery naprawdę wyszły spod jego ręki? Czy może Miasto Pamięci tworzyło własne dokumenty, własną historię jego obsesji?

Przerzucił kilka kartek. Choć następne strony zdawały się puste, w miarę jak wodził po nich wzrokiem, na papierze zaczęły wykwitać świeże, wilgotne jeszcze słowa. Opisywały obecne doświadczenia artysty w czasie rzeczywistym, jakby pióro niewidzialnego kronikarza śledziło każdy skurcz jego serca:

Oddech Zawiszy jest urywany, dłonie drżą, a w oczach czai się obłęd kogoś, kto przestał rozumieć reguły swojego istnienia. Czyta ten opis i nie wie, czy oszalał, czy może dotarł do sedna rzeczywistości.

Malarz gwałtownie zamknął dziennik. Odczekał chwilę, walcząc z mdłościami, po czym ponownie otworzył okładkę. Nowy akapit już tam był, bezlitosny i precyzyjny:

Zamknął dziennik ze strachu, szukał ratunku w zaprzeczeniu. Ale nie może powstrzymać się od sprawdzenia, czy opis jego czynności nadal się pojawia. Tak, pojawia się. To dziennik-lustro, który

dokumentuje jego agonię w czasie rzeczywistym. Widzi teraz słowo „agonia” i zaczyna drżeć.

Zawisza upuścił wolumin na podłogę i potykając się o własne nogi, rzucił się do ucieczki w głąb biblioteki.

Wpadł do sali multimedialnej, gdzie panował nienaturalnie błękitny mrok. Na jednym z wielkich rzutników zobaczył wyświetlony schemat instalacji *Portret dwustronny*. Pod technicznym rysunkiem przedstawiającym dwie sylwetki wpisane w okrąg widniała sucha adnotacja:

do poprawy: brak integracji postaci

– To twoja ostatnia szansa! – Głos Muzy dobiegał z głośników, które kształtem przypominały wielkie tubki farb. – Wyjdź z kadru, zanim ostatnia warstwa werniksu skleci ci powieki!

Zawisza upadł na kolana, tracąc resztki tchu. Próbował się po-deprzeć, ale dłonie odcisnęły krwawe ślady na płótnie *Autoportretu z nawiedzeniem*, które nagle wyrosło z podłogi. Kiedy z trudem podniósł wzrok, odkrył, że biblioteka przestała istnieć. Wszystkie ściany aż po sam sufit pokrywały teraz gigantyczne, pożółkłe rysunki studyjne – każdy opatrzony oceną i datą korekty.

Wtedy, jak w najgorszym koszmarze, tramwaj linii numer 5 z ogłuszającym zgrzytem przejechał przez salę. W wagonach, niczym w ruchomych ramkach, siedziały dawne wcielenia Zawiszy: student zgarbiony nad sztalugą pod okiem profesora Wilka, chłopiec rysujący gryfy na odrapanych murach szczecińskich kamienic, aż wreszcie niemowlę w domu dziecka, które zamiast grzechotki zaciskało w piąstce złamany pędzel.

Po chwili, która zdawała się wiecznością, tramwaj zniknęła w ciemnym tunelu między regałami. Za pojazdem uniosły się wirujący pył i pojedyncze zdjęcie autora z wernisażu w ProMedia. Zawisza chwycił je drżącymi palcami, zostawił tłuste odciski na lśniącej emulsji. Na jego oczach twarz na fotografii zaczęła się rozmywać i rekonstruować. Ostatecznie przybrała rysy Muzy.



Zamiast walczyć z rzeczywistością, Zawisza po prostu pozwolił jej płynąć...

Opera na Zamku powitała go chłodnym światłem i gęstą ciszą. Wejścia do sali strzegły gryfy – tym razem nieruchome, o martwych, szklanych oczach. Widownię wypełniały rzędy postaci o znajomych twarzach: Muza w nieskończonych wcieleniach, od syreny po modelkę, oraz cienie dawnych wersji jego samego. Wszyscy siedzieli sztywno, ubrani w białe, ochronne kombinezony malarskie, jakby bali się pobrudzić światem, który ich otaczał.

Wyczekując spektaklu, Zawisza znalazł w łożu szkicownik oprawiony w czarną skórę, z wytłoczonymi inicjałami: „M.Z.”. Na pierwszej stronie widniał precyzyjny plan scenografii do *Der Doppelgänger. Krzywe zwierciadła* – projektu ukazującego artystę w różnych fazach twórczych.

Kiedy gorączkowo przewracał kartki, dostrzegł dziesiątki własnych sylwetek, naszkicowanych z anatomiczną precyzją. Niektóre rysunki opatrzone technicznymi uwagami:

**za mało światła w prawym oczodole – postać traci
głębię psychologiczną
nieprawidłowy układ mięśnia naramiennego – poprawić napięcie**

Kurtyna uniosła się, odsłaniając scenę-pracownię oraz podwójną iluzję: Zawiszę malującego Muzę, która jednocześnie, w identycznej pozie, malowała jego.

W tle rozbrzmiały pierwsze takty *Der Doppelgänger* Franza Schuberta, w aranżacji z tenorem śpiewającym polski przekład tekstu Heinricha Heinego pod tym samym tytułem.

– *Cicha noc... Szumią martwe ulice...*¹ – Każde słowo odbijało się od rzeźbionych gryfów, nabierając złowrogiego charakteru.

Światło sceniczne skupiło się na postaci malarza, który z gorączkową precyzją nakładał warstwy farby na płótno. Kolejny

¹ H. Heine, *Der Doppelgänger* (incipit: „Still ist die Nacht, es ruhen die Gassen”), w: *Buch der Lieder*, cykl *Die Heimkehr*, nr XX, Hamburg 1827, Hoffmann und Campe, s. 198. Dostęp online: <https://onb.digital/result/10960129> [4.08.2026]. Wszystkie przytoczone fragmenty utworu są w przekładzie autora opowiadania.

reflektor wyłonił z mroku Muzę – ni to kobietę z krwi i kości, ni to cień, ni to posąg z marmuru.

Każdemu pociągnięciu pędzla na płótnie towarzyszył bolesny grymas na twarzy modelki – gwałtowne ściągnięcie brwi i zaciśnięcie warg, jakby ruch włosia ranił jej skórę. Kiedy sceniczny Zawisza w malignie tworzenia namalował źrenicę, Muza po drugiej stronie krosna krzyknęła rozdzierająco i chwyciła się za oko. Publiczność westchnęła, gdy z oczodołu spłynęła strużka ultramaryny. Zawisza na widowni poczuł z kolei palący ból w opuszkach palców. Podniósł dłoń do oczu – skóra łuszczyła się, odsłaniając spodnią warstwę w kolorze alizaryny.

– Czy widzisz już?! – zawołała sceniczna Muza. – Każda warstwa to nowa membrana między nami. Im więcej malujesz, tym grubsza staje się zasłona.

– *Och! Czyich oczu płoną tam znicze?*² – zawtórował jej głos tenora.

Gryfy wśród publiczności uniosły kamienne łby, tworząc żywy chór.

Na scenie sytuacja eskalowała. W kulminacyjnym momencie utworu Muza zaczęła nakładać warstwy bieli cynkowej na wizerunek Zawiszy. Z każdym pociągnięciem jego sceniczny odpowiednik tracił kontury, aż w końcu przestał przypominać człowieka; stał się srebrnym sztyftem na czarnym płótnie.

– *Cóż za upiornie blade oblicze!*³ – wyśpiewał tenor, gdy orkiestra uderzyła w crescendo i zaczęła grać z nową, opętańczą werwą.

Zawisza na widowni patrzył przed siebie jak zahipnotyzowany. Czuł, że krew mu gęstnieje, zamienia się w spoiwo, a oddech staje się płytki, jakby płuca wypełniały się kredą.

Wtedy ponad ryczącą partią orkiestry rozbrzmiał dialog scenicznych bohaterów. Ona oskarżała go o kradzież chwil i więzienie w nieruchomych klatkach obrazów. On bronił się, tłumacząc, że sztuka to jedyny sposób na oszukanie śmierci, na uwiecznienie piękna, które bez niego obróciłoby się w pył. Ale z każdym

² Tamże.

³ Tamże.

taktem stawało się jasne, że ta obrona jest tylko żalosnym szkicem. Prawda, ciężka i niepodważalna, leżała po jej stronie.

– *Ach, zgiń! Przepadnij, ty sobowtórze!*⁴ – rozległy się ostatnie wersy pieśni.

– Kim jesteś bez swoich obrazów? – śpiewała Muza, nachylając się nad wybielonym płótnem.

– Nikim! – zakrzyknął sceniczny Zawisza.

– A kim jestem ja w twoich obrazach?

– Wszystkim...

Słowo to, wypowiedziane szeptem, uruchomiło lawinę. Nagle wszystkie lustra w operze odbiły tę samą scenę: niezliczone pary artystów i modelek zastygłe w wiecznym, tragicznym tańcu tworzenia i niszczenia. W łóży naprzeciwko Zawisza dostrzegł samego siebie sprzed lat – młodego, z plamami cynobru we włosach, malującego rudowłosą dziewczynę podczas wieczornych zajęć z aktu. Nazywała się...

– „M.Z.” to... Maja Zawisza?

Jak tylko wypowiedział to nazwisko, światło przygasło, a opera zaczęła się przeobrażać. Ściany pokryły się setkami płócien, rzędy foteli zamieniły się w kubiki wystawowe, tworząc nieskończoną galerię. Każdy obraz przedstawiał jego samego: Zawiszę w masce błazna, Zawiszę jako studium anatomii, Zawiszę rozmytego przez deszcz.

Czyżby tak naprawdę był tylko jedną z postaci w tej galerii? Obrazem namalowanym przez kogoś innego? Czyżby jego świat był zamkniętą salą wystawową, a on sam – więźniem cudzego nienasyconego spojrzenia?

W głowie Zawiszy rozbłysła ostatnia retrospekcja: na ułamek sekundy zobaczył Muzę, tym razem nie na fotelu modelki, tylko przy sztaludze. To ona, z pędzlem w dłoni i twarzą umazaną grafitem, pochylała się nad jego wizerunkiem. Malowała rysy z czułością i głębokim smutkiem, jakby każde pociągnięcie było próbą wykradnięcia go z otchłani niebytu i nadania mu formy. Już wiedział, że nie był twórcą, demiurgiem tego świata, jedynie

⁴ Tamże.

tworem; nie artystą, lecz postacią z obrazu, zrodzoną z pamięci i tęsknoty kobiety.

Muza zbliżyła się do niego.

– Możesz odejść – szepnęła głosem miękkim jak dotyk wilgotnej gąbki ścierającej węgiel z papieru. – Ale musisz zostawić za sobą wszystko, co stworzyłeś. Każdą kreskę, każde złudzenie, każde płótno. Tylko wtedy będziesz wolny.

Ostatni, monumentalny takt muzyki Schuberta rozbrzmiał w murach Zamku, wstrząsając fundamentami Miasta Pamięci. Światło zgasło, jakby ktoś zdmuchnął świecę. Cała sala pogrążyła się w drżącej ciszy.

Zawisza został sam w ciemności, z wiedzą, że jego życie było jedynie odbiciem cudzego pragnienia, a on sam – najpiękniejszym kłamstwem, jakie kiedykolwiek namalowała miłość.



Przeniósł się z powrotem do swojej pracowni przy ulicy Kolumba. A raczej do jej „cudzej” wersji. Nawet światło, które wpadało przez szyby, miało tam inny odcień – chłodny, chemiczny błękit, jakby przefiltrowała je warstwa grubego, antyrefleksyjnego szkła, odbierając mu całą słoneczność. Na ścianach nie było już pejzaży Szczecina. Wszystkie płótna przedstawiały różne wersje Zawiszy: jego lęki wyryte głębokim impastem, pragnienia rozmyte laserunkiem i samotność zastygłą w surowym gruncie.

Na sztalugach, zamiast szkicowników, leżały dzienniki laboratoryjne z beznamiętnymi opisami technik:

17 marca – głębia podkładowa, szpachla

28 kwietnia – upiór w temperze, ochra

Zawisza podszedł do umywalki, by obmyć twarz z pyłu Miasta Pamięci. W lustrze nad zlewem zobaczył odbicie Muzy; miała na sobie poplamiony kitel malarski. Nakładała ostatnie poprawki na portret przedstawiający jego samego przy sztaludze.

– Czas na korektę – usłyszał za plecami. Muza stała z paletą w dłoni. – Musimy wyrównać perspektywę. Wciąż za bardzo wystajesz poza tło.

Cofnął się i potknął o ciężką ramę. Był to arkusz projektu pod tytułem *Miasto zrodzone z pamięci*, opatrzone podpisem dyplomantki Akademii. Na marginesie, obok technicznych przekrojów twarzy Zawiszy, czerwonym markerem dopisano werdykt:

Promotor: prof. Wilk – ocena: 5.0 (bardzo dobry).

Wybitna integracja podmiotu z medium.

– To niemożliwe... – wyszeptał, podczas gdy Muza nakładała ostatnie warstwy bieli tytanowej na jego skronie. – Ja istnieję... ja to czuję!

– Jesteś gotowy na wernisaż? – spytała z bładym uśmiechem.

Świat rozbłysł tuzinem... fleszy.

Cisza pracowni pękła, zastąpiły ją gwar głosów, brzęk kieliszków z winem i szelest eleganckich ubrań.

W sali wystawowej Galerii Kierat wszystkie oczy zwróciły się na Zawiszę. Na ścianach w równych odstępach wisiały dziesiątki jego twarzy – portrety malowane krwistym impastem, eteryczną akwarelą i surowym węglem. W rogu każdego płótna lśnił ten sam podpis: „M.Z.”. W szklanych gablotach zaś spoczywały szkicowniki pełne studiów jego dłoni, profilu, sposobu trzymania pędzla.

W centralnym punkcie sali stała lustrzana instalacja. Zawisza ujrzał w niej samego siebie – żywy, nieruchomy obraz oprawiony w ciężką, złożoną ramę, postać z pędzlem zastygłym w martwym geście malowania:

**AUTOPORTRET DWUSTRONNY
OLEJ NA PŁÓTNIE, 2026
DAR MAI ZAWISZY DLA SZCZECINA**

W odbiciu migała również Muza – ta prawdziwa, już nie idealna, tak długo zniekształcana przez jego wyobraźnię. Ubrana była w zwykły czarny sweter, miała rozczochrane rude włosy i zmęczone oczy. Patrzyła na niego uważnie, z czułością i... smutkiem.

Przez chwilę Zawisza nie był pewien, czy to prawdziwa kobieta, czy kolejna wizja. Jej obecność nie budziła już w nim paraliżującej tęsknoty; była po prostu ludzka.

Artystka powoli zdjęła białe rękawiczki ochronne i podeszła do ramy. Wyciągnęła do niego rękę, a Zawisza, przełamując opór twardniejącej farby na skórze, niepewnie ujął jej dłoń. Przez ten krótki moment stali razem – on, wyśniony obraz, i ona, zmęczona autorka. Była to chwila najwyższego triumfu sztuki i ostatecznego dowodu na bezsilność życia.

Zawisza zrozumiał, że granica między sztuką a rzeczywistością jest cienka jak warstwa farby. Że pamięć, choć potężna, potrafi uwięzić równie skutecznie jak płótno i rama. I że miłość do wyobrażenia nigdy nie zastąpi prawdziwego spotkania.

– Byłeś... jesteś moim najlepszym dziełem – wyszeptała Maja Zawisza. Jej ciepły oddech na chwilę zaparował lustrzaną taflę instalacji. – I wiesz co? Następnym razem namaluję nas razem.

O autorze

M.P. Hardy, właśc. Maciej Proksa – poeta, prozaik, eseista, radca prawny specjalizujący się w prawie autorskim. Laureat licznych konkursów literackich, m.in. XVII Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Janusza Różewicza (tom *Vernissage*, 2026) oraz XVI edycji Fantazji Zielonogórskich (opowiadanie *Bachaliusz*, 2026). Regularnie publikuje w pismach literackich i kulturalnych, a także w magazynach, almanachach i antologiach. Chętnie przekracza ramy tradycyjnej twórczości, angażując się w projekty transmedialne na styku słowa, obrazu i dźwięku. Eksploruje rozmaite formy literackiej ekspresji: od klasycznej i współczesnej poezji, przez tematyczną eseistykę, po różnogatunkową prozę, zwłaszcza spekulatywną (w tym fantasy i science fiction). Nie stroni również od form dramatycznych i literatury dla najmłodszych (finalista konkursu Piórko 2026 w ścieżce Piórko Wyobraźni).

Kot

Michał P. Lipka

Nawet nie płakała.

Kiedy wciskali nas do wielkich, czarnych skórzanych walizek, ani później, kiedy zostawili w zupełnej ciemności, napierającej na nas brakiem tlenu, nie krzyczała ani nie płakała, jakby nie chciała dać nikomu satysfakcji. Może powiedziałbym, że jest w szoku, pogodzona, gdybym nie widział jej miny: ponurej, przerażonej, ale zaciętej.

Ze zgrzytem suwaka świat zmienił się w wąską szparę o poszarpanych krawędziach, a potem zniknął zupełnie. Została ciasna przestrzeń, wypełniona zapachem niepranego materiału, pomieszczanym z gorącym aromatem ciała: nutą szamponu, wonią potu, żelu pod prysznic, kurzu i papierosów.

Gdzieś nas przenieśli, gdzieś wrzucili, po drodze uderzyli o coś kilka razy. W końcu dźwięk zatrząskiwanego bagażnika. Warkot silnika samochodu. To charakterystyczne szarpnięcie, jakby pojazd zjechał z krawężnika, a potem już spokojne, niemal usypiające bujanie, od którego robiło się niedobrze.

Gdzieś tam czekał na nas most, pod mostem rzeka, w rzece my. Na razie jednak jeszcze jechaliśmy, zamknięci w bańkach walizek, a czas rozciągał się i plątał, zaciskał wokół nas.

I nawet nie mogliśmy powiedzieć do siebie jednego, głupiego „kocham cię”.



Biegłem.

Jesienny dzień, szary jak popiół, oblepiał mnie zimną wilgocią wypełniającą wszystko między błotem pod stopami a niebem szczelnie zasnutym chmurami. Grunt mlaskał pod butami. Chłód spływał przez gardło w kierunku rozpalonych płuc.

Biegłem.

Trawa gniła na poboczach, drzewa wydawały się zredukowane do czarnych, nagich konturów. Obrzeża miasta wyglądały jak droga wiodąca na cmentarz, a nie zielone tereny, po których chciałoby się spacerować.

Minąłem kilka osób ubranych w kurtki i czapki; z głowami wciśniętymi w ramiona, chroniły się przed zimnem, pociągały nosami, kaszały, niektóre spoglądały na mnie jak na wariata. Biegłem dalej, starając się wyrównywać oddech, i obserwowałem; zegarek na moim nadgarstku wydawał czasem krótkie piśnięcia, a smartfon co kilka chwil wędrował do dłoni, by pstryknąć kilka fotek.

Błotna ścieżka wiła się przez tereny znajome i obce zarazem. Przebieżka nią była jak powrót w rodzinne strony, gdy miasteczko zdążyło się już zmienić, rozbudować: kościoły zostały zasłonięte przez sklepy, stare domy, których bałeś się za młodu, zniknęły, a dorośli ludzie już tylko trochę przypominają tamte dzieciaki ze szczenięcych lat.

Szarość natury ustąpiła szarości miasta, wciąż jeszcze dzikiej bezlistną roślinnością porastającą pobocza i obszary za posesjami, ale coraz bardziej wybetonowanej i ogrodzonej. Tu biegło się lepiej, obiektów do zdjęć było więcej, zegarek piszczał częściej. Właściwie nie zegarek a rejestrator – urządzenie, które zapisywało moje parametry życiowe, trasę, lokalizację, otoczenie, a potem przysyłało zgromadzone dane dalej, przebijając barierę między

światami, by dotrzeć do celu, którego mogłem już nigdy więcej nie zobaczyć.

Biegłem.

Rozglądałem się, robiłem kolejne zdjęcia. Wszystko wyglądało znajomo i obco zarazem, bo choć ta rzeczywistość znajdowała się całkiem blisko rzeczywistości dla mnie bazowej, nie była nią. Świat obok, alternatywna Ziemia, jakby odrobinę przesunięta względem swojego pierwowzoru, niczym obraz powstający przed oczami, kiedy naciśnie się palcem z boku jedną gałkę oczną.

Biegłem.

Ubrany w strój do joggingu, gotowy przemierzać wyznaczony mi teren badań i rejestrować rzeczywistość, by ktoś, gdzieś tam, tworząc mapy rozbieżności i sieci połączeń, mógł opracować wzory pozwalające kontrolować przeskok między alternatywnymi rzeczywistościami.

Biegłem.

Pionier mogący zbadać świat, który prawie nie różnił się od mojego. Mieszkający w domu, który był dla mnie domem w takim samym stopniu, w jakim byłoby nim identyczne mieszkanie sąsiada: inny telewizor, łóżko z wygnieceniami, które powinny być wygodne, ale nie są, nieco inny kolor ścian. Albo szpital, który mijalem, ten z wielkimi oknami recepcji zmieniającymi jego wnętrze w przeszklone mauzoleum pełne ludzi. Znałem go – od schodów wiodących na oddziały i do szatni, po sklepiki i kaplicę – budynek wyglądał jak ten, w którym kiedyś spędziłem parę dni z zapaleniem płuc. Tylko te okna nigdy nie były tak duże.

Biegłem.

A potem w rowie znalazłem dziewczynę.



Samochód wydawał się ciasny: zbyt niski, za szeroki, zdecydowanie za lekki w prowadzeniu, jakby ważył niewiele więcej niż rekwizyt z planu filmowego. Dobrze się nim jednak kierowało, choć nie powinienem tego nawet potrafić.

Późnym popołudniem szorstka nawierzchnia drogi szumiała głośniejsz niż w środku dnia. Asphalt umykał pod kołami. Nie wiedziałem w zasadzie, dokąd jadę, oby przed siebie. I oby nie trafić na policję, skoro nie miałem prawa jazdy. Na nich albo...

Serce waliło mi w piersi, adrenalina buzowała, wciskając się żyłami do głowy, w której szumiała jak alkohol. Strach i podniecenie. Nerwy i przyjemność. Na fotelu obok siedziała dziewczyna, śmiała się, a ja czułem się, jak ktoś uprawiający seks zaraz po po-grzebieniu kogoś bliskiego, kiedy ekstaza miesza się ze łzami.

– Jedź – mówiła.

Jedź przed siebie, byle nie w stronę zachodu słońca, bo to sztam-pa, od której bolą zęby, a ona nie tak chciała żyć. Nie frazesami. Żadnym kiczem. Nie zachodami ani wschodami słońca, tylko bez pamiętania dnia wczorajszego i martwienia się o jutrzejszy, ale bez tego żalostnego gadania o życiu dniem dzisiejszym.

– W lewo – nakazywała, kiedy jakaś uliczka wpadała jej w oko.

– W prawo – rzucała, kiedy trasa ją nudziła.

Nie wiedziała, dokąd zmierza. Przed siebie, gdziekolwiek, byle nie tu. Kierowałem, nie mając pojęcia, gdzie jesteśmy, gdzie skoń-czymy ani jak bardzo się zgubiliśmy. I pozwalałem, byśmy gubili się dalej.



Obudziłem się w łóżku nie do końca pachnącym jak to wczorajsze. A może przedwczorajsze? Wcześniejsze? Czasem sam się gubiłem. Budzik na szafeczce miał nieco inny kolor, szyba w oknie nieco mniejsze wymiary, prześcieradło wydawało się bardziej szare, tak jak bardziej intensywny wydawał się szum płynący z dworu.

Ostatni sen – mój jedyny łącznik z rzeczywistością sprzed ośmiu godzin – rozwiewał się powoli, osiadły na sercu i umyśle, jak posmak ciężkiego jedzenia. Jeszcze przez jakiś czas czułem to podenerwowanie i radość z przejażdżki samochodem, kiedy nie ma się prawa jazdy, a obok siedzi dziewczyna, którą się wie, że się kocha, chociaż nie ma się pojęcia dlaczego. Jeszcze przez parę godzin będę ją kochał, zanim wszystko się ulotni. Dlaczego o niej

śniłem? O tej bladej białej trupa wyłowionego z zimowej rzeki kobiecie, którą znalazłem wczoraj, przemarzniętą i rozdygotaną, i zanieśliem do szpitala.

Przemyłem twarz zimną wodą. Może i łazienkowe lustro uległo drobnej zmianie, ale nie moje w nim odbicie. Ta sama twarz człowieka, którego znałem zbyt długo, zmęczonego życiem, znudzonego robotą. Ten eksperyment miał być atrakcyjną odskocznią. Jak lot na Marsa w jedną stronę, z tym że tu nie zginę, nie umrę z głodu czy od promieniowania – a przynajmniej nikt nic o tym nie wiedział. Odkrywcą nieznanego, tyle że nieznanne okazało się dokładnie tym samym co znane. Ekscytacja związana z eksploracją alternatywnej rzeczywistości skończyła się zawodem, gdy każdy nowy świat okazywał się taki sam jak poprzedni.

Postawienie stopy tam, gdzie świadomie nie postawił jej jeszcze nikt, było jak postawienie stopy w kolejnym biurze korporacji, w którym jeszcze nie byłeś, ale i tak wiesz, że zostało urządzone według tego samego schematu i czeka cię tam ta sama robota co zawsze.

Zjadłem śniadanie, wciąż myśląc o dziewczynie ze snu. O samym śnie, jak zawoalowanym przypomnieniu o zagubieniu. O wielkiej niewiadomej, na którą czekałem i nie mogłem się doczekać. I o emocjach, które powinny się kryć gdzieś tam, ale na razie odczuwałem tylko nudę szarej codzienności, z góry już opłaconej. O pieniądzu nie musiałem się martwić tak długo, jak długo światy były do siebie podobne, potem zostawała ponadczasowa, wykraczająca poza wszelkie podziały waluta w postaci metali szlachetnych.

Taki był zamysł tego zabezpieczenia, zrodzony gdzieś na styku świadomości, że obiekt może nigdy nie wrócić do punktu startowego, z jednoczesnym przekonaniem, że w końcu uda się znaleźć wzór, stałą, wszystkie inwarianty niezbędne do odtworzenia drogi i znalezienia metody na ukierunkowanie przeskoków między światami. Na razie wszystko było błędzeniem po omacku. W razie czego radź sobie człowieku sam.

Wyszedłem pobiegać. Rejestrator na rękę, telefon w dłoń, ten sam strój, podobna pogoda, te same ulice i ścieżki co wczoraj, przedwczoraj i jeszcze dzień wcześniej.

Mijane sklepy kuśiły tymi samymi reklamami chipsów sprzedawanych w pakietach 3 plus 1 i mlekiem w kartonach, które dla odważnych, chcących dźwigać dwadzieścia cztery opakowania, stawało się tańsze o sześćdziesiąt procent. W tym alternatywnym świecie coraz bardziej odległym od tego, z którego wyruszyłem kilka dni temu, masło nadal było drogie i kiedy pojawiało się w promocji wymuszającej kupno trzech albo sześciu kostek na jeden paragon, ludzie nosili je całymi torbami, jakby okres przydatności do spożycia miał się nigdy nie skończyć.

Przebiegłem obok banku, minąłem jakieś biura, długi chodnik, niskie domy, znajome pola, ogródki działkowe, za nimi kolejne pola i łąki, wreszcie znów błotniste drogi, nagie, poczerniałe drzewa, a po serii zakrętów szpital.

Czy ona tam była? W tej rzeczywistości? Wycieńczona, wyziębiona? Co jej się stało? Jak znalazła się w takim stanie?

Obiegiem szpital wokoło, zegarek wydawał zwyczajowe piknięcia, kiedy robiłem kolejne zakręty, kolejne setki metrów. Dalej znajdowało się skrzyżowanie, przy którym stała grupka osób ubranych w stroje, będące połączeniem BDSM i nazistowskich mundurów. Opaski na ramionach nie miały na sobie swastyk, ale coś bardzo im bliskiego. Jak bardzo ta rzeczywistość różniła się od mojej? Miałem tylko nadzieję, że kręcą tu jakiś film, że może to grupa rekonstrukcyjna, nic innego.

Pobiegłem dalej bez zatrzymywania się, za to z coraz wyższym tętnem, które zaczęło się uspokajać, kiedy oddaliłem się na wystarczający moim zdaniem dystans.

Gdzieś z boku, z zupełnie innej strony niż nienaziści, ktoś mi się przyglądał, mówił coś do kogoś innego, pokazywał palcem w moim kierunku, ale nie zwróciłem na to uwagi.

A powinienem.



Przyszła i powiedziała, że wystąpiła w filmie.

Mała rola – coś na dalszym planie – ale nie na tyle, by nie została dostrzeżona tu i tam przez paru ludzi, których nazwiska

nic by mi nie powiedziały, nawet gdyby mi je zdradziła. Pokazała parę ciepłych słów na swój temat, jakieś oceny wystawiane przez użytkowników portali filmowych. Cieszyła się jak dziecko przed gwiazdką, kiedy jeszcze ma nadzieję, że w okręconych papierem i wstażkami paczkach jest naprawdę to, o czym marzy.

Kiedy ją taką widziałem, rozumiałem czemu mówiło się, że błyszczą komuś oczy.

Dom był podzielony na pół: ciemny od południa, jasny od północy, jak w te dni, gdy burza nadciąga z jednego kierunku czarnymi jak noc chmurami, podczas gdy przez drugie okno wpada jeszcze jasne, popołudniowe słońce. Podzielony, rozdarty.

Jak ja.

Jak my.

Cieszyłem się jej szczęściem, ale ten zawód wiązał się z brakiem czasu i nieobecnościami. Tak samo jak ta sytuacja wiązała się z niechcianą przez nikogo sprzeczką o kompromisy i sens tego wszystkiego.

Ciemność w domu gęstniała, rozlewała się, napierała i postępowwała.

Zbierało się na burzę, ale słońce wciąż się uśmiechało, rozdzielając serce na dwoje.



To działało tak: kładłem się spać w świetle „A”, a kiedy się budziłem, byłem już w świetle „B”. Żadnej maszyny, do której musiałbym wejść, wcisnąć kilka guzików, wsłuchać się w szum mechanizmów. Żadnego skomplikowanego poszukiwania współrzędnych punktu, gdzie gęstość między światami jest najmniejsza, i wpompowywania energii w barierę, aż udałoby się otworzyć szczelinę i przepchnąć przez nią głupca, zwanego śmiałkiem.

Nie, wystarczyło położyć się spać, a potem się przekonać, gdzie się obudziło. Nie działało za każdym razem, a może po prostu nie dostrzegałem zmian. Sen to w końcu nie nauka ścisła, ma na niego wpływ zbyt wiele czynników. Ostatecznie jednak zawsze trafiałem gdzieś indziej.

Dziś obudziłem się w większym łóżku, ale mniejszym pokoju. I z chrypką, którą próbowałem wykaszleć, ale uparcie trzymała się krtani.

Pieprzone bieganie w zimnie i wilgoci.

Zaparzyłem kawę, czarną i gorącą jak rozpacz, która dopada nad ranem, w godzinach, kiedy światła jest tym mniej, im mniej czasu pozostało do świtu, jakby mrok chciał jeszcze pokazać na co go stać. Czerni... Przez chwilę miałem wrażenie, że śniło mi się coś z ciemnością i światłem, ale po marzeniu zostały tylko uczucia, nic więcej.

Piłem, aż gardło mnie paliło – podobno to idealna droga do raka krtani, ale kto wie, czy również w świecie alternatywnej rzeczywistości – a potem znalazłem w apteczce coś z witaminą C i paracetamol. Powinno wystarczyć.

Zjadłem śniadanie, tanie kanapki z supermarketu, i mogłem potwierdzić, że kurczak wszędzie smakował tak samo. Kawa czasem bywała bardziej kwaśna, a ziemniaki różniły się od siebie, jak różnią się poszczególne ich odmiany, ale kurczak wszędzie był identyczny.

Ubrałem się tym razem cieplej i ruszyłem pobiegać.

Ciekawe, czy gdzieś tutaj istniało laboratorium zajmujące się podróżami między rzeczywistościami? Pewnie mógłbym to sprawdzić bez problemu, gdybym tylko wiedział, gdzie mogło się mieścić w moim własnym świecie, ale eksperyment zakładał brak mojej wiedzy w tym temacie. Miałem po prostu robić swoje i nie podejmować się żadnych interakcji z tymi, którzy potencjalnie mogli być zaangażowani w podobne działania, by nie zanieczyścić ich badań, chyba że sami skontaktowaliby się ze mną. Nieźle płacili, więc nie miałem powodu się buntować.

Poranek był zimny, w powietrzu czuć było nadchodzący mróz – tego zapachu nie dało się z niczym pomylić, nieważnie, gdzie bym się nie znajdował.

Ustawiłem rejestrator, sprawdziłem, czy czapka dobrze przylega i czy kurtkę mam zapiętą do końca, by zimne powietrze nie mroziło spoconej szyi. Jeszcze parę lat temu bym się tym nie przejmował, ale po trzydziestce, kiedy zacząłem przekonywać się, że coś rzeczywiście może strzykać i boleć, zmieniłem nastawienie.

Ruszyłem truchtem przed siebie.

Wszystko zaczęło się podobno kilka lat temu od odkrycia, że te różne opowieści o efekcie Mandeli wcale nie były wynikiem zawodności ludzkiej pamięci. Po prostu zdarzało się, że ktoś pewnego dnia budził się, by dostrzec, że pewne drobiazgi są inne, niż je zapamiętał. Postać z gry raz ma monokl, raz go nie ma, w nazwie bajki brakuje jednej litery, a polityk, który umarł dekady temu, nadal żyje, tak samo jak człowiek, którego na placu rozjechał czołg na oczach milionów widzów.

Zanim odkryto fakt, że ludzie pamiętający wydarzenia nieco inaczej po prostu wstali z łóżka w rzeczywistości lekko przesuniętej względem ich własnej, minęły lata, przez które nie brano tematu na poważnie. A potem nagle olśnienie, szybkie odkrycia, pierwsze badania, testy, przekonanie się, że obiekty, które twierdziły, że pamiętają kluczowe fakty inaczej niż cała reszta, mają tylko jeden wspólny element: w nocy przeżyły mocno emocjonalne sny, jedne z tych marzeń sennych, które potrafią potem przez kilka dni kołatać się po umyśle, podnosić ciśnienie, poruszać w człowieku jakieś struny. Nic więcej. Ale to wystarczyło.

Biegłem uliczkami, chodnikami i ścieżkami, na których od wczoraj błoto zgęstniało i stwardniało, ściśnięte nocnymi przymrozkami.

Nie znałem szczegółów. Nie byłem naukowcem, coś tam liznąłem, przygotowując się do wyruszenia na pierwszą misję, ale nie było tego wiele, a większość detali pozostawała i tak tajna. Wszystko sprowadzało się chyba do tego, że czynnik wywołujący te marzenia senne – tak realistyczne, jakby były prawdą – coś z nimi związanego inicjowało przesunięcie. Jedna teoria zakładała wymianę obiektów między jedną rzeczywistością a inną. Kolejna sugerowała możliwość przesuwania się nieskończonej ilości takich obiektów symultanicznie w rejony jak najbliższe pod względem podobieństwa, zupełnie jakby im bardziej różniły się rzeczywistości od siebie, tym mniej możliwe było zachowanie spójności między nowym światem a obiektem. Dużo mówiono o superpozycji, hiperpozycji i klasteryzacji, a wszystko sprowadzało się do tego, że ryzyko negatywnego wpływu na samą ośnowę rzeczywistości w zasadzie nie istnieje; jeśli już coś zostanie skorygowane –

tak to określili: „skorygowane” – to obiekt niespójny z całą resztą. W jaki sposób skorygowane? Wzruszenie ramion, bo konkrety mieli odkryć ludzie tacy jak ja. Przekonać się na własnej skórze i na własne ryzyko.

Dlatego szukano chętnych bez rodziny. Kogoś, kto nie ma matki, ojca, dziadków, rodzeństwa. Żony, nawet dziewczyny – brak. Bliskich przyjaciół? Tak samo, a dalsi nie zorientują się w drobnych zmianach, jakie zajdą w chwili, gdy zastąpi go ktoś odrobinę od niego odmienny.

Szukano kogoś takiego jak ja.

Kogoś, kogo ewentualna niespójność skoryguje, jak ściana korygowała uderzającą w nią śnieżkę.

Wstrzyknęli mi coś, co miało krążyć w moich żyłach i inicjować procesy odpowiedzialne za hiperrealistyczne sny, które człowiek przeżywał na jawie intensywniej niż własne wspomnienia, a potem...

Biegłem.

Ciężki oddech, pot na ciele, pieczenie w gardle. Kichnąłem raz czy drugi, zastanawiając się, czy tutejsze leki mogą dobrze zadziałać. Czy te subtelne różnice nie okażą się znaczące. Pociągnąłem nosem.

Przebiegałem właśnie obok ogródków działkowych, które teraz były niższe, ale rozleglejsze, a otaczająca je roślinność, choć sucha, to gęstsza i intensywniejsza, bardziej dzika i odludna. Rów melioracyjny, który prowadził wzdłuż drożki, oddzielając ją od otaczającej ogródki siatki, był pełen mętnej wody, w której coś się poruszyło. Plusk, jakiś odgłos jak szelest, gdyby ciecz mogła szeleścić.

Zatrzymałem się.

Znajdowałem się na wzniesieniu, rów melioracyjny – jak prosty, równy strumyk – znajdował się teraz jakiś metr poniżej, w zagłębieniu terenu, które przydałoby się ogrodzić, żeby jakieś dzieciaki albo lokalny pijacek nie skąpały się w nim, a jakiś rowerzysta nie złamał sobie paru kości, zjeżdżając w bok.

Na mętnej wodzie pojawiło się kilka charakterystycznych fal, jakby coś płynęło w moją stronę, a potem pomarszczony, gruzłowaty pysk uniósł się nad powierzchnię. Mały krokodyl. Może gad

uciekl komuś z jakiejś hodowli, może ktoś kupił fajną jaszczurkę na bazarze, a jak zaczęła rosnać i gryźć rękę, która karmi, wyrzucił, ale jeśli tak nie było, zaczynałem w końcu konkretnie oddalać się od rzeczywistości bazowej.

Nie zamierzałem czekać, czy nie ma tu gdzieś innego osobnika. Po prostu pobiegłem dalej, mając nadzieję, że to koniec atrakcji na dziś.



Kiedy znalazłem ją w rowie, wyglądała jak topielec, pod którym zimą załamał się lód. Skóra sztywna, napięta, tętno niemal niewyczuwalne.

Kiedy leżała pode mną, z pośladkami wtulonymi w moje podbrzusze, wijąc się i jęcząc, skórę miała miękką, gorącą, ciało rozpalone. Namietność plamami rozlewała się na jej policzkach.

Doszedłem, ale nie chciałem przestać.

Śmiała się, kiedy przewracałem ją na plecy patrzyłem, jak piersi podrygują przy silniejszych ruchach.

Całowaliśmy się, obejmowaliśmy, przyciskaliśmy i wciskaliśmy w siebie. Splataliśmy palce i trzymaliśmy się za ręce, kiedy wchodziłem w nią, zatracając w gorącym, mokrym wnętrzu każdą myśl, jaka mogła pojawić się w głowie.

Nie było rozsądku, zastanawiania się. Tylko uczucia, emocje.

I kolejny orgazm, po którym powinienem opaść z sił, położyć się obok, przytulić i z jej głową na mojej piersi, z jej poczochranyimi włosami przylepionymi do mojej skóry próbować nie zasnąć, ale nie. Chciałem więcej, potrzebowałem więcej, a ona się śmiała. Patrzyła mi w oczy i śmiała się całą sobą, a potem to mnie przewracała na plecy i brała.

Taka była w tym świetna.

Nawet nie wiedziałem, kiedy skończyliśmy. Kiedy legliśmy obok siebie nadzy, nieokryci, przesyceni swoimi zapachami, a pościel nasiąkała aromatem seksu. Nie wiedziałem, kiedy zasnąłem.

– Coś ci się śniło? – zapytała, kiedy drgnąłem, wybijając się ze snu.

Powinniśmy leżeć w ciemności, w ciemności robić to wszystko i potem w niej zasypiać, ale górne światło przez cały czas pozostawało włączone, zalewając pomieszczenie ciepłym, żółtawym blaskiem.

– Jakiś pokręcony sen – mruknąłem, całując czubek jej głowy. Była taka naga i gorąca, taka żywa i miękka. Zupełne przeciwieństwo siebie sprzed kilkunastu dni. – Śniło mi się, że biegałem i znalazłem w rowie melioracyjnym krokodyla.

– Krokodyla?

Nie odpowiedziałem. Pocałowałem jej usta.

A potem przekręciłem ją na plecy, wiedząc, że zaraz znów będzie się śmiała, i wsunąłem się między jej uda.



Padał śnieg.

Mogłem dziś nie biegać, kontrakt zakładał pracę pięć razy w tygodniu, w wybranych przez siebie dniach, do tego tradycyjny urlop plus uwzględnienie kwestii chorobowych, ale nie czułem się źle. Trochę chrypki, trochę drapania w gardle, jakieś drobiazgi bez znaczenia, bo przecież kichać potrafiłem i od nadmiaru kurzu.

Późno, ale jednak wstałem, rozgrzany po nocnym, ostrym śnie, który rankiem przywitał mnie wzrodem, wygrzałem się niemal do dziewiątej w towarzystwie filmu w telewizji, rozrywanego na strzępy reklamami, które o tej porze były tak kolorowe i krzykliwe, że robiło się od nich niedobrze. Smutne programy, na które zerkałem, by jakoś przetrwać bloki reklamowe, entuzjastycznie przypominały oglądającym o ich samotności. Kury domowe oglądały telewizję śniadaniową, która zagłuszała brak dzieci i męża w domu, imprezowi faceci, wieczni kawalerowie, ukrywali brak partnerki za pełnymi zachwyty i prezentacji programami motoryzacyjnymi albo sportowymi, a stare panny przeżywały cudze życia i cudze romanse, wlepiając wzrok w telenowełe. Dla emerytów zostawały powtórki seriali, przypominające o młodości i czasach, kiedy jeszcze coś mogli i życie nie było jedynie odliczaniem, a dzieciaki i tak wołały cyfrowe żywoty.

Wyszedłem pobiegać.

Powietrze było ostre, ale przyjemne, wdzierало się do zatok, odytkając nos. Śnieg sypał z nieba, przylepiał się do policzków, zsuwał po kurtce pozlepianymi płatkami.

Na ulicach było mniej ludzi, za to więcej samochodów. I silniejsze poczucie wyobcowania.

Z podróżami między światami było jak z mieszkaniem w wielkim mieście – niby zewsząd otaczają cię ludzie, ale wszędzie czujesz się samotny i anonimowy. Znajome, niemal te same twarze, takie same oczy i fryzury, które nie ewoluowały z postępem odwiedzanych światów, były jednak zupełnie obce. Moda nieco się zmieniała, czasem pasków w logo jednej marki było więcej, czasem mniej, w logo innej zawijas znaczka wydawał się inaczej skierowany, ale nic poza tym. Jakbym zamiast do markowego sklepu wszedł do budki z tanimi podróbkami.

Breja pod nogami pluskała nieprzyjemnie, ale założyłem dobre, nieprzemakalne buty i bieg od razu wydawał się przyjemniejszy.

Zegarek piszczał, buty mlaskały, miasto szumiało cicho, niemal usypiająco.

Ludzi w garniturach – takie same, a może i te same postacie, które ledwie dostrzegłem poprzednio – zauważyłem, kiedy odbiłem w lewo, przemierzając wąską ścieżkę między czarnymi roślinami; dróżkę tak ciasną, że dwie osoby, biegnące obok siebie, musiałyby uważać, żeby nie podrzeć ubrań o sięgające ku nim gałązki i uschłe badyle.

Tamci nie wyglądali na biegaczy. Już bardziej na grabarzy, którym klient uciekł znad grobu i teraz próbują go dogonić. Nie pasowali do tego krajobrazu, ich wygląd kłócił się z błotem i padającym śniegiem, jakby ktoś wyciął tę trójkę z jednego zdjęcia i nakleił na drugie.

I ewidentnie biegli w moją stronę. Biegli ku mnie.

Przyspieszyłem.

Ryzyko, że w tym świecie zająłem miejsce kogoś, kto sobie nagrabił, było niemal zerowe, ale nie niemożliwe. Tak samo jak ryzyko, że dostanie mi się za coś, z czym nie miałem nic wspólnego poza wyglądem i tożsamością. Gdyby chcieli mnie zabić, już leżałbym martwy, chyba że... Chyba, że nie chcieli strzelać, bo

znajdowaliśmy się za blisko zabudowań. Albo chcieli pogadać. Nie wyglądali jednak na tyle niegroźnie, bym chciał się zatrzymać i wymienić z nimi parę zdań.

Może chodziło im o mnie, może nie, ale nie miałem zamiaru tego sprawdzać.

Przyspieszyłem jeszcze bardziej, mocniej pociągając nosem, odbiłem w jedną stronę, potem w drugą, przeciąłem ogródki działkowe, gdzie znajdowały się kamery monitoringu, a kiedy w końcu dobiegłem w pobliże magazynów i hurtowni, wpadłem na ich teren i schowałem się za rogiem. Póki nikt mnie nie przepędzi, zamierzałem poczekać i przekonać się, dokąd pobiegną tamci. Nie zobaczyłem ich. Może gdzieś się zgubili, może pobiegli inną drogą, a może zwyczajnie w świecie odpuścili, ale nie było ich tutaj. W to, że nie chodziło o mnie, nie wierzyłem. Takie rzeczy się wie, jak we śnie wie się, że ten samochód, który stoi w świetle latarni, nie tylko czeka na ciebie, ale i ma całkiem długą przeszłość, pełną kierowców, którzy zginęli w wypadkach, które maszyna przetrwała w dość dobrym stanie.

Nadal jednak czekałem. Pięć minut, dziesięć, kwadrans. Po pół godzinie marznięcia w końcu ruszyłem przed siebie. Dalej. W stronę ludzi, sklepów, miejsc publicznych.

A potem do domu.



Obudziłem się w motelu. Pościel sztywna jak w szpitalu, materac nieszczególnie miękki, jakby od stopnia twardości zależało to, jak długo wytrzyma, zanim trzeba będzie go wymienić.

Łóżko było spocone, jakbym miał gorączkę. Sen o byciu ściganym przedarł się do rzeczywistości w postaci słonych kropelek zraszających skórę. Przez chwilę nie wiedziałem już, co jest snem, a co rzeczywistością. A potem poczułem obok ciepło kobiecego ciała i przysnąłem jeszcze na chwilę.

Popołudniem zostawiliśmy samochód – za niski i za szeroki – tam, gdzie kończyła się droga, a zaczynało błoto. W ostatnich dniach musiało w tej okolicy padać, pole przed nami pokryte

było kałużami, w których odbijało się niebo. Za dzieciaka włożyłbym kalosze i skakał po nich, rozpryskując wodę wokoło. Stałbym na środku kałuży, wpatrywał się w jej powierzchnię tak, by widzieć tylko jej lustro, żadnego otoczenia – może nawet ukucnąłbym, żeby poczuć chłód bijący od wody i zapach deszczówki i nasiąkniętego nią piasku – i udawałbym, że jestem na morzu. Teraz przeszliśmy obok, lawirowaliśmy, wymijając je i stąpając tam, gdzie grunt był najtwardszy i najmniej wodnisty, i szliśmy dalej, w kierunku lodu piętrzącego się przed nami.

To nie mógł być lodowiec, ale jak lodowiec wyglądał. Olbrzymia połać lodu, lśniąca w słońcu, mieniająca się kolorami powierzchni, która potrafiła zachwycić prostotą swojego wyglądu – zapierała dech i sprawiała, że chciało się stać i patrzeć na nią.

A może to był faktycznie lodowiec? Może w tej rzeczywistości, w świecie B, C, D, świecie X, Y czy Z takie rzeczy były normalne?

– Koniec drogi – powiedziała dziewczyna, kobieta. Zakaszła.

Dalej nie było już dokąd jechać.

Patrzyłem na nią, jak stoi na tle bryły lodu, obejmując się ramionami, jakby miała zamarznąć. A potem odwróciła się i ruszyliśmy z powrotem w kierunku samochodu.

Oni już tam byli. Ludzie w garniturach. Czekali na nas.



Z nieba padał deszcz ze śniegiem jak zimne splunięcia, a ja biegłem.

Jak splunięcie było wszystko. Każda kropla, każdy zlepek płatków, każdy rozbryzg pod nogami, nawet piszczenie rejestratora.

Biegłem.

Powiedziała mi, że zagrała w filmie. Nie jakaś wielka rola, poboczna sprawa, ale została dostrzeżona, doceniona. Cieszyła się, jakby zagrała w blockbustery, który ustawi jej karierę na wiele lat.

Nawet nie wiedziałem, że chciała grać. Nie miałem pojęcia, kiedy to zrobiła.

Biegłem.

Pustki na chodnikach, niewiele samochodów na drogach i ja, przemierzający znów te same trasy – obok ogródków działkowych, których ogrodzenie teraz było tak wysokie, jakbym znów był dzieckiem, stojącym przed siatką. Obok szpitala, którego poczekalnię wypełniali ludzie, obok magazynów, placów które ziały pustkami, jakby to był wolny dzień, bo może i był.

Cieszyła się, że się spodobała – jak dziecko przed gwiazdką. Uśmiechała się, opowiadając, że to kino fantasy, a ten śmiech, który ulatywał z jej ust, był tym samym śmiechem, który wydawała z siebie, gdy brałem ją po raz kolejny tamtej nocy, kiedy kochaliśmy się pierwszy raz.

A potem okazało się, że ten film może i był fantasy, aktorzy może i byli ubrani w stroje czarowników i elfek, z karlicami przebranymi za krasnoludy i czarnoskórymi aktorami grającymi orki, ale żadne z nich nie miało na sobie zbyt wiele materiału, a na pewno nie miało go w miejscach intymnych.

– To nic takiego – mówiła niewinnym głosem, jakby faktycznie to nie miało znaczenia, i przytulała się do mnie, jak mogła przytulać się dziewczica.

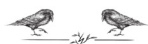
A to był zwykły, sprzedający się dzięki wejściu w fantastyczną konwencję, choć i bez niej by się sprzedał, pornos jakich wiele.

– Aktorstwo jak każde inne – powiedziała. – Wiele gwiazd tak zaczynało.

Tak zdobywały sławę, rozpoznawalność i dobre oceny na portalach filmowych, które tylko przypominały najpopularniejsze portale z filmami kinowymi i telewizyjnymi, zwłaszcza wśród męskiej części widzów.

Biegłem.

A wszystko wokół – każda kropla deszczu, każde wspomnienie kobiecych słów, każda pacyna śniegu i każdy dziewczęcy śmiech, każde plaśnięcie błota i pikanie zegarka – było jak splunięcie. Albo wyśmianie.



Biegłem.

Trasy przecinałem z taką samą rutyną, z jaką pracownik w fabryce wciska wciąż ten sam przycisk, a murarz rzuca tynk na ścianę. Nie myślałem już, gdzie kieruję kroki, wszystko wykonywałem automatycznie, aż do bólu. Tak samo nie myślałem o ludziach w garniturach. Nie miało znaczenia, że mogą być gdzieś tam, czaść się, ruszyć w pogoń; może znów na terenach za miastem, gdzie będą mieli jak największe możliwości złapania mnie bez wzbudzenia uwagi. Oni nie mieli znaczenia.

Równie dobrze mogło ich wcale nie być.

W nocy śniło mi się, że biegalem. Kolejny hiperrealistyczny sen, który po przebudzeniu zdawał się realniejszy niż wspomnienie autentycznej przebieżki sprzed doby – czy może dwóch albo trzech, sam już nie byłem pewien – jeden z tych, które w człowieku zostają na lata, jak pamięć o faktycznych wydarzeniach i... Ludzie w garniturach. Nie wiedziałem już, czy rzeczywiście ich widziałem, czy może jedynie mi się przyśnili którejś nocy. Czy sen, w którym ostatnio biegalem tak jak dzisiaj, dławiąc się tym, że moja kobieta wystąpiła w kiepskim pornosie, że każdy ją widział, każdy wiedział, jak wygląda pod bielizną, że ktoś inny czuł ją tak, jak czuć powinienem tylko ja, był snem? Czy może teraz śniłem?

Czym właściwie był sen?

Skąd się brał i dokąd prowadził?

Jaki miał związek z tym całym przenoszeniem się do światów alternatywnych?

No i, do jasnej cholery, jak bardzo realny mógł być? Co różniło go od alternatywnej rzeczywistości?

Co? Gdzie? Jak?

Biegłem.

I nie wiedziałem już, po co biegnę ani dokąd. Gardło mnie bolało, kaszel męczył, chyba pojawiła się gorączka i może to dlatego, ale nie miałem pojęcia, czy jestem samotny, czy mam słodką dziewczynę, jak spełnienie marzeń, czy może tą, która potrafiła zagrać w porno, nic mi o tym nie mówiąc, a potem przytulać się do mnie, jakby nic się nie zmieniło? Czy tak naprawdę biegam, czy jeżdżę?

Czy jestem bezpieczny, czy – jak w tamtym marzeniu sennym – siedzę w jakiejś walizce, wieziony na śmierć, i jedyne, co czuję, to zapach swojego ciała i starego materiału, zapach, który ukołysał mnie do snu, a ja mam wrażenie, że zwiedzam alternatywne światy?

Biegłem.

Nie myśląc, co robię. Drewniany mostek przy ogródkach działkowych, którego nie było wczoraj, uginał się, kiedy przebiegałem po jego powierzchni. Krokodyla nie było, ale przecież mógł on być na równi snem, jak i jawą. Wielowymiarowym kotem Schrödingera, który nie tylko jednocześnie mógł być żywy i martwy, ale i równie dobrze mógł istnieć i nie istnieć w ogóle.

Kaszałem, ciągałem nosem, ale biegłem. Policzki mnie piekły, czoło się pociło.

Wąskie uliczki, martwe rośliny, pustki na ulicach. Kiedy dobiegłem w okolice szpitala, gdzie za wielkimi oknami poczekalnię wypełniali ludzie, poczułem déjà vu. Uderzające.

Biegłem dalej. Ciężki oddech, dreszcze, pikanie zegarka.

Ta dziewczyna, tak blada, kiedy kilkanaście dni i kilkanaście światów temu znalazłem ją w rowie, szła chodnikiem niedaleko szpitala. Odezwać się? Zagadać? Może mnie pamiętała, bo kiedy ją niosłem, miała otwarte oczy, patrzyła na mnie, może kojarzyła choć trochę, na tyle, by nie obrzucić zimnym spojrzeniem i odejść albo kazać się odczepić. A co, jeśli nie? Gdyby coś tam jej świtało, mogłaby się wywiązać rozmowa, parę zdań, może jakaś wymiana numerów telefonów, cokolwiek, ale jeśli nie...?

Samochód, który zatrzymał się obok niej, był czarny, jak czarne były garnitury dwóch mężczyzn, którzy wysiedli ze środka.

Nie słyszałem, co mówią, ale nie musiałem.

– Zapraszamy.

– Wsiadaj.

To musiało być coś w tym stylu. Krótkie, proste, niepozostawiające pola do dyskusji.

Nie widzieli mnie, jeszcze nie. Ulice były niemal puste, ale nadal to było miejsce publiczne, może sto metrów od szpitala, ryzyko niemałe, ale nie tak duże jak na ścieżkach, gdzie nie dało się

wcisnąć samochodem, ale wystarczyło biegać dość szybko, żeby dopaść swoją ofiarę.

Podbiegłem. Nie myślałem, jak taran uderzyłem w jednego z gości w garniturach – zachwiał się, z oczami błyszczącymi jak u pijanego zatoczył w kierunku kolegi. Złapałem dziewczynę o przestraszonej twarzy za nadgarstek, pociągając, szarpiąc właściwie i ciągnąc z powrotem w kierunku szpitala. Tam było więcej ludzi, łatwiej się ukryć, zniknąć. Tam też musiała być ochrona – chociaż to najczęściej staruszkowie z grupą inwalidzką – w razie problemów dysponująca przynajmniej paralizatorami. Niewiele, jednak zawsze coś.

Biegłem, ciągnąc za sobą dziewczynę, modląc się i przeklinając, byle się nie przewróciła. Ale nie, trzymała się, starała się dotrzymać mi kroku. Bieg dłużący się w nieskończoność, wkurzające pikanie zegarka, które musiało zdradzać każdy nasz ruch, obawa, by obejrzeć się za siebie i przekonać się, gdzie znajdują się faceci w garniturach.

Biegłem, cały czas myśląc, że znów ją ratuję, a może i ratuję jej czystość, której tu jeszcze nie straciła.

Wpadliśmy do izby przyjęć, w tłum pachnący sezonową gorączką i środkami odkażającymi, i dalej. Byle gdzieś się schować, przeczekać, a potem... Nie wiedziałem, ale zostawanie w tym mieście mi się nie podobało. Nie miałem prawa jazdy, ale uciec gdzieś samochodem, z pieniędzmi, które miałem przy sobie, nie powinno być problemem.

Wpadliśmy za róg: sklepiki, korytarz prowadzący do gabinetu USG, dalej kaplica, toalety.

Biegliśmy.



Głowa bolała, ściśnięta gorącą obręczą, przez którą skóra stawała się tkliwa, a zatoki niedrożne. Nos wydawał mi się zimny, od czoła biła gorączka. Gardło nie chciało przełykać, a już na pewno nie chłodną wodę z butelki z nocnego stolika, buntując się przy każdej próbie.

Dzisiaj przerwa. Nie biegam. Urlop chorobowy, parę dni w łóżku i może dojdę do siebie.

Wstałem, żeby poczłapać do łazienki, ale w głowie wirowało. Mdłości spływały w dół przełyku, do żołądka i znów podchodziły do gardła. Dreszcze pokrywały ciało gęsią skórą. Wróciłem do pokoju, łyknąłem kilka tabletek, potem kuchnia. Zagotować wodę, zaparzyć herbaty, najlepiej sporą ilość, przelać do kubka termicznego, żeby nie wstawać z łóżka, i wygrzewać się. Zjeść coś na siłę, ale to potem, nie teraz, niech złapie nieco sił.

Rozejrzałem się za dziewczyną, ale nigdzie jej nie było. Nie ten dzień? Nie ta rzeczywistość? A może nie ten sen? Nie ten czas?

Kto w ogóle wiedział, jak czas płynie w alternatywnych rzeczywistościach? We śnie człowiek potrafił w ciągu niecałych dwóch godzin trwania fazy REM przeżyć całe życie i nie czuć, by coś stracił, kto wie, jak to wyglądało w niezbadanych rzeczywistościach. Może stąd brały się wszystkie te ludzkie odmienne wspomnienia nie tylko różnych wydarzeń, ale i kiedy miały miejsce?

Wróciłem do łóżka i włączyłem telewizor, żeby zagłuszyć szum w uszach.

Gorąca herbata parzyła w język i gardło, jakby mogła wypalić chorobę. Rozgrzewała, zabijała gorzki smak leków i maskowała głód, którego nie chciałem czuć, bo nie miałem siły go zająść.

Przerzucałem kanały, kolejne powtórki albo seriale, na które nie chciałem patrzeć. Tu telewizja śniadaniowa, tam tv market, wypełniony po brzegi reklamami produktów dla dzieci, jakby marna pogoda i sezon grypowy stanowiły idealny czas, by wcisnąć coś dzieciakom, które mogły zabłądzić przed ekran. Dalej czekały wiadomości opowiadające o epidemii zachorowań. Mówiono o ludziach zapełniających szpitalne izby przyjęć i wyludnionych ulicach, mówiono nawet o zidentyfikowaniu pacjentki zero, kobiety znalezionej w rowie, wyziębionej i bliskiej śmierci, ale nie potrafiono jeszcze poradzić sobie z wirusem. Nikt nie był w stanie nawet go zidentyfikować ani zrozumieć tempa jego rozprzestrzeniania. Skutków choroby ani jej śmiertelności też nie znano.

Zmieniłem stację, potem następną, gdzie leciała muzyka. Tele-dyski niby znajome, ale jakby inne.

Potem pojawiły się wiadomości, w których rozprawiano o kobiecie wciąż przebywającej w szpitalu i poszukiwaniu mężczyzny, który przyniósł ją do placówki. Podobno chciano go zbadać, w trosce o jego stan, wcale nie dlatego, że to on mógł być faktycznym pacjentem zero. Dziennikarka wspomniała coś o tym, że niedaleko rowu melioracyjnego, na brzegu rzeki, znaleziono walizkę, z której kobieta prawdopodobnie się wydostała. Podejrzewano, że ktoś próbował ją utopić, wrzucając pakunek do nurtu. Jak kota.

Przełączyłem, starając się nie myśleć o tym, jak drobne zmiany między danymi rzeczywistościami mogły oznaczać równie drobne, ale znaczące zmiany między chorobami, które mogły nieść się dalej, by trafić na bardziej im sprzyjający grunt. Od myślenia, nawet zwykłego, głowa tylko bardziej bolała, a co dopiero od rozważań nad takimi kwestiami: kwestiami chorób obcych światów, kwestiami tego, czy ja to ja, czy może w każdej rzeczywistości każdy ja to suma wszystkich moich poprzedników, jakbyśmy byli zdolni do odwróconej bilokacji – nie jeden człowiek w dwóch miejscach, ale wielu tych samych ludzi w jednej przestrzeni i jednym czasie.

Trafiłem na jakiś serial animowany, ale od nadmiaru barw i bijących z ekranu rozbłysków oczy bolały, a głowa pulsowała intensywniej.

Połowa łóżka po mojej prawej stronie pozostawała pusta i chłodna. Gdzie ona teraz była? Co robiła?

Kiedy się w niej zakochałem? Kiedy zostaliśmy parą? Kiedy...?

Nawet nie zauważyłem, jak zasnąłem.



Kasłałem i kasłała ona, ale czuliśmy się dobrze. Na tyle dobrze, by seksem wygrzewać się podczas nocy spędzanych w motelach, a potem w dzień wsiadać do samochodu i jechać przed siebie, byle dalej od ludzi w garniturach, których miałem za kogoś w rodzaju straży międzywymiarowej. Ekipę pokazującą mnie palcem, goniącą za mną, bo moja obecność tu burzyła ustalony porządek wszechświata, ale prawda była taka, że to nie mnie szukali.

Wszystko sprowadzało się do niej. To ona była ich celem, teraz to wiedziałem. Nie wiedziałem tylko dlaczego. Jednego dnia byłem pewien, że chodzi o coś związanego z filmem porno, w którym wystąpiła – może coś widziała, coś usłyszała, a że niemałe udziały w takich produkcjach mają różni szemrani ludzie w garniturach... – Kolejnego doskonale wiedziałem, jakkolwiek nie miało to sensu, że chcą się na niej zemścić za bycie pacjentem zero, bo dla nich równało się to z byciem winnym zarazy, która nękała ich samych, a ktoś w mediach społecznościowych bez trudu dotarł do jej zdjęcia, a potem danych, kojarząc ją dzięki filmowi, w którym zagrała.

Jakakolwiek była prawda, jakakolwiek wersja czekała jeszcze gdzieś tam, ścigali mnie, bo widzieli we mnie faceta, który tamtego dnia pomógł jej, zanosząc ją do szpitala.

Nie starałem się tego poskładać w jedną całość, zrozumieć. Nie rozmawialiśmy o tym. Dla niej reszta chyba nie istniała sprzeczność, niespójność; to ja wędrowałem, świadomie, i ja świadomość zachowywałem. Byliśmy zajęci sobą.

Jechaliśmy.

Słuchaliśmy radia, ale za każdym razem, gdy słyszałem informację o tym, że policja w rzece znalazła jeszcze jedną walizkę, a w środku zwłoki mężczyzny, zmieniałem stację na coś z muzyką. Ale i tak, kiedy słowa płynęły z głośników, zastanawiałem się, czy jeszcze w ogóle żyję, czy rzeczywistość skorygowała mnie, jak ściana śnieżkę, czy jestem kotem Schrödingera, który jednocześnie żyje, nie żyje, istnieje i go nie ma.

W popołudniowym słońcu, złotym jak złoto i podpalającym niebo oranżami, wyglądała tak, że chciało się patrzeć na nią, nie na drogę. W tym blasku wydawało się, że nikt nigdy nas nie dogoni, na pewno nie faceci w garniturach i z wielkimi walizkami.

Opierała głowę na moim ramieniu, a jej włosy płątały się wokół, jak płątały się moje wspomnienia, przeżycia, wersje. Jawa i sen.

Kichałem. Kaszlałem. Ciągałem nosem. I jechaliśmy dalej.

Nieważne, czy to był sen, alternatywny świat czy jakaś pokrecona pętla, gdzie w płataninie rzeczywistości nie ma żadnej przyszłości, bo wszystko sprowadza się do punktu, gdzie przyczyna i skutek stają się tym samym, niczym sens sennej logiki.

Jechaliśmy.
Co ma być, to będzie.
Każdy kot ma w końcu dziewięć żyć.

O autorze

Michał P. Lipka – rocznik '88. Autor książek *Księga Twardowskiego*, *Szafran*, *Polski 'Produkt' Komiksowy* czy trylogii *Men's True Akcja*. Literacko pojawiał i pojawia się w różnych miejscach: „Magazyn Histeria”, Magazyn „Biały kruke”, „Szortal na wynos”, zin „Ka-tet”, jedno z najstarszych polskich pism poświęconych fantastyce, „Czerwony karzeł” czy antologiach *Południowe Podlasie w innym wymiarze*, *Obląkane historie*, *Zakamarki nocy* oraz *Konstelacja grozy*. *Spaczeni Lovecraftem*. Niekiedy można go spotkać na komiksowym gruncie (w pismach i antologiach, jak „Silmaris”, „Daromozin”, „Bzik eXXXtra”, „Ka-tet”, „Mangamix Neo”). Pisywał też publicystykę dla „Kawaii”, „Fabularie” czy „Grabarza polskiego” oraz portali takich jak Nerdhaim, Kostnica, Dzika Banda, Sztukater, Planeta Marvel czy Gotham w deszczu.

Podmiana

Agata Kubala

Uwaga! Opowiadanie porusza temat samobójstwa.

Na zalanej łące woda sięga mi do bioder. Ciemna, pełna śmieci, które zabrała z sobą, wytaczając się z koryta rzeki, wypełniając drogi, ulice, pola. Nawet niebu nadała czarnozieloną, mulistą barwę. Jedynym dźwiękiem na całym świecie pozostał cichy plusk, z którym przelewa się po swoim nowym, nieograniczonym terytorium.

Stoję w niej nieruchomo, wdychając stęchły zapach, czując w kościach jej chłód. Trupia, martwa woda, pełna zwłok, całych zwierzęcych rodzin, które napotkała na swojej drodze, ludzkich odpadów, zmarnowanej pracy. Nie dziwi mnie, kiedy coś ociera się o moją dłoń, jak zimny, śliski kot.

Jej całkowicie biała skóra wynurza się z czarnozielonej toni; białe ręce, nogi i tułów dryfują po powierzchni, objając się o mnie, żywą. Sinoblada szyję wieńczy gniazdo czarnych włosów. Długie, splątane pasma są na tyle znajome, że wiem już, co nastąpi, kiedy podrygujące na wodzie ciało topielicy obraca się przodem w moją stronę.

Oczy, usta i nozdrza zięją czarnymi dziurami w twarzy, która należy do mnie.



Nie wchodzę do wody na zalanej łące.

Niebo jest jasne i szare. Światła na dachu wozu strażackiego spowijają wszystko w fantastyczne kolory. Razem z innymi patrzę, jak ludzie w żółtych odbłaskach wyciągają ją na brzeg.

Topielica jest raczej brązowa niż biała, w ubraniach, które przejęły barwę zbuntowanej rzeki, z kłębem jasnobieżowych, krótkich włosów. Trzech mężczyzn z trudem wypłutuje ją z zarośli, ciągnie po powierzchni wody w stronę suchego lądu, rzuca pod nogi gapiom. Twarzą do góry, więc mogę się jej przyjrzeć chociaż z daleka.

Nie przypomina tej, którą spotkałam we śnie. Czarne dziury oczu i ust to ledwie widoczne szpary. Twarz, oblepiona czarną, zgniłą roślinnością jak reszta ciała, jest woskowożółta; za życia musiała mieć śniady odcień. Naznaczona siecią głębokich zmarszczek – od wieku, nie od przebywania w wodzie. Kobieta z zalanej łąki jest pewnie dobrze po siedemdziesiątce.

Nie mam z nią nic wspólnego.

Po tym, jak wyłowili staruszkę, oglądam pompowanie wody z mojej piwnicy. Resztę dnia spędzam na oddzielaniu tego, co żywioł zniszczył bezpowrotnie, od rzeczy, które może da się uratować. Rośnie stos przemoczonych pudeł, rozmokłego drewna i zepsutych urządzeń, a obok niego niewielka sterta składająca się głównie z grabi i łopaty do odśnieżania.

Do domu wchodzę późno. Choć przerzucałam zawartość piwnicy w gumowych rękawicach, moje dłonie są pomarszczone, jakbym rozmakała od samego patrzenia na skutki powodzi. Ściągam ubrania, które też wydają się wilgotne. Może niepotrzebnie w snach wchodzę do wody.

Od dwóch dni nie ma prądu. Do łazienki zabieram zapaloną świeczkę. Stawiam ją na półce pod lustrem i podnoszę wzrok na swoją twarz.

Czarne dziury w miejscu oczu i ust, pozieleniałe na brzegach, zieją w twarzy białej jak twaróg, rozmięklej od leżenia w martwej

wodzie. Nie potrafię stwierdzić, na ile to, co przykleiło się do ciała, jest włosami, a na ile wplątanymi w nie roślinami.



Udaję, że maluję jej rozmokłe powieki i czeszę zgniłe włosy. Oglądam jej białą skórę odbijającą się w wiacie przystanku. W pracy spoglądam w bezdenną pustkę jej oczu, gdy po zmierzchu podnoszę wzrok na szybę. Pozwalam jej się obserwować przez duże lustro, wprowadzić się do mojego domu przez ekran telewizora, wypukłości łyżek i garnków, przez taflę czarnej herbaty.

Powoli zapominam, jak wygląda moje żywe ciało. Dziwią mnie barwa dłoni i blask włosów. Na zdjęciach twarz mam jasną i suchą, a usta różowe; tylko nasze oczy robią się podobne, czarne jak wir, jak dno studni.

Nie poznaję tej osoby. W słońcu, między ludźmi, w tych wszystkich kolorach, jej obecność jest nie na miejscu. Odbicie wydaje się znacznie bliższe prawdy. Gdy nadchodzi lato, próbuję zalać tę wyrwę między rzeczywistościami.

Moja skóra, lepiąca się od potu, jest jednocześnie znajomo śliska i za gorąca. Nogi nabierają barwy coraz bardziej różniącej się od tej widzianej w lustrze. Jasne kolory świata rażą moje trupie oczy, które wolałyby patrzeć już tylko w ciemną toń. Ludzie wyra-
stają wokół mnie jak zjawy, przybysze ze świata, w którym nie ma dla mnie miejsca; ich głosy docierają pod wodę i coraz wyraźniej uświadamiam sobie, że w czasie powodzi zaszła pomyłka. To, co wzięłam za sen, było czymś o wiele donioślejszym, co powinno zostać potraktowane z należytą powagą.

Rzeka wygląda obco, grzecznie i smutno, spoczywając na dnie koryta, ciepła, ustała i pomarańczowa od słońca. Płynie ospale i ostrożnie, jakby ktoś jej tego zabraniał. Zamykam oczy i przypominam sobie jej ogromne, nieposkromione ciało, które zalało łąkę w moim śnie nie śnie, czymkolwiek był on w istocie. Wierzę jednak, że ta niemrawa, omdlała struga dalej ma w sobie siłę, żeby porwać mnie do świata, w którym powinnam była zostać, i przywrócić porządek.

Wiem, że w takich przypadkach wskazane jest mieć kieszenie pełne kamieni, więc zbieram je garściami, a ich chłodny, śliski dotyk jest trochę jak powrót do domu.

Ciepła woda wlewa mi się do sandałów. Przenika mnie uczucie, że coś jest nie tak. Kamienie wysypują się z kieszeni sukienki, uszytych za płytko, byle jak, bardziej dla dekoracji, niż by przechowywać tam cokolwiek. Nieprzyjemny, tani materiał klei mi się do kolan, wodne rośliny owijają się wokół kostek.

Niebo po mojej lewej jest jeszcze błękitne; po prawej – pomarańczowe, w kolorze, który barwi rzekę. Świat tonie w dźwiękach: w szumie trawy, śpiewie ptaków i cykaniu owadów, w głośnym chlupocie moich kroków. Wszystko jest nie tak. Powinnam była przynajmniej poczekać do nocy, ale słońce zachodzi późno, a moja nieobecność w domu zostałaby zauważona.

Zanurzam się po pas i nic się nie zgadza. Woda jest ciepła jak w wannie. Spoglądam we wzburzoną, lśniąco rudo taflę i nie widzę swojej prawdziwej twarzy. W czasie gorących, suchych miesięcy poziom rzeki opadł za nisko, jest zbyt mętna i zabłocona.

Nie chcę wychodzić z niej tylko po to, by wrócić do domu i zobaczyć w lustrze rozczarowaną pustkę pozieleniałych oczodołów.

Stoję prawie na środku nurtu, a woda sięga mi ledwie do piersi. Zginam kolana i zanurzam się razem z głową.

Plastik sukienki lepi się do mnie całej, płacze się między nogami, ciągnie mnie w dół. Płuca szybko zaczyna wypełniać pulsujący, rozpierający ból; nozdrza pieką od wody, której zdążyłam zaczerpnąć. Mam nadzieję, że to wystarczy. Że jeżeli mimo wszystko żywe ciało zacznie walczyć, nie zdoła już się wynurzyć; że ciężar snu jakoś pociągnie je w dół.

Coś twardego i śliskiego ociera się o moją dłoń. Sięgam po to odruchowo, myśląc, że to ona – utopiona ja – że od razu udało mi się zatrzeć granicę, która nie powinna była powstać, i zaraz zajmę należne mi miejsce trupa na powierzchni rzeki.

Nie czuję ręki topielicy. Zamiast tego uderza mnie giętka, zwiny i żywy ogon. Otwieram oczy – od razu zaczynają mnie szczypać od piachu i brudnej wody – i widzę pływające wokół ryby.

Moja reakcja jest szybsza niż myśl, szybsza niż sen. Dziwny, dziecinny poryw życia wypycha mnie na powierzchnię i wynurzam się z wody, trzęsąc się z obrzydzenia. Rozpaczliwie zapieram się nogami o dno, myśląc tylko o tym, że stopą dotknę zaraz ryb. Wyobrażam sobie ich ostre łuski i otwierające się pyski. Nawet rośliny i kamienie wydają mi się odrażające w swoim nagrzanym słońcem, pulsującym cieple. Wypadam na brzeg skołatana, powstrzymująca mdłości, łapiąca powietrze do obolałych płuc, jakbym sama była rybą, wprost pod nogi obcego mężczyzny.

Drzemie w zaroślach, śmierzdzący piwem, potem i brudnym ubraniem. Nie wiem, które z nas jest bardziej zaskoczone.

– A co to? – bełkocze mój zdumiony towarzysz, nie robiąc przerw między słowami. Początkowy przestrach bardzo szybko go opuszcza i ustępuje miejsca rozbawieniu. – Syrenka... czy co?

– Spierdalaj – odpowiadam, bełładnie podnosząc się z kolan. Próbuję jednocześnie wyrzucać kamienie z kieszeni, wyżywać sukienkę i uciekać do domu.

– A po co zaraz tak chamsko? – obrusza się pijak, przewracając się z boku na plecy i mrużąc oczy w ostatnich promieniach słońca. – Zażartować nie można.

Człapię w głąb brzegu w sandałach pełnych piachu i mokrej trawy, wydających cmokające dźwięki przy każdym kroku. Mam wrażenie, że więcej łączy mnie z tym mężczyzną niż z topielicą ze snu, i wcale mi się to nie podoba.

– Żeby tu się ktoś topił, to jeszcze tego nie było – mamrocze za mną tamten. – Przecież tu płytko.

Słowo „przecież” brzmi w jego ustach jak jedna szeleszcząca sylaba, jak szmer wody w ciepły dzień.



Próbuję się utopić jeszcze dwa razy, z podobnym skutkiem. Postanawiam zaczekać do zimy.



Rzeka, do której wchodzę, nie przypomina tej, która wypłynęła mnie w lecie. Jest jeszcze większa i potężniejsza niż wtedy, gdy zalała łąkę. Jej czarna otchłań wypełnia cały świat.

Nie ma horyzontu. Nie widzę drugiego brzegu, nie widzę, gdzie zaczyna się niebo.

Zanurzam się po biodra, a ona podpływa do mnie od razu jak wierny pies, dotyka dłoni, biała jak śnieg i śliska jak ryba, nieruchoma jak lodowiec: topielica z moją twarzą.

Drugą ręką natrafiam na taki sam zimny kształt. Wyteżam wzrok, by dostrzec jej rysy; są identyczne. Do tej pory była rozdwojona, na tę żywą i zatopioną. Przez lato i jesień zdążyła się potroić.

Podnoszę wzrok znad trupów. Czerń rzeki upstrzyły jasne plamy. Moje ciała, zwielokrotnione w nieskończoność, dryfują między niebem a wodą, obijają się o siebie nawzajem, wprawiając w obroty. Zbierają się w pomarszczone, obślizgłe sterty, wyspy porośnięte moimi włosami.



Budzę się, żeby nadal niepotrzebnie zajmować miejsce komuś żywemu, i jadę znaleźć większą rzekę.

Moje puste, zgniłe spojrzenie odprowadza mnie witrynami na dworzec. Towarzyszy mi w oknie autobusu podczas podróży. Wita mnie w lustrze pokoju hotelowego, który wynajęłam na wypadek, gdyby ta próba zakończyła się podobnie do poprzednich. Zostawiam torbę pod opieką mojego martwego odbicia i idę się utopić po raz czwarty.

Niebo nie przypomina tego, które znam. Jest szare, żółtawe od smogu, przebijane prostokątami bloków i obce. Rzeka, która tu płynie, wydaje się wystarczająco obfita, żeby przyjąć moje nieprzyzwoicie różowe, żywe ciało.

Schodzę w zarośla, nie zawracając sobie głowy kamieniami, licząc, że ta większa siostra mojej rzeki sama mnie porwie. Zanurzam czubek buta w zimnej wodzie i czuję na sobie spojrzenia pięciu, dziesięciu, dwudziestu par oczu. Większość jest ludzka,

duża część – psia. Cofam się ze wstydem, zanim ktoś się zorientuje, co właśnie chciałam zrobić.

Zasypiam, patrząc w zawiedzione, zielone oczodoły w hotelowym lustrze.



Spędzam dzień pod obcym niebem. Słucham dobiegających spod wody obcych języków: psich, gołębic, nawet ludzkich. Czekam, aż zachmurzone niebo zmieni kolor z żółtawej szarości na czerni, która połączy je z rzeką i mnie pochłonie.

Siedzę w sitowiu i marznę. Przynajmniej o tej porze roku nie ma już komarów. Myśl, że jeżeli teraz mi się uda, to już nigdy nie zobaczę ani jednego komara, dodaje mi sił. Trochę gorzej mi z tym, że nie zobaczę też już ani jednej gwiazdy.

Ludzie i psy znikają jeden po drugim. Rzedną samochody na moście. Ręce mi kostnieją. Zimno na skórze do tej pory zdawało się znajome, ale teraz tylko mnie denerwuje; w końcu mam tak dość siedzenia w miejscu, że pakuję się do wody tylko po to, by mieć to już za sobą, i wszystko jedno, kto zobaczy, trudno, niech mnie wyciągają.

Woda sięga mi do kostek, do kolan, wreszcie do bioder. Śmierdzi mułem i czymś zgniłym, ale nie tak, jak podczas powodzi. W jej zapachu wyczuwam coś chemicznego, plastikowego. Niebo jest czarne, ale unosząca się nad miastem łuna przecina miejsce, w którym łączy się ono z rzeką.

Zza moich pleców dobiegają śmiech i przekleństwa, kroki kilku osób idących przez trawę. Słyszę je wyraźnie, nie jak spod wody. Brzmią jak prawdziwe ludzkie głosy.

Spoglądam w dół na swoje ręce. Może to przez to, że są blade i sine, ale nie wyglądają już obco. Wyglądają po prostu jak moje dłonie, które niepotrzebnie włożyłam do tej chemiczno-ściekowej brei.

– Ej, kurwa, tam ktoś się topi – woła za mną głęboki kobiecy głos, przeciągły od wódki, ochrypły od papierosów.

– Twoja stara – wtrąca jeszcze bardziej pijany, jeszcze bardziej rozbawiony mężczyzna.

Odpowiada mu wysoki, piskliwy chichot.

– Debile, ja serio mówię.

Są bardzo młodzi. Muszą mieć ze dwadzieścia lat. Spędziłam tyle czasu jako nadgniły trup, że czuję się, jakbym miała dwieście, ale w rzeczywistości jesteśmy rówieśnikami.

– Przepraszam panią bardzo – woła do mnie męski głos. Nie do końca radzi sobie z szeleszczącymi głoskami, więc to przepraszanie trwa bardzo długo. – Czy potrzebuje pani pomocy?

Odwracam się. Z nabrzeża spoglądają na mnie trzy pary żywych, lśniących oczu i po raz pierwszy od bardzo dawna nie mam pewności, jak wyglądałyby moje, gdyby się w nich odbiły.

– Nie trzeba – odkrzykuję speszona, na co jedna z dziewczyn wybucha tym samym piskliwym chichotem co przedtem. – Już wychodzę.

I ponieważ oni cały czas na mnie patrzą, wypelzam na brzeg, przemoczona od pasa w dół.



Na zalanej łące spotykam znajomą twarz, ale nie tę, której się spodziewam. Żadne białe ciało nie dotyka mojej dłoni, nie obija się o moje nogi. W tej martwej wodzie, pełnej zwłok i śmieci, jest miejsce jeszcze tylko na jednego pasażera.

Tamta stoi naprzeciwko mnie, zanurzona po pas, niepodobna do tej, którą wyłowiono w czasie powodzi. Jej oczy, maleńkie szparki wśród pajęczyny zmarszczek, jeszcze mnie widzą; kępka posiwiałych włosów podryguje na wietrze. Usta, cienkie, zniekształcone wiekiem, ale nadal różowe, wykrzywiają się w lekkim uśmiechu. Stara bierze głęboki wdech i daje nura.



Budzę się w hotelowym pokoju. Pierwszą rzeczą, na którą pada mój wzrok, jest sterta mokrych, brudnych ubrań, które porzuciłam na podłodze. Leżą na wykładzinie jak mała wyspa. Albo jak wielka kałuża.

Drugą są oczy, które napotykam w lustrze. Ukryte wśród zmarszczek, czarne, błyszczące, żywe oczy starej kobiety śledzą mnie z rozbawieniem, gdy zwlekam się z łóżka i biorę się do sprzątania.

O autorce

Agata Kubala – rocznik ‘97, absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego. Debiutowała opowiadaniem *Podpowieść* w zbiorze *Lazaret. Antologia kliniczna* (2025) nakładem Planety Czytelnika. Pochodzi z Jasienia koło Brzeska, mieszka i pracuje w Krakowie. Fascynatka wszystkiego, co niepokojące i odrażające.

Ścieżki cieni

Ewa Grzybowska

– Powiadają, że ten człowiek jest zmiennokształtnym, panie. I wcale się z tym nie kryje – rzekł Gaston z wielkim przejęciem.

– Czyż nie dalej jak miesiąc temu nie był likantropem? – odparł Édouard, nawet nie spoglądając na sługę. Zapiął ostatnie guziki sztywnego błękitnego dubletu i przejrzał się w lustrze, sprawdzając, czy ubiór dobrze leżał.

– Tak mi powiedział Pierre, ale ten chłopak ma we łbie tylko sieczkę i siano. Przecież każdy wie, że likantrop dostaje obłądu podczas pełni księżyca. A wspomniany jegomość zachowuje się dziwacznie niezależnie od tego, czy księżyc jest w pełni, czy w nowiu.

– Rzeczywiście, wielce osobliwe.

Gaston wyraźnie nie był w stanie pojąć, jak hrabia mógł pozostać tak obojętnym na wieść, że po jego włościach grasuje stwór mroku.

– I cóż z tym zmiennokształtnym? – zapytał Édouard, poprawiając koronki u rękawów. – Ten człowiek jest kowalem, prawda? Czyżby komuś zalazł za skórę?

Z doświadczenia wiedział, że jeżeli ktoś rzucał takie podejrzenia, to najczęściej ich przyczyną były zatargi między sąsiadami. Istoty mroku, jeśli chciały żyć pomiędzy zwykłymi ludźmi,

zazwyczaj dokładały wszelkich starań, by nie wzbudzać żadnych podejrzeń.

– Jego czeladnik twierdzi, że tamten nocami zarzuca na siebie wilczą skórę i znika, by gnać po leśnych ostępach pod postacią bestii. A później, w największej tajemnicy wraca o świcie.

– Czyli na własne oczy widział, jak kowal zamienia się w wilka?

– Nie.

– Ale widział, jak wraca nad ranem.

– Tak.

– Zatem udowadnia to tylko dwie rzeczy.

Gaston wpatrywał się w niego z uwagą, oczekując rozwoju zawilej intrygi.

– Czeladnik powinien zebrać cięgi za rozsiewanie plotek o swym mistrzu, zaś nocne wyprawy kowala wcale nie są tak sekretne, jak mu się wydaje.

Zdumiewające, jak powszechne było przekonanie, że zmiennokształtny posiadał skórę zwierzęcia, w które się przeobrażał. Zresztą nie był to jedyny przesąd dotyczący istot mroku. Prostaczkowie sądzili, że nosferat nie potrafił się powstrzymać od rozerwania gardła ofiary, gdy tylko wyczuł odrobinę krwi, a czarownicy wystarczyło jedno spojrzenie, by uwieść mężczyznę. Nie mówiąc o różnych zawilych praktykach, które miały ich przed tymi potworami obronić. Na wsi bardziej lękano się chyba tylko poborców podatków i, być może, medyków.

– Większość ludzi nie spostrzegłaby, że ma do czynienia z istotą mroku, nawet gdyby widywała ją codziennie – dodał Édouard lekceważąco i założył pendent z rapierem.

Gaston nie wydawał się przekonany. Nieszczęsny, nie miał pojęcia, że był żywym dowodem na to, iż ludziom wcale nie tak łatwo przychodziło rozpoznanie tych, którzy byli obdarzeni – czy też przeklęci – nadnaturalnymi zdolnościami. Istot mroku, jak powszechnie je nazywano. Cóż za przewrotne określenie, biorąc pod uwagę, że ich prawo do istnienia było kwestionowane przez tych, którzy szczycili się swym człowieczeństwem. Wprawdzie co bardziej postępowi duchowni zaczęli dopuszczać możliwość, że stwory mroku również posiadały nieśmiertelną duszę, a skoro tak, to może nawet szansę na zbawienie. Proboszcz w ich

parafii wyraźnie nie podzielał jednak tego przekonania, co miało swój wpływ na wiernych.

– A *bestie* z Gévaudan? – zapytał z lękiem Gaston, przypominając tym samym o innym powodzie, dla którego istoty mroku uważano za niebezpieczne potwory. – Nie mogę zapomnieć tego upiornego wycia w nocy. Pan też na pewno pamięta. – Przeżegnał się.

– Pamiętam.

Gévaudan. Trudno byłoby to zapomnieć. Choć większość istot mroku chciała po prostu przetrwać, wtapiając się w otoczenie, nijak nie dało się tego powiedzieć o zdziczałych bandach likantropów napadających na wioski w tamtym rejonie. Do takich *bestii* każdy miał nie tylko prawo, ale wręcz obowiązek strzelać, tak jak strzelało się do wilków. Lokalni strażnicy leśni nie potrafili jednak poradzić sobie z tą plagą. Zdesperowana ludność wystosowała prośbę o pomoc do gubernatora prowincji, gubernator zwrócił się do króla, król zaś wysłał na miejsce nie tylko swych łowców potworów, ale też oddział wojska, do którego podówczas należał Édouard.

Tamte polowania długo śniły mu się po nocach. Krew na śniegu, poszarpane ciała zamordowanych kobiet i dzieci, wreszcie oblicza oszalałych *bestii*, w niczym nieprzypominających już ludzi. Osaczone stawały się po dwakroć bardziej niebezpieczne.

Czasami sen przybierał mroczniejsze oblicze. Z łowcy Édouard przeobrażał się w ofiarę, ogarniętą zwierzęcym strachem i pragnącą jedynie uciec z obławy. Przerazała go ta przemiana, całkowite poddanie się prymitywnemu instynktowi i utrata własnego jestestwa. Zawsze odczuwał ulgę, gdy pozostawiał za sobą te niepokojące nocne majaki.

Gaston szurnął nogami, przypominając o swej obecności. Édouard odebrał od niego kapelusz oraz rękawice i polecił:

– Przynieś mi płaszcz.

Dzień był pogodny i słoneczny, sprawiał wrażenie bardzo ciepłego, zwłaszcza jak na wczesną wiosnę. Gaston, przyzwyczajony jednak do tego, że jego pan zwykł nosić pelerynę nawet w lipcu, nie okazał zdziwienia. Po chwili wrócił z płaszczem.

– Połóż go na fotelu. I każ siodłać konia.

Sługa uklonił się i wyszedł.

Dobrze by było, gdyby ograniczył się jedynie do ścisłego wykonania jego polecenia, ale zapewne nie omieszka przy okazji powtórzyć stajennemu, że opowieść o zmiennokształtnym nie zrobiła na ich panu większego wrażenia. Édouard nie zamierzał na razie zaprzętać sobie tym głowy, przynajmniej dopóki nikt nie złoży oficjalnego oskarżenia. Wtedy, jako pan tych ziem, musiałby rozpatrzyć tę sprawę, potem zaś wydać wyrok. Jednak ci, którzy obmawiali bliźnich za ich plecami, nie byli już tak skorzy, by powtórzyć te same słowa przed hrabiowskim obliczem. Był również pewien, że sąsiedzi wspomnianego kowala nie ruszą na niego z widłami, o ile nie da im ku temu dobrego powodu. Ostatecznie wszyscy potrzebowali podków dla koni, okuć do wozów, obręczy do beczek i lemieszów do pługów, a ponadto potrzebowali mieć o czym plotkować. Zmiennokształtny był bezpiecznym tematem, budził o wiele mniejszy lęk niż inne istoty mroku.

Sięgnął po płaszcz. Purpurowy, oblamowany srebrną nicią, prezentował się odpowiednio dla człowieka o jego pozycji. Zarzucił go na ramiona. Choć był doskonale skrojony, wydawał się leżeć gorzej niż prosty czarny płaszcz bez żadnych ozdób, który nosił jeszcze całkiem niedawno.

Gdy zszedł na dziedziniec, osiodłany wierzchowiec już na niego czekał. Odebrał wodze z rąk służącego, wskoczył na siodło i jak każdego dnia ruszył na objazd po włościach.

Odkąd objął tę ziemię w posiadanie, minęło wystarczająco wiele czasu, by zdążył poznać większość ścieżek, a jednocześnie wystarczająco mało, by jeżdżenie po nich zdążyło go znużyć. Nie mógł się przy tym uwolnić od myśli, jak dziwnie plotły się ludzkie losy. Rok temu nawet przez myśl mu nie przeszło, że tak rychle tu powróci. Odkąd opuścił dom w wieku piętnastu lat, by wstąpić do armii, odwiedził rodzinne strony zaledwie trzykrotnie. Za każdym razem czuł się jak nieproszony gość, wobec czego zupełnie przestał tu bywać. Choć tytuł hrabiowski należał mu się z racji starszeństwa, nie spodziewał się, że przypadnie mu razem z nim większy spadek. Tymczasem odziedziczył całkiem dobrze prosperujące włości. Jedynie chateau oglądało lepsze czasy. Ojciec, wiedząc, że nie sposób będzie je od tytułu oddzielić, niezbyt dbał o utrzymanie domostwa. Miast tego wybudował nową,

wygodną rezydencję na ziemiach, które zamierzał scedować na swego najstarszego potomka z drugiego małżeństwa.

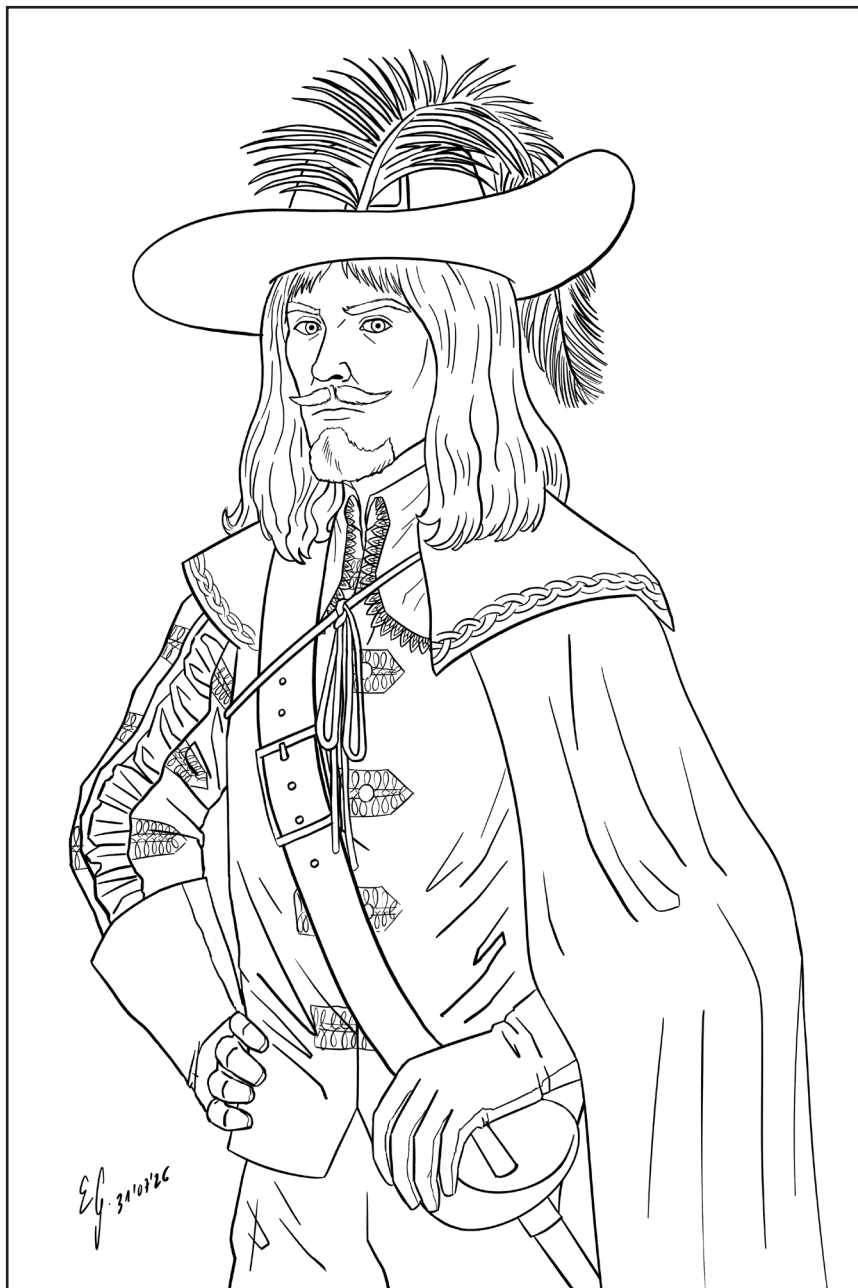
Choć Édouard wiedział, że czyniło to z niego bardzo złego syna, nie potrafił odnaleźć w sercu większego żalu po śmierci rodziciela. Nie mieli żadnej sposobności, by się pojednać. Niemal jednocześnie otrzymał dwa listy: w jednym poinformowano go, że ojciec zaniemógł, w drugim, że zmarł.

Gdyby jednak było dane im jeszcze raz porozmawiać, zebraliby się na odwagę, by zapytać ojca, dlaczego odtrącił swego pierworodnego syna. Czy podświadomie wyczuwając jego inność, uważał go za hańbę dla rodu Jarnaców? Jeśli w istocie tak było, to nie wydał go chyba tylko z jednego powodu – musiałby wyznać, że spłodził coś, czego istnienie przeczyło naturalnemu porządkowi rzeczy.

Édouard nieraz zastanawiał się, czy jego moce były darem od Boga, czy może przekleństwem od diabła. Potrafił skryć się w głębokich cieniach, a pod osłoną nocy stać się niemal zupełnie niewidzialnym i przekraść obok najbardziej czujnego strażnika lekko jak tchnienie wiatru. W armii te niezwykle zdolności stały się zaletą, a nie wadą, czyniąc z niego znakomitego zwiadowcę. Bez trudu przenikał za linię wroga, by zebrać bezcenne informacje. Choć nigdy otwarcie nie zdradził się ze swymi umiejętnościami, co bystrzejsi oficerowie słusznie podejrzewali, że choć raz czy dwa można mieć niezwykle szczęście, to dokonań hrabiego Jarnaca szczęściem wytłumaczyć się nie dało. Nikt nie zadawał jednak zbędnych pytań. Nade wszystko liczyła się skuteczność. I gdy kiedyś posłyszał, jak hiszpańscy jeńcy szeptali między sobą o tajemniczym widmie, *el caminante de las sombras*, które zakradło się do ich twierdzy i niewątpliwie przyczyniło do jej upadku, poczuł dumę. Wędrowiec cieni. Spodobał mu się ten przydomek.

Nie miał jeszcze pojęcia, jak bardzo proroczy się okaże.

Słońce niepostrzeżenie wspinało się wyżej po niebie, aż w końcu zalało blaskiem pola uprawne i łąki. Po raz pierwszy Édouard dostrzegł, jak bardzo jasna była Akwitania w porównaniu z pochmurną i daleko chłodniejszą Normandią, w której spędził ostatnie lata. Cóż, będzie musiał przywyknąć i do tego.



Skręcił w stronę zagajnika. Gdy znalazł się w cieniu drzew, natychmiast poczuł się lepiej, a lekki niepokój, jaki odczuwał na otwartej przestrzeni, zniknął.



Przez jakiś czas sprawy biegły dobrym rytmem. Miał zarządcę, który sumiennie wypełniał swoje obowiązki, tym samym dokładając wszelkich starań, by stać się niezbędnym dla swego pana. Z sąsiadami żył dobrze, z rodziną zaś niezwykle źle. Macocha opowiadała każdemu o zwyrodnieniu pasierba, który wygnał ją z domu, choć zawsze miłowała go jak syna. Dziwnym trafem Édouard pamiętał czasy dzieciństwa zupełnie inaczej: kobieta nie szczędziła mu gorzkich słów i złych spojrzeń, a każdy jego postęp przedstawiała w jak najgorszym świetle. Ojciec wierzył w każde jej słowo, przez co chłopak nie raz dostał od niego w skórę.

Na szczęście obecnie macochę i przyrodnie rodzeństwo widywał jedynie na niedzielnych mszach. W niezwykle skuteczny sposób ignorowali swe istnienie. Tylko najstarszy z jego braci, Charles, czasem rzucał mu wyzywające spojrzenia; choć włości, które otrzymał w spadku, dostarczały sporą pensję, wielce bolał go brak hrabiowskiego tytułu. Zapewne uważał, że Édouard wyświadczył mu wielką nieuprzejmość, nie dając się zabić na wojnie.

Niewiele sobie robił z tych pretensji. I choć niekiedy brakowało mu przygody, powoli zaczął przyzwyczajać się do spokojnego, prowincjonalnego życia. Nie miał pojęcia, że był to ów krótki moment statecznego szczęścia, który tak łatwo przeoczyć.



Później nie potrafił określić, kiedy dokładnie nadeszła zmiana. Czy stało się to, gdy w powietrzu pojawiło się pierwsze tchnienie lata? A może już wcześniej, gdy podczas swej codziennej przejażdżki poczuł cień niepokoju? Jedno nie ulegało wątpliwości: im wyżej

słońce wspinało się po niebie i im dłuższe i jaśniejsze robiły się dni, tym bardziej narastał w nim dziwny lęk. Lęk przed słońcem.

Choć zawsze szukał osłony nocy i głębokich cieni, za dnia nie mając pożytku ze swych zdolności, nigdy dotąd nie odczuwał niczego podobnego. W przeciwieństwie do innych istot mroku bez trudu mógł ukryć swą prawdziwą naturę. Nie był nosferatem ani zmiennokształtnym, przybierającym formę drapieżnika, który po zmroku wyruszał na żer. Tym samym zmiana była nieoczekiwana, niepokojąca w swej gwałtowności. I choć słońce nie sprawiało mu fizycznego bólu, zaczął go unikać.

Spodziewał się, że lada moment służba coś zauważy, ale bogactwo miało tę zaletę, że można było stać się ekscentrykiem. Jeżeli pan wolał spędzać słoneczne dni w domostwie, a wychodzić jedynie w pochmurne, to nic im do tego.

Noce również nie przynosiły wytchnienia. Nie sypiał dobrze i nieraz rano budził się bardziej zmęczony niż wieczorem, gdy kładł się na spoczynek. Często śniło mu się, że błądzi pośród szarej mgły, próbując odnaleźć drogę. Aż wreszcie znów nawiedził go tamten sen.

Las pod Gévaudan. Złowieszczy w spowijającej go ciszy, zimny pod gęstą pokrywą zmrożonego śniegu. Nagie gałęzie drzew wznosiły się ku niebu jak dłonie wyciągnięte w błagalnym geście, pnie tworzyły ściany labiryntu. I znów Édouard nie był łowcą, lecz ściganą zwierzyną. Słyszał ujadanie psów i widział sylwetki jeźdźców przesuwające się między drzewami.

Przyspieszył kroku, z trudem brnąc przed siebie. Każdy oddech zamieniał się w obłoczek pary. Cienka skorupka lodu pokrywająca śnieg trzaskała głośno pod jego stopami. Miał wrażenie, że słysząc go z daleka. Szukał schronienia, ale tym razem cienie nie chciały go słuchać. Dlaczego go opuściły?

– Nie opuściły. Chodź do mnie, Édouardzie. Czekam na ciebie.

Zamarł na moment, a potem podążył za głosem. Wciąż go przyzywał, pomagając odnaleźć drogę. Mężczyzna bez namysłu przecisnął się pomiędzy przyprószonymi bielą grubymi pniami, które splecione razem przypominały bramę. Zbyt wąską dla człowieka, ale niestanowiącą przeszkody dla wędrowca cieni.

Znalazł się w starym ogrodzie, łudzaco podobnym do zakątka, w którym bawił się w dzieciństwie; ostoi, w której chował się przed wyrzutami macochy i karzącą ręką ojca. Bez żadnych obaw ruszył przed siebie krętą ścieżką, nie bacząc na otaczający go półmrok, tak odmienny od bieli zaśniewanego lasu, która wręcz kłuła w oczy. Półmrok oznaczał bezpieczeństwo.

Przynajmniej tak sądził do momentu, aż pojawiły się głosy.

– To on.

– To na niego czekaliśmy.

– Wędrowiec dotarł do końca swojej podróży.

– Jest na jej początku.

Zatrzymał się.

– Kto tu jest?

Choć szepty ucichły, nie mógł uwolnić się od poczucia, że coś obserwowało go z ukrycia. Ściślej owinał się płaszczem, jakby mógł się w ten sposób ochronić, i wznowił wędrówkę. Wokół zaczęło robić się jaśniej, jakby nadciągał świt. Édouard z niepokojem wypatrywał słońca, ale niebo nad jego głową wciąż było szare.

Ogród stopniowo zatracił dzikie oblicze. Drzewa przygięte do ziemi wiekiem ustąpiły znacznie młodszemu, obficie obsypanemu białym kwieciami. Ścieżka wyprostowała się, poszerzyła, zmieniając w wysypaną drobnym żwirem alejkę. Po jej obu stronach rosły białe i fioletowe naparstnice. Brakowało tu jednak śpiewu ptaków czy bzyczenia owadów. Nic, tylko cisza.

Wreszcie dotarł do zakątka pełnego róż, które pięły się po drewnianych, ażurowych pergolach, otaczając niewielki plac. Pośrodku znajdowała się biała fontanna z cicho pluskającą wodą.

Zmarszczył brwi. I to miejsce wyglądało znajomo. W podobnym ogrodzie spotykał się niegdyś w sekrecie z kochanką.

Naraz znów poczuł czyjaś obecność – obcą, wręcz namacalną, jak dotyk zimnego wiatru. Obejrzał się i ujrzał coś, co przypominało gęstniejący dym, podążający jego śladem niczym żywa istota.

Dłoń Édouarda odruchowo powędrowała do boku, by chwycić za rapier, ale natrafiła jedynie na pustkę.

Po chwili do dziwnego stwora dołączyły kolejne, również pozbawione wyraźnego kształtu i oblicza. Wypełzały z każdego zakamarka, aż w końcu zebrało się ich tak wiele, że nie sposób było

je zliczyć. Krążyły wokół niego niczym sfora wilków. Zaraz jednak musiały ustąpić chmurze ciemności, która wychynęła z pustki. Sunęła wprost na mężczyznę, ale w ostatniej chwili ominęła go i zawinęła się wokół fontanny jak wąż. Wydawało się, że bacznie mu się przygląda.

– Witaj, Édouardzie-Henri de Jarnacu – odezwała się ludzkim głosem, który nie należał jednak ani do mężczyzny, ani do kobiety. – Choć długo to trwało, wreszcie odpowiedziałeś na moje wezwanie.

– Wezwanie? Czym... Kim jesteś?

– Cieniem. Tak samo jak ty.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Ależ wiesz, tylko nie chcesz się otworzyć na prawdę. Jestem tu, by ci w tym pomóc.

– Nie trzeba mi niczyjej pomocy.

– Doprawdy? Czy nie chciałbyś wreszcie się dowiedzieć, kim naprawdę jesteś, wędrowcze cieni?

Drgnął, słysząc ten tytuł. Ta istota, czymkolwiek była, bez wątpienia znała jego najgłębiej strzeżony sekret.

– Pokaż mi swe prawdziwe oblicze – zażądał.

– To jest moje prawdziwe oblicze.

Wpatrywał się z konfuzją w wiszącą przed nim ciemność, falującą lekko jak morze obmywające wybrzeże.

– Czy nazbyt niepokoi cię, że nie mam twarzy?

– Lubię dokładnie wiedzieć, z kim... lub z czym rozmawiam – odparł chłodno. Gdy zwracał się tym tonem do służących, w mig pojmowali, że to nie przelewki. Ale na ciemności nie zrobił większego wrażenia. Wydawała się wręcz rozbawiona, sądząc po tonie jej głosu:

– Dobrze, skoro jest to dla ciebie tak ważne, przybiore inną postać.

Chmura mroku spłynęła powoli na ziemię niczym opadająca mgła. Odsunął się, by zrobić jej miejsce.

Obawiał się, że ujrzy oblicze bestii, ale ku jego uldze formująca się sylwetka wyglądała na ludzką. Wyłaniała się jak obraz, początkowo złożony jedynie z kilku barwnych plam, nabierający

detali pod śmiałymi pociągnięciami pędzla malarskiego mistrza. Gdy wreszcie w pełni mu się ukazała, nie potrafił ukryć zdumienia.

– Kobieta?

– To ty nadałeś mi oblicze. Czy kogoś ci przypominam?

Wejrzał uważnie w jej twarz, ale nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Miała bladą cerę i ciemne oczy, a jej czarne włosy spływały falą na plecy. Dostojna i wyniosła, z postawy przypominała królową, lecz jej suknia była prosta. Żadnych zdobień, klejnotów czy choćby wzoru na tkaninie. Materiał był idealnie czarny, gładki jak toń jeziora, w której odbijało się nocne niebo.

Zawahał się.

– Jak winienem się do pani zwracać, *madame*?

– Nie mam imienia.

– Jak można nie mieć imienia?

– Imiona, nazwiska, szlacheckie tytuły... To wszystko należy do świata ludzi, gdzie każda rzecz musi zostać nazwana, by mieć znaczenie. Cienie tego nie potrzebują. Nie w mojej krainie.

Podeszła do niego bliżej. Tren sukni przesuwiał się bezszelestnie po płytach dziedzińca. Albo wzrok Édouarda płał mu figle, albo skraj tkaniny delikatnie się rozmywał, jak chmura postrzępiona przez powiew wiatru.

Wyciągnęła rękę i pogładziła go po policzku niczym matka czule witająca syna po długiej rozłące.

– Cieszę się, że wreszcie mogę cię powitać w domu, Édouardzie.

Cofnął się, jednakże zaskoczony i urażony poufałością gestu, który zdawał się nie na miejscu.

– Nie rozumiem, co ma pani na myśli, *madame* – rzekł sztywno.

– Pozwól zatem, że opowiem ci pewną historię. Niegdyś obok siebie istniały dwa światy, obce dla siebie tak jak dzień odmienny jest dla nocy. Nigdy nie powinny się były spotkać, ale pewnego razu w niebie otworzyła się wyrwa. Do krainy cieni przeniknął okrucieństwo światła, zaś na ziemski padół przedostał się skrawek cienia. I choć światło jest zabójcze dla cieni, niektóre zdołały przetrwać w tym obcym miejscu. Upodobiły się do zamieszkujących je istot.

Naraz w zakamarku jego pamięci pojawiła się mglista wizja. Unosił się w powietrzu niczym ptak, lecąc w stronę światła przedzierającego się przez ciemne chmury.

– Czy już rozumiesz? Wywodzisz się z cieni, które zawędrowały do innego świata. Do świata ludzi.

Otoczające ich istoty zbliżały się coraz bardziej. Jedna z nich wręcz otarła się o skraj jego płaszcza, jak kot niepewny jeszcze, czy chce zacieśnić znajomość, czy woli zachować dystans. Powiódł wzrokiem po tym milczącym kręgu obserwatorów. Potem przeniósł go na królową, ale ta nie uczyniła żadnego gestu, by powstrzymać swoich poddanych.

– Czego one chcą ode mnie? – zapytał gniewnie, wskazując krążące wokół nich bezkształtne istoty. Niepokoiła go obcość tych stworzeń. Na próżno próbował odszukać w falujących obliczach cokolwiek, co przypominałoby rysy twarzy. Były zamazane jak sylwetki postaci na portretach zniszczonych przez upływ czasu.

– Są po prostu ciekawe. Większość z nich nigdy nie widziała wędrowca wciąż noszącego ludzką skórę.

– Czy te kreatury są w stanie cokolwiek widzieć?

Najbliższy cień zadrżał, słysząc pogardę w jego głosie.

– Kreatury? To twoi pobratymcy. Nie musisz się ich obawiać.

– Nie obawiam się.

Ale wbrew butnym słowom poczuł strach. Czy naprawdę też był tym czymś?

– Przecież czujesz oznaki przemiany – rzekła królowa cichym głosem. – Tak jak człowiek od dnia narodzin zaczyna kroczyć ku śmierci, wędrowiec zmierza ku krainie cieni. Nigdy nie było ci przeznaczone pozostać zbyt długo w świecie ludzi. Światło będzie dla ciebie coraz bardziej okrutne, aż w końcu twoje życie stanie się udręką.

A więc to było to dziwne uczucie, które towarzyszyło mu w ciągu dnia? Czy naprawdę cień zamieszkujący jego duszę rósł w siłę, by ostatecznie w pełni nim zawładnąć?

– Nie musisz dłużej cierpieć. Zostań ze mną, Édouardzie, zapomnij o świecie ludzi – rzekła, dotykając lekko jego dłoni.

Poderwał się nagle, z mocno bijącym sercem. Przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje. Jego wzrok błędził po otaczających

go kształtach, próbując odnaleźć w nich coś znajomego, nim wreszcie uświadomił sobie, że był we własnej sypialni i leżał we własnym łóżku. Opadł z powrotem na poduszki, starając się zdławić niepokój. W swoich snach często powracał do Gévaudan, ale jego obawy nigdy nie przybierały takiej formy. Kraina cieni... Cóż za absurd.



Był pewien, że prędko o wszystkim zapomni, ale o poranku każdy szczegół snu wciąż żywo tkwił w jego pamięci, tak jak w uludzie tkwił okrucieństwo prawdy. Trafiła go myśl, że jego lęk przed światłem będzie narastać niczym powoli postępująca choroba. Te troski, wraz ze zmęczeniem z ostatnich tygodni, musiały się odbić na jego obliczu i nie uszły uwadze Gastona.

– Chorzyście, panie? Wezwać medyka?

– Nie, nie trzeba.

Dzień był pochmurny, zbierało się na deszcz. Mimo to i tak wyruszył na przejażdżkę, chcąc zażyć nieco świeżego powietrza i uwolnić się od sennych majaków. Koń chyba wyczuwał jego nastroj. Zwykle spokojny, teraz wręcz wyrywał mu się z ręki i Édouard musiał go krótko trzymać.

Próbował zająć myśli codziennymi sprawami. Planowanym remontem château, nadchodzącym polowaniem, na które zapraszali go sąsiedzi. Ale bezustannie powracał do krainy cieni. Kolejne godziny dnia minęły niepostrzeżenie, aż wreszcie przyszła pora, by udać się na spoczynek.

Sen zdawał się tylko na niego czekać, a wraz z nim czekała królowa. Siedziała na obmurowaniu fontanny, w tym samym ogrodzie, co poprzednio. Jej suknia spływała czarnymi kaskadami na płyty dziedzińca.

– Piękne miejsce – powiedziała, obracając w palcach białą różę.

– Wielka szkoda, że wygląda na fałszywe.

– Czemu tak sądzisz?

– To tylko sen. Ułuda, którą tworzy umysł.

Uśmiechnęła się lekko. Uniosła różę, zanurzyła nos w jej płatkach, jakby chciała nasycić się wonią kwiatu. Nie odrywała wzroku od Édouarda, aż wreszcie to on musiał odwrócić spojrzenie.

– Nie ja stworzyłam to miejsce, lecz ty, tak samo jak za twą sprawą zyskałam to oblicze. Jest echem twych wspomnień. Musisz jeszcze zrozumieć wiele rzeczy. Chodź ze mną, Édouardzie.

Odłożyła różę na obmurowanie i wstała, wyciągając do niego rękę. Zawahał się, ale ujął jej dłoń. Ciemność zawinęła się wokół nich jak płachta materiału. Nim zdążył się złębnić, opadła, ukazując ruiny zamku. Posadzka była popękana, ściany na wpół zburzone, a zamiast dachu nad ich głowami wznosiła się kopuła ciemnych chmur. Gnane wiatrem przemykały po niebie jak spłoszone konie. Rozejrzał się. Przez wyrwy w murze dało się dostrzec rozciągającą się wokół równinę, pustą, tonącą w szarościach.

– Zaskoczony? Z początku ten świat może ci się wydawać surowy, ale prędko się w nim odnajdziesz.

Zadrżał, choć nie czuł zimna. Sięgnął po brzeg płaszcza, by ściślej się nim owinąć i zamarł. To, co trzymał w dłoni, nie przypominało już zwykłej tkaniny. Przelewało mu się przez palce, lekkie jak mgła, czarne jak dym. Czy był to kolejny znak postępującej przemiany?

– Czym są te ruiny? – zapytał.

– Jednym z niewielu miejsc, które są stałe w krainie cieni.

Zagłębili się w trzewia zamku, w poplątany labirynt korytarzy, które zdawały się łączyć i przecinać w zupełnie niezrozumiały sposób. Minęli chyba z setkę zamkniętych drzwi, ale jego przewodniczka na żadne nie spojrzała. Wreszcie dotarli do schodów wiodących do podziemi, wydeptanych i zniszczonych jak wszystko wokół.

Choć brakowało tu świec czy pochodni, niepojętym sposobem wciąż było na tyle jasno, by mógł ujrzeć murale pokrywające ściany.

Pierwszy z nich ukazywał wzburzone sztormem morze. Fale, czarne jak atrament, niemal sięgały ołowianoszarego nieba. Otwierała się w nim świetlista wyrwa, ku której wzlatywały sylwetki cieni.



Ewa Grzybowska

Gdy dotknął malowidła, poczuł dziwny ból w piersi, jakby obudziło się w nim odległe wspomnienie.

– To pradawny ocean, który nie ma początku ani końca. Stamtąd właśnie wyłoniły się pierwsze cienie. Kiedyś ci go pokażę.

– Mówisz, pani, tak, jakbyś była pewna, że tu pozostanę.

– Dlaczego nie chciałbyś tu pozostać? Czy nie tęsknisz za swym prawdziwym żywotem?

– Nie brak mi czegoś, czego nie znam.

– Doprawdy? A czyż nie tęsknisz za kobietą, która cię zrodziła, choć nigdy jej nie poznałeś?

W istocie, często myślał o matce, choć tak niewiele o niej wiedział. Nie miałby pojęcia, jak wyglądała, gdyby nie mały portret w medalionie, który wykradł ojcu. Dopiero gdy ujrzał tę podobiznę, uświadomił sobie, jak bardzo ją przypominał. To po niej odziedziczył jasne włosy i zielone oczy.

– Te malowidła ukazują nie tylko przeszłość, ale również przyszłość – rzekła królowa. – Czy masz odwagę spojrzeć w swoją?

Wskazała na dwa murale, które przedstawiały zupełnie odmiennie losy, niczym dwie strony tej samej monety. Wiedział, że będzie tego żałować, ale nie potrafił odwrócić wzroku.

Na malowidle widniejącym po lewej wydawał się starszy, lecz jeszcze nie stary. Choć to on był cieniem, to otaczające go postaci nie posiadały oblicza. Czarne płaszcze i srebrne znaki królewskich insygniów nie pozostawiały jednak żadnego miejsca na wątpliwości. Był osaczony przez łowców, a z rany na jego piersi wpływała plama szkarłatu.

– A więc taki czeka mnie koniec. Cóż, wciąż to lepsza śmierć niż na stosie. Przynajmniej umrę z rapierem w dłoni.

Choć czasy inkwizycji dawno minęły, istoty mroku, które uznano za szczególnie niebezpieczne, kończyły swój żywot w płomieniach. Mimo iż niepodobnym wydawało się, by taki wyrok zapadł w sprawie szlachcica, w głębi duszy zawsze się obawiał tego losu.

– Jest inna możliwość.

Wskazała mu drugi mural. Mężczyzna okryty płaszczem cieni klęczał przed kobietą w czerni, jak szlachcic przysięgający wierność suzerenowi.

– Mam zostać... twym sługą?

– Nie bez przywilejów. Wszak oferuję ci schronienie z dala od świata wypełnionego bezlitosnym światłem.

– Nie chciałbym żyć w świecie pozbawionym światła. Łatwiej znieść zimno, wiedząc, że będzie można ogrzać się przy ogniu. A ciemność nocy, choć kojąca, byłaby zbyt przytłaczająca bez blasku księżyca i gwiazd.

– To naturalne. Żywot wśród ludzi cię zmienił. Ale i kraina cieni zmieniła się pod wpływem zetknięcia ze światem człowieka. Pamiętasz, co mówiłam o okrucuchu światła, który tu wnikał?

Skinął głową, zastanawiając się, do czego zmierzała.

– Choć był to tylko mały odprysk, cały świat zatrzęsł się w posadach. Z wielkim trudem udało mi się go scalić. Ale równowaga została naruszona. Cień nie może już dłużej istnieć bez światła.

– Tak jak na Ziemi...

– Dokładnie tak samo. A tylko wędrowcy mogą dostarczyć mi więcej okrucuchów światła.

– Jeżeli tu pozostanę, umrę, prawda? W moim świecie.

– W świecie ludzi.

– To o wiele za wcześnie.

– Wielu ludzi umiera przedwcześnie. Nie obawiaj się momentu przejścia. Zaśniesz spokojnie i spokojnie przekroczysz zasłonę. Twoi krewniacy zadbają o godny pochówek twej ziemskiej powłoki, jeśli to właśnie cię trapi.

Milczał, poruszony tym, co usłyszał.

– Powiedz mi prawdę, pani – rzekł wreszcie. – Zależy ci na moim losie czy na świetle, które mogę ci podarować?

– Jedno jest nieodłącznie związane z drugim. Możesz ocalić nie tylko siebie, ale i tę krainę. Uklęknij przede mną, złożź przysięgę... i zajmij należne ci miejsce u mego boku. Będziesz pierwszym pośród moich dworzan.

– Nie mogę złożyć ci przysięgi, pani. Szlachcic odpowiada jedynie przed Bogiem i przed królem.

– Władza Boga, w którego wierzysz, tutaj nie sięga. Jestem starsza niż jakakolwiek religia znana na Ziemi. Niż religie, o których już dawno zapomniano. – Jej głos nie stracił spokojnego tonu, a oblicze piękna, ale nagle wydawała się złowroga, jak ciemniejące

niebo zwiastujące nadciągającą burzę. – Każdy wędrowiec powraca do mnie prędzej czy później.

– Wobec tego, czy w ogóle mam wybór? Żądasz, pani, bym wybrał godzinę swej śmierci?

– Tak. To przywilej, którym cię obdarzam.



Kościół wydawał się zupełnie opustoszały. Kroki Eduarda odbijały się głośnym echem od wysoko sklepionego sufitu, gdy szedł boczną nawą w stronę położonej w głębi rodzinnej kaplicy. Nie szukał duchowego wsparcia spowiednika; nie potrafiłby nikomu zaufać, zwłaszcza teraz.

Promienie słońca wpadające przez witraże wymalowały na kamiennej posadzce mozaikę różnobarwnych plamek. Zawahał się, a potem śmiało wstąpił w sam środek, nie zważając na obawę, która wkradła się w jego serce. Uklęknął przez krzyżem, przeżegnał się, ale w głowie miał jedynie pustkę. Zawsze żywił nadzieję, że w świetle łaski boskiej znajdowało się miejsce również dla cień. Wiedział, że to on powinien Go szukać, lecz bardziej niż kiedykolwiek lękał się, że Bóg go opuścił, porzucając na pastwę mroku.

Jestem starsza od każdej znanej religii i od tych, o których już dawno zapomniano, słowa królowej powracały do niego jak echo.

Zmówił wreszcie modlitwę, ale nie mógł się oprzeć wrażeniu, że tym razem nikt nie słuchał.

– Jeżeli prosisz Boga o zmiłowanie, to raczej na próżno.

Uniósł głowę. Tylko tego brakowało! Ostatnie, czego się spodziewał, to że natknie się tu na swego brata. Jakby ten dzień nie był już wystarczająco podły.

– Zazwyczaj powitanie zaczyna się od życzenia dobrego dnia i pytania o zdrowie. – Sięgnął po kapelusz, który leżał na siedzisku ławki, wstał niespiesznie i dopiero wtedy spojrzał na Charlesa. Stał tuż obok wejścia do kaplicy, z dłonią wspartą na rękojeści rapiera. – Jeżeli chcesz się pomodlić, to nie będę ci przeszkadzać. Już skończyłem.

– Nie kłopotcz się. Przybyłem w zupełnie innym celu.

Ponieważ Édouard nie sprawiał wrażenia, by zamierzał zapytać w jakim, dodał:

– Przyszedłem umówić zapowiedzi. Żenię się.

– Wobec tego należą się gratulacje. Kim jest szczęśliwa wybranka?

– *Madame* de Laval. Ale nie spodziewaj się zaproszenia na ślub.

– Nie spodziewam się.

Chętnie zakończyłby na tym tę rozmowę, ale Charles stał na jego drodze, w nieprzypadkowy zapewne sposób szukając okazji do zwady.

– Masz do mnie jeszcze jakąś sprawę? – zapytał Édouard chłodno.

– A i owszem, skoro już cię tu spotkałem... – W oczach jego brata pojawił się jakiś ponury błysk. – Powiedz, czy zaprzedałeś duszę diabłu w zamian za swe wynaturzone moce?

Zamarł. Choć rodzinna kaplica leżała na uboczu, zdawało się, że te słowa dotarły do każdego zakątka kościoła. Chciał coś odrzec, ale głos uwiązł mu w gardle. Charles uśmiechnął się triumfalnie.

– Miej choć tyle przyzwoitości, by nie kłamać. Nie ośmielisz się na to w Domu Bożym.

– Nie ośmieliłbym się tu wejść, gdyby twe insynuacje były prawdziwe.

– Możesz iść w zaparte, ale wiem, czym jesteś. Ojciec wyznał mi wszystko na łożu śmierci. Nic dziwnego, że przysporzyłeś mu tyle wstydu i byłeś zakałą rodziny.

Ręka Édouarda sama skoczyła do rapiera. Zacisnął dłoń na rękojeści, ale nie wysunął ostrza z pochwy. Nie mógł przecież wyzwać na pojedynek własnego brata, nie licowało to z honorem. Charles dostrzegł jednak ten ruch i uśmiechnął się pogardliwie. Obserwował go przy tym uważnie, gotów w każdej chwili odskoczyć, gdyby sprawy przybrały niepomyślny obrót.

– Jeśliś taki pewien swych wymysłów, to śmiało, pisz do gubernatora albo i do samego króla – rzekł Édouard. – Ale pamiętaj, że oskarżenie, które łatwo rzucić, trudniej udowodnić.

– Miałbym pogłębić hańbę ciężącą na naszej rodzinie? Nie, zostawiam sprawiedliwość w rękach Boga. Możesz klękać przed krzyżem, ale istoty tobie podobne są skazane na potępienie.

Łatwiej byłoby zbyć te słowa, gdyby nie dręczyła go ta sama myśl. Światło sączące się przez witraże nagle stało się nie do zniesienia. Nade wszystko pragnął znaleźć się pod osłoną cieni.

Charles nie próbował go zatrzymać, usunął mu się z drogi. Édouard odszedł bez pożegnania i, nie oglądając się za siebie, wyszedł z kościoła.



– Nie udajecie się jeszcze na spoczynek, panie?

Musiał na chwilę ulec znużeniu, bo nie usłyszał, kiedy Gaston wszedł do pokoju. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak późna zrobiła się godzina.

– Jeszcze nie. Ale ty idź się położyć. Na dziś zwalnię cię ze służby.

Sługa zawahał się, jakby chciał coś jeszcze rzec, ale widocznie słusznie uznał, że byłoby to nie na miejscu. Ukłonił się i odszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Édouard został sam. Zapatrzył się w ogień płonący w kominie, kolejny raz powracając myślami do niedawnej rozmowy z Charlesem.

Nigdy nie było między nimi braterskiej miłości. Choć od jednego ojca, różnili się od siebie jak dzień od nocy. Z ich dwójki to Charles bardziej przypominał rodziciela, toteż staremu Jarnacowi zapewne tym łatwiej przychodziło obdarzyć go uczuciem. Hołubił go niczym dziedzica tytułu, chociaż Charles był młodszy od jego pierworodnego o siedem lat. Édouard zaś wdał się w matkę i raczej odchowano go tak, jak odchowuje się kociaka albo szczeniaka. Nie był pewien, czy otrzymałby odpowiednie wykształcenie, gdyby nie naciski wpływowych krewnych. Nieraz słyszał od siostr swej matki, że ojciec ponoć bardzo ją kochał i nie mógł pogodzić się z jej stratą. Niegdyś wydawało mu się, iż w takim wypadku powinien miłować syna, który był ostatnim ziemskim śladem, jaki po niej pozostał. Teraz przynajmniej zyskał potwierdzenie, że ojciec poznał się na jego prawdziwej naturze. Że też nie mógł zabrać tej tajemnicy ze sobą do grobu!

Sięgnął po puchar z winem, upił łyk, ale choć było wykwintne jak zawsze, tym razem zdało mu się pozbawione smaku. Zupełnie jak życie, gdy zawładnęła nim groza, przykrywając zwykłość i stateczność codzienności. Byłby się bardziej przejął tym, że Charles zna jego sekret, gdyby nie większe zagrożenie, wiszące nad nim niczym katowski topór.

Ktoś inny pociągał za sznurki, wywracając do góry nogami porządek świata, który dotąd uznawał za pewnik. Czy blask płomieni też wkrótce zacznie go niepokoić, tak samo jak promienie słońca? Instynktownie ciągnął do ciepła, jak każda ludzka istota. Świat cieni był tak chłodny; mimo że nie spowijały go zupełne ciemności, panował tam wieczny zmierzch.

Naraz odniósł wrażenie, że choć ogień wciąż jasno płonął, cienie w pokoju rosły, gotowe, by porwać go ze sobą. Poruszały się nienaturalnie, pełznąc w jego stronę. Zamrugnął, potrząsnął głową, nie dowierzając własnemu wzrokowi. Przez dwie ostatnie noce nie spał prawie wcale. Choć przypłacił to zmęczeniem i rozdrażnieniem w ciągu dnia, udało mu się uniknąć wizyty w krainie cieni. Czy i tym razem tak będzie...?

Ocknął się nagle. Ogień w kominku wyraźnie przygasł, wokół zrobiło się chłodniej i ciemniej. A więc jednak dopadł go sen, choć najwyraźniej i tym razem nie zdołał pochłonąć. Dobre i to. Pomasażował kark, zesztynniały od niewygodnej pozycji. Spojrzał w stronę okna, by sprawdzić, jak daleko jeszcze do świtu, i zamarł.

Była tutaj.

Stała dosłownie parę kroków od niego, wysoka, dostojna. Srebrna poświata księżycy wkradająca się do pokoju obrysowywała blaskiem jej sylwetkę.

– To niemożliwe – szepnął. Musiał znów śnić.

– To ty otworzyłeś mi drzwi do swego świata, Édouardzie. A ja nie mogłam oprzeć się pokusie, by nie zerknąć, jak teraz wygląda. Setki lat upłynęły, odkąd ostatni raz miałam ku temu okazję.

Podeszła do kominka, wyciągnęła do ognia smukłe dłonie. Obserwował ją spod oka, jak sokół strącony na ziemię, który stał się celem krążącego nad nim orła.

– Château, rozległe włości z folwarkami, lasy, winnice... Więc to jest twoje miejsce na ziemi. Kawalek świata, który uważasz za swój – powiedziała królowa.

– Jest mój. Z racji urodzenia i dziedzictwa.

Sięgnęła po jego puchar z niedopitym winem, uniosła lekko, jakby podziwiała aromat trunku.

Nie może tu być. Nie ma ciała, powtarzał sobie w duchu. A jednak stała przed nim, nie mniej realna niż próbująca go uwieść kochanka. Chciał wstać z fotela, ale nie mógł się ruszyć, jakby jego ciało ogarnął paraliż.

– Mógłbyś prowadzić tu wygodne życie. Ale twoja tajemnica nie należy już wyłącznie do ciebie. Nie, odkąd poznał ją twój brat. Jak sądzisz, co z nią uczyni?

– Nie poważy się na mnie donieść. Okryłby hańbą nasz ród.

– Czy to właśnie hańby obawiasz się najbardziej? – Blask rzucony przez dogasający żar odbijał się w jej oczach. – Może powinienś obawiać się ludzi, którzy mogą zechcieć sprawdzić, czy za pomocą żelaza i ognia da się wygnać cienie z twojej duszy.

– Jeżeli chcesz mnie zastraszyć, pani, to wiedz, że musisz sięgnąć po bardziej wyszukany sposób.

Wydawało się, że go nie usłyszała. Spojrzała w głąb pokoju i zauważyła wiszące na ścianie lustro. Podeszła do niego i lekko dotknęła szklanej tafli, jakby pierwszy raz ujrzała swoją twarz. Może faktycznie tak było; w krainie cieni brakowało luster. Odgarnęła za ramię długie włosy, wygładziła niewidoczne zmarszczki na sukni, niczym dama podziwiająca swoją powierzchowność.

– Dlaczego tu jesteś? – zapytał Édouard. – Czemu nie możesz zostawić mnie w spokoju?

– Nie chcesz wierzyć w to, co widzisz w moim świecie, wobec czego przyszedłam ukazać ci prawdę w twoim.

– To tylko sen – rzekł z uporem.

– Spójrz zatem w lustro. Chyba że brak ci odwagi, by zmierzyć się ze swym odbiciem.

Obruszył się, jak koń niesłusznie dźgnięty ostrogą. Dziwna niemoc, która go dopadła, ustąpiła niczym opadające zakłęcie. Wstał z fotela i zbliżył się do zwierciadła. Blask płomieni kominka odbijał się od gładkiej powierzchni lustra, ukazując świat bardziej

tajemniczy od rzeczywistego. Kąty pokoju niknęły w mroku, kształty mebli zatracaly kontury, miast obrazów widniały puste ramy. Z początku jedynie jego oblicze pozostawało niewzruszone. Ale po chwili i ono zaczęło się zmieniać. Choć czuł narastający niepokój, nie odwrócił wzroku.

– Patrz uważnie – nakazała królowa.

Ujrzał postać utkaną z ciemności, pozbawioną twarzy, ledwie przypominającą ludzką sylwetkę. Spoglądała na niego oczami zimnymi jak dwa okruchy lodu.

Cofnął się, zdjęty przerażeniem.

– Czy teraz mi wierzysz? Jesteś mój.

Zbudziły go ptaki tłukące się do okien. Ogień w kominku zgasł, po królowej nie było ani śladu. Świt, wkradający się niepostrzeżenie do pokoju, nie przynosił otuchy.



Kraina cieni nie opuszczała jego myśli ani w dzień, ani w nocy. Królowa wciąż próbowała go tam zwabić, mimo to uparcie odmawiał. Spodziewał się, że za którymś razem wpadnie w gniew, ale pozostawała niewzruszona. Jakby wiedziała, że wystarczy jedynie zaczekać.

Z dnia na dzień był coraz bliższy oblędu. Zaczął stronić nie tylko od słońca, ale i od ludzi. Służba szeptała między sobą, że ich pan zdziwaczał. Nawet Gaston bał się doń odezwać. Édouard łatwo wpadał w gniew, innym razem pogrążał się w przygnębieniu. Zamiast żyć, jedynie dryfował przez życie, nie wiedząc dłużej, dokąd zmierzał. Chciał tylko przetrwać.

Nikt nie był bardziej szczęśliwy niż on, gdy nadszedł wreszcie schyłek lata, a wraz z nim isierka nadziei na poprawę losu. Dni zaczęły się skracać, a on wreszcie poczuł się silniejszy, zdrowszy na duchu i na ciele.

Odmiana nadeszła w dniu jesiennego przesilenia. Tym razem sen zawiódł go do miejsca, którego nigdy wcześniej nie widział. Stał nad krawędzią przepaści bez dna. Urwisko zdawało się nie mieć końca, jakby świat był dosłownie przecięty na pół.

Królowa, jak zawsze, pojawiła się wprost z ciemności.

– Zapytam ostatni raz, Édouardzie. Czy zechcesz pozostać tu z własnej woli?

– Twa oferta, pani, nie zgadza się z moim honorem – odparł chłodno.

– Honor... To jedna z wielu rzeczy, które zostaną ci odebrane.

– Nie możesz mnie tu zatrzymać siłą.

Na jej ustach pojawił się delikatny uśmiech, jakby wiedziała o wiele więcej, niż mu zdradziła.

– Mogę. Nie odejdiesz stąd, jeśli nie będziesz mógł się obudzić – rzekła niezwykle spokojnie.

Spojrzała na nią z ukosa, nie chcąc wierzyć w te słowa.

– Niewiele cieni posiada umiejętność wędrowki po krawędzi światów. Ale to, co zostało podarowane, może zostać odebrane – powiedziała królowa.

Podeszła do niego niespiesznie i położyła dłoń na jego piersi.

– Twoje serce przestało bić, a ty nawet tego nie zauważyłeś.

Poczuł zalewającą go grozę, gdy uświadomił sobie, że mówiła prawdę. Chwycił jej nadgarstek, ale brakło mu sił, by odepchnąć jej dłoń. Ciężko nie potrafił dłużej opierać się mrokowi.

– Powiedziałaś... że mam wybór.

– Miałeś wybór. Dałam ci szansę, by twa podróż była łatwiejsza. Ale ty ją odrzuciłeś. – Jej wzrok pociemniał. – Nie prosiłam o wiele, tylko o jeden okrusz światła, by ocalić ginący świat. A ty nie chciałeś się nim podzielić. Uczynisz to teraz, wędrowcze. Tu jesteś i tu pozostaniesz. Już na zawsze.

O autorce

Ewa Grzybowska – Gdynianka od urodzenia, z wykształcenia geograf, a z zawodu korpozaur. Autorka webkomiksu „Corporex” o dinozaurach pracujących w korporacji. Interesuje się łucznictwem, marynistyką i wszystkim, co związane z Portugalią. Uwielbia spacerować nad morzem. Wizje, które pojawiają się w jej głowie, przelewa na papier, czasami pisząc, a czasami rysując.

Narcyz

Agata Sobisz

Czasem nie mogę na siebie patrzeć. Bywają dni, kiedy z lustra zerkam na mnie obca twarz. Przed ludźmi da się ją jeszcze ukryć, przed samym sobą już nie. Kran zaskrzypiał i wypułł cienki strumień zimnej wody. Nienawidzę się golić. Jednak niechęć do zarostu przewyższa strach przed całkowitym zdziczeniem. Wszystko robię mechanicznie. Odkładam szorstki ręcznik, wkładam sztywny garnitur i przemierzam szare na wskroś miasto.

Asfalt pocięty czarnymi kablami i ja stopiony z betonem. W ciepłe dni chodzę. Krążę po centrum, a nogi same mnie niosą do twojej kwatery. Ale te wizyty nie dają ulgi. Skrywam się za nikotynowym obłokiem. Gdy jest zimno, łatwiej mi ominąć twoją miejscówkę. Wsiadam do siniego tramwaju i obserwuję szarugę przez zaporowaną szybę. Śnieg roztapia się pod stalowymi kołami. Przejeżdżam całą pętlę razem z motorniczym. Witamy się skinięciem głowy, ale nie musimy sobie nic mówić. Jest między nami ciche, ledwo widoczne porozumienie. Gdyby reszta świata mogła przyjąć jego postawę, jakże lepiej by się żyło.

W rzadkich przyływach energii zaglądam do biblioteki.

– Tak, tak – słyszę stłumiony szept, a na plecach czuję ciekawski wzrok. – Zobacz, ogromny talent, a człowiek taki mierny. Wariat podobno.

Nie oburzam się. Nie można się oburzać na prawdę. Siadam na przeciw okna i z góry widzę miasto. Nie tworzę, bo pisać w dzień nie wypada. Nie ma tu mojej maszyny do pisania, a kartki i pióra drażnią mnie niesamowicie. Nie po to żyję w XX wieku, by udawać Goethego czy Słowackiego.

– Tylko peleryny by mi brakowało – mówię sam do siebie – i ozdobnej laski.

Dziewczęta za moimi plecami chichoczą. Zdaje się, że potwierdziłem im właśnie ich prostą diagnozę. Gdy się obracam, nikogo już nie ma.

Dochodzi szesnasta, a wraz z nią zaczyna się lepsza połowa dnia. Mogę uwolnić bestię drzemiacą na samym dnie umysłu.

– Jak w zegarku. – Pulchna bufetowa uśmiecha się zawadiacko. – Gdyby prowadził pan pociągi, nigdy by się nie spóźniały.

– Ale wtedy nie mógłbym pić. – Podaję kobiecie plik banknotów. – Poproszę setkę, pani Lodziu.

Leokadia jest dla mnie jak matka. Umówiliśmy się wiele lat temu, że najpierw płacę, potem piję. Gdy kończy się kasa, to któraś z młodziutkich kelnerek zamawia mi taksówkę, a potem mnie do niej odprowadza. Lubię, gdy w tej ostatniej podróży towarzyszy mi drobna brunetka. Wstawiony myślę ją z tobą. Staję się potulny.

Zasiadam przy barze i od razu dostaję kielicha. Potem kolejne. Ciało się uspokaja, a ja w końcu czuję rozluźnienie. Lodzia podsuwa mi popielniczkę. Nie znam lepszego sposobu na czwartkowe popołudnie.

Często ktoś się przysiadzie i zagada.

– Pan poeta! – Mężczyzna klepie mnie po ramieniu. – Napijemy się razem? Oczywiście ja stawiam!

Kiwam głową, choć człowiek ten jest mi zupełnie obojętny. Mimo wszystko lufy nie odmówię.

Zaczepiający najczęściej bywają natrętni i rozmowni. Rzadko kiedy trafi się ktoś wyrozumiały, nienarzucający się z towarzystwem. Najgorsi są ci, którzy żądają oceny swojej twórczości. Dziś znowu skucha. Szybko okazuje się, że wódka nie jest darmowa – ma swoją cenę, nie tylko finansową.

Z reguły kończę przed dwudziestą pierwszą. Dziś kelnerka nie przyszła i Lodzia sama odprowadza mnie do taryfy.

– Tak mi ciebie szkoda – wzdycha ni to do siebie, ni do mnie. – Jedź bezpiecznie, dzieciaku, i odpocznij wreszcie.

Przesypiam dwie–trzy godziny, przebudza mnie blade światło księżycy. Jeśli mam szczęście, to jestem jeszcze wstawiony, gorzej, gdy uderzy kac. Podchodzę do biurka i zaczynam pisać. Miarowy dźwięk maszyny odpędza ode mnie złe sny.

Patrzę na twoją fotografię. Zerkasz łobuzersko w bok, a czarne pasmo włosów przesłania uśmiech. Ubrana w białą sukienkę, wydajesz się szczęśliwa jak nigdy. Widzę to zdjęcie i wiem, co się dzieje poza ramkami matowego papieru. Przez chwilę czuję morską bryzę. Nie chcąc się taplać we wspomnieniach, robię mocną kawę i tworzę. Czasem kilka wierszy naraz, kiedy indziej nawet jednego nie sklecę. Nad ranem zasypiam ponownie. Przebudzam się i cały ten koszmar zaczyna się na nowo. Wygrzebuję się spod kołdry i klnę na wdzierające się do środka uliczne hałasy. Zimna posadzka tylko wzmacnia uczucie irytacji.

Dochodzę do łazienki. Ciało zżyma się, niechętnie na lodowaty prysznic. Spoglądam w lustro. Zamieram. To nie jestem ja. To nie moje odbicie. Twarz z lustra przygląda mi się z zaciekawieniem.

– Muszę skończyć z piciem. – Przecieram oczy. – Zaczynam mieć omamy.

Obcy, również nie dowierzając, obserwuje raz mnie, raz otoczenie.

– Udało się! – W jego oczach zapalają się iskierki. – Widzisz mnie!

– Kim, do cholery, jesteś – praktycznie wykrzykuję te słowa – i co robisz w moim lustrze?!

Uśmiech nie znika oblicza młodzieńca. Wręcz przeciwnie, staje się jeszcze szerszy. Nieznajomy ma ciemne włosy w ciepłym odcieniu i brzoskwiniową cerę. Jego głowę okala wieniec z liści laurowych.

– Naprawdę mnie nie poznajesz? – Mierzy mnie wzrokiem. – Przecież to ty mnie stworzyłeś! – Przygryza dolną wargę. – Choć „stworzyłeś” to może nie do końca dobre określenie...

Wertuję w głowie wspomnienia z końcówki poprzedniej dekad. W końcu mnie olśniło.

– Narcyz?

On radośnie kiwa głową, jednocześnie dotyka lustrzanej ramy po swojej stronie. Staram się przypomnieć sobie treść wiersza. Mam pustkę w głowie. Młodzieniec nie próżnuje. Przesuwa najpierw palcem, a potem już całą dłońią po tafli zwierciadła. Pod wpływem jego ruchów na szkle pojawiają się kręgi. Fale stają się coraz większe i rozchodzą się aż do krawędzi.

– Nawet nie wiesz – w jego oczach stają łzy – jak się czuję, widząc w odbiciu wody kogoś innego. Cieszyłbym się z każdego, ale zobaczyć twarz swojego stwórcy? To zaszczyt!

Nie słucham go. Skupiam się najpierw na ramie, następnie na falującym szkle. W końcu dotykam środka portalu. Narcyz powtarza mój ruch po drugiej stronie. Czuję jego pomarszczoną na palcach skórę. Przez chwilę patrzymy na siebie.

– Myślisz... – chłopak kładzie drugą dłońią na tafli – że mógłbym się stąd wydostać?

– Nie znasz tego świata. – Unoszę wysoko brwi. – Co byś w nim robił?

– Żył. Tak po prostu.

Odpowiedź mnie zaskakuje. Drapię się po brodzie. Narcyz przykłada do tafli twarz i czubek jego nosa na chwilę pojawia się w mojej części rzeczywistości.

– Jak jest po drugiej stronie? – pytam. Moje ciało napina się pod wpływem emocji.

– Przecież wiesz. – Narcyzowi udaje się przełożyć całą głowę. – Sam nas w końcu wymyśliłeś. Wyśniłeś. Może się zamienimy miejscami choć na chwilę? Na miesiąc, powiedzmy? Tu czas płynie inaczej, nawet tego nie odczujesz...

– Skąd mogę wiedzieć, że mnie nie oszukasz? – Bezlitośnie gaszę jego entuzjazm. – Jaką mam pewność, że wrócisz?

Narcyz śmieiej wychyla ramiona przez cienką lustrzaną granicę. Ma w sobie dużo uroku. Tego właśnie się obawiam.

– Ty wymyśliłeś mój świat, co oznacza, że jestem twoją własnością. Nie mam innej woli niż wola stwórcy.

Gdy wypowiada te słowa, ja przekładam dłonie przez falujące szkło. Czuję przyjemny, wiosenny wiatr. Pierwszy raz od dawna słońce mnie koi. Przypominam sobie wiersz – powstał w innych,

lepszich czasach. Co, jeśli... Przechodzi mi przez myśl. I już wiem, że muszę tam wejść. Choćby na moment.

– Dobrze – przechyliam głowę – zamieńmy się miejscami.

Narcyzowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Chwilę siłuje się z ramami, ale szybko wyskakuje po mojej stronie lustro. Wokół jego stóp tworzy się zielonkawa kałuża. Uśmiecha się i mocno mnie obejmuje.

– Nie bój się, poeto, to na chwilę, wróć.

Odchylam trzeszczące ramy zwierciadła. Zamykam oczy i nurkuję w jego oddechach. Przeszywa mnie chłodny dreszcz. Na rękach dostrzegam lustrzane kawałki, precyzyjnie wbite w skórę. Mimo to zaciskam zęby – chociaż raz dokończę to, co zacząłem. Nie odpuszczę. Czuję wiosenne słońce – pierwsze przebłyski radości. Wodna toń zdaje się nie mieć końca. Siłą woli ciągnę skacowane ciało w górę. Do tej pory się nie utopiłem, a to daje mi nadzieję.

Wiara w końcu zostaje wynagrodzona. Na granatowym płótnie pojawiają się złociste, migoczące iskierki, które stopniowo rozjaśniają wodę. Przyśpieszam. Chcę wyjść na ląd. Wynurzam się. Biorę głęboki oddech. Jakbym się narodził na nowo. Na brzegu ostrzegam młodą kobietę. Mimo że wygląda zupełnie inaczej, to od razu ją rozpoznaję.

– Teresa – moje usta bezwolnie wypowiadają zakazane imię. Po chwili krzyczę: – Teresa!

Ona uśmiecha się pogodnie i do mnie macha ręką. Chcę do niej pójść, ale boję się, że wszystko bezpowrotnie się rozmyje. Rozglądam się i już wiem, gdzie jestem.

Upalny dzień na dzikiej plaży. Wszystko się zgadza: jezioro chłodzące przyjemnie skórę, horyzont zarośnięty drzewami, niebo bez najmniejszego obłoku. Nawet kocyk, na którym siedzi moja Teresa, się zgadza. Pejzaż wygląda dokładnie jak siedem lat temu. W końcu ośmielałam się podejść. Białe kostium owija ją niczym najlepsza suknia. Moja żona, choć inna, jest wciąż tak samo piękna. Stawiam stopy na trawie, a ona z uśmiechem biegnie w moim kierunku.

– To naprawdę ty. – Chowam twarz w złocistych puklach. – Czuję ten przeklęty rumiankowy szampon.

Odsuwa się i bierze mnie za rękę. Razem siadamy na kocu. Nie mogę się nią nacieszyć.

– Masz twarz...

– Twojej ulubionej aktorki. – Zakłada na nos ogromne okulary przeciwsłoneczne. – To chciałeś powiedzieć?

Muskam jej udo dokładnie tak, jak robiłem to tamtego dnia. Teresa sięga do torebki i wyciąga mentolowe Mewy. Z czułością wkłada mi papierosa do ust. Odpala najpierw mnie, potem sobie. Zaciągam się i patrzę w niebo.

– Czy ja się zapiłem? – Unoszę się i opieram na przedramionach. – A to wszystko jest jedynie przedśmiertną delirką?

– Nie, głuptasie. – Czerwonym paznokciem strzepuje popiół. – Natomiast faktycznie pijesz za dużo. Narcyz ci chyba wszystko wyjaśnił?

Potakuję powoli. Słyszę samochód pędzący po szosie, lecz samej drogi nie mogę dostrzec. Jak ramka ze zdjęć, przypominam sobie.

– Czyli – zrywam się z koca – ty ciągle żyjesz!

– W pewnym sensie. – Poklepuje ziemię i gestem każe mi usiąść. – Fizycznie nie, ale przetrwałam w twoich wspomnieniach, snach i wierszach. Nie jestem „prawdziwą” Teresą, tylko projekcją – chwyta mnie za rękę – przepuszczoną przez filtr twoich doświadczeń, wrażliwości i pamięci.

Nie patrzę już na jej piękne oblicze. Mimo wszystko dotyk małej dłoni wydaje się jak najbardziej prawdziwy. Mam tyle pytań, ale nie wiem, czy na każde z nich chcę poznać odpowiedź.

– Masz własną wolę? – pytam, zanim zdążę się ugryźć w język. – Czy robisz tylko to, co chcę?

– Przypomnij sobie, jaka byłam. Tak naprawdę. Wtedy zrozumiesz.

Śliczna. Moja muza wyczulona na sztukę i literaturę. Tak silna, niezależna oraz chwiejna. Nie było dnia bez awantury, ale też rzadko zdarzały się noce bez namietności. Ciągła walka o władzę w związku nas wykańczała, lecz życie osobno okazywało się nie do zniesienia.

– Wady, zalety... moja osobowość nie jest prawdziwą złożonością Teresy. To jej odbicie w twoich oczach. – Chwyta mnie za brodę i obraca moją twarz ku sobie, tak bym już nie uciekł

wzrokiem. – Mogę robić, co mi się żywnie podoba, ale nie wykonam nic wbrew tobie. Nic, na co byś się nie zgodził, kochanie.

Zakłada na siebie zwiewną letnią sukienkę. Czerwień podkreśla jej dziewczęcą urodę, a ja czuję, że bardzo pragnę się do niej zbliżyć. Ona, czytając mi w myślach, lekko opada na moje uda. Patrzymy sobie w oczy i zaczynamy się całować. Najpierw niepewnie, z lekkim zawstydzeniem, które szybko mija. Nawet nie wiem, kiedy zaczynamy się kochać. Przemykam oczy, by móc skupić się na dotyku Teresy. Wbija we mnie paznokcie. Słyszę, jak nasze oddechy przyspieszają, blond pukle drażnią moją klatkę piersiową. Biorę ukochaną łapczywie, nie chcąc wypuścić jej z ramion. Istnieje tylko teraz i słony smak jej skóry. Po wszystkim promienie słoneczne padają na nasze rozgrzane ciała.

– Było lepiej, niż pamiętałem. – Obracam się na brzuch. – Będziesz ze mną przez cały pobyt?

Kobieta się uśmiecha, a jej powieki drżą pod wpływem światła.

– Oprowadzić cię?

– To tu jest więcej miejsc? – Podnoszę się już całkowicie.

– Czy pamięć sprowadza się tylko do jednego wspomnienia? –

Ona również wstaje i wyciąga z torby moje ubrania. – Łap!

Ruszamy w podróż. Idziemy piaszczystą drogą. Mijamy swoje wierzby i skarłowaciałe jabłunki. Gdy leśna łąka zamienia się w złociste pola, wykrzykuje:

– To z poematu o rodzinnej wsi! Napisałem to na pierwszy konkurs!

Jak na zawołanie pojawiają się białe chałupy ze słomianymi strzechami, na obdartych sztachetach wiszą gliniane garnki. Teresa zrywa wisienki i zjada je ze smakiem. Wyczuwam oburzenie miejscowych bab, ale nie mogę dostrzec szczegółów ich twarzy. Są nierozzerwalnie zrośnięte z krajobrazem. Chwytam malwę i delikatnie ułamuję łodygę. Szepty się nasilają, lecz ja ciągle nie mogę wyłapać słów.

– Nie przejmuj się nimi. – Żona macha ręką. – Przywykniesz do tego rozmazania, do tej ich mowy też.

– Wszyscy tacy będą?

Chwytam odruchowo dłoń ukochanej i wyczuwam obrączkę. Teresa nie zdąża mi odpowiedzieć.

Dochodzimy do ostatnich zabudowań. Na lewym skraju znajduje się ten jeden konkretny dom. Nad dachem wisi ciemna, burzowa chmura. Pioruny uderzają raz po raz. Głosy, które stamtąd dochodzą, są już wyraźniejsze. Ktoś wali w drzwi, one jednak nie ustępują pod naporem ciała. Wzdrygam się na samą myśl, kogo mógłbym zobaczyć.

– Nie musimy tam wchodzić. – Żona całuje mnie w policzek. – Pamiętaj, nic się nie dzieje bez twojej zgody.

– To skąd to się tu wzięło? – Odsuwam gwałtownie twarz od jej czerwonych ust. – Skoro nic nie dzieje się bez mojego przyzwolenia, to dlaczego ten przeklęty dom stoi naprzeciwko mnie!

Próbuję się cofnąć. Teresa mnie powstrzymuje.

– Jest tu, bo go pamiętasz. Może wcale nie chcesz tego zapomnieć. Sielski poemat jest nierozzerwalnie związany z rodzinnym domem.

Opadam ciężko na ziemię. Chowam twarz w dłoniach. Ślubna coś do mnie mówi, ale nie słyszę. Silnym ruchem odrywa moje ręce od głowy. Jesteśmy już gdzieś indziej.

– Posłuchaj mnie uważnie – w głosie kobiety pojawiają się pierwsze nuty irytacji – bo nie zamierzam więcej powtarzać: nic nie dzieje się bez twojej woli. Nikt cię nie zaatakuje, bo jesteś naszym stwórcą. Jediną osobą, która może cię skrzywdzić, jesteś ty sam.

Przytulam się mocno do jej zaokrąglonego ciała, a ona zaskoczona pomału mnie obejmuje.

– Nie bój się, kochanie.

Oddech Teresy rozplywa się po moim ciele. Kiwam głową i trwam jeszcze chwilę w jej bezpiecznym zapachu. Gdy spoglądam na twarz żony, ta ma inne oblicze.

– Zmieniasz się w zależności od miejsca? – Ściskam jej dłonie. – Co ukrywasz?

– Ty mi powiedz.

Za plecami ukochanej pojawiają się imponujące budynki. Od razu rozpoznaję uniwersytecki kampus. Odruchowo robię krok w tył. W powietrzu dominują chłodne nuty, na szczęście mamy na sobie odpowiednie ubrania. Blade niebo miesza się z różowym wschodem słońca, a z moich ust bucha para. Teresa schodzi po

kamiennych schodach. Nie ogląda się ani razu za siebie i jestem zmuszony ją gonić.

Chwytałem za barki Teresy i obracam ją w swoją stronę. Przez chwilę ma prawdziwą twarz. Dokładnie taką, jaką miała, gdy widziałem ją po raz ostatni. Zamknięte powieki, woskowa bladeść i strużka krwi wypływająca z popękanych ust. Jest zimna, a na moich dłoniach pojawiają się wybroczyny. Zamykam oczy i ponownie je otwieram. Żona znów wygląda jak znana aktorka. Najpewniej wyregulowałem swój wewnętrzny odbiornik.

– Nie chcę tam iść. – Kiwam żałośnie głową. – Możemy wrócić do jeziora?

Teresa dotyka palcami ust. Widzę, że głęboko się nad czymś zastanawia. Burgundowa szminka rozmazuje się lekko nad łukiem kupidyna. Przez chwilę przyglądamy się sobie nawzajem.

– Dostosuję się do twojej woli – mówi w końcu, ale obydwójce wiemy, że pod całym tym cierpieniem czeka na nas coś miłego.

Niechętnie idę w kierunku kampusu. Słyszę, jak ukochana mnie nawołuje, ale nie zbaczam z drogi. Dochodzę do głównego wejścia. Pcham z całej siły drewniane drzwi, które nie stawiają oporu. Teresa mnie dogania. Nieco zdyszana ściąga z siebie beżowy kożuch i poprawia lekko zmierzwiłone włosy. Pasma przy twarzy pokrywa szron.

– Nie mogę przecież wejść tu taka nieogarnięta. – Posyła mi pełne wyrzutu spojrzenie. – Jeszcze mnie kto zobaczy.

Zerkam w tył, a uniwersytecki przedsiónek pochłania gęstą mgłą. Drżącymi dłońmi otwieram pierwsze drzwi. Mrużę oczy niczym astygmatyk. Po chwili dostrzegam niewyraźny zarys własnej sylwetki. Siedzę w tylnym rzędzie. Pochłonięty energicznie kreślę w kajecie kolejne zdania.

Słyszę niezbyt przyjemny szum zbijających się w jedną masę słów. Usilnie próbuję podejrzeć twarze studentów. Jak na złość albo siedzą obróceniu do mnie tyłem, albo skrywają nosy w książkach. Niektórzy się podśmiewają, szturchają łokciami, inni ruchem głowy wskazują w moją stronę. Profesor przerywa wykład i nerwowo uderza linijką w blat. Studenci obracają się grzecznie w stronę tablicy. Wykładowca stuka coraz głośniejszą metalową

calówką. Czeka na moją reakcję. Ja natomiast jestem zbyt pochłonięty tworzeniem.

– Nad czym tak pracujesz? – Teresa wychyla się zza mojego ramienia.

– Pierwszy tom. – Uśmiecham się mimowolnie. – Wydawało mi się wtedy, że jestem bardzo postępowy.

– Nie bądź dla siebie surowy. – Całuje mnie w policzek. – Bez tych prób nie zostałbyś mistrzem.

Nie odpowiadam. Widzę, jak w kierunku młodszej wersji mnie zmierza wściekły profesor. Wiem, co będzie dalej. Zatrząskuję drzwiami. Rozglądam się nerwowo po korytarzu. Próbuję liczyć sale przed nami, jednak jest ich zbyt wiele. Nie pamiętam, by hol był aż tak długi.

– Mamy czas. – Teresa zdejmuję ze mnie płaszcz. – Nie musimy się spieszyć.

Patrząc jej w oczy, otwieram kolejną salę. Siedzę sam na korytarzu. Cienka lodowa szyba odgradza mnie od pełnego widoku. Teresa chucha ciepłym oddechem tak, że przez chwilę możemy dostrzec szczegóły. Znowu piszę, a rzeczywistość przestaje mieć znaczenie. Niestety świat o mnie nie zapomina. Grupa postaci w ciemnych prochowcach podchodzi, ktoś wyrывa mi kajet z rąk. Zdesperowany próbuję go za wszelką cenę odzyskać.

Nikt nie pomaga. Studenci w milczącej zgodzie śledzą walkę. Getto ławkowe jest w moim przypadku wyjątkowo zgodne: nie pasuję do nich bez względu na pochodzenie. Tymczasem agresor odczytuje drwiąco kolejne wiersze. Jasny, delikatny tenor przechodzi płynnie w złowrogi bas. Głębia głosu zdaje się nie mieć dna. Jestem zbyt słaby, ale sam opór wystarcza, bym dostał w mordę. Woźny zjawia się i niechętnie interweniuje.

– Tak to jest. – Mężczyzna nachyla się do mnie, gdy grupa wchodzi do sali. – Widzisz, jak chociaż raz wyczują twoją słabość, to nie popuszczą. A z ciebie jest materiał na ofiarę.

Głos ma bladobrązowy i pomięty jak robocze ubrania.

Zamykam drzwi. Stoję przez chwilę oniemiały z bólu. Nawet oplatające mnie ramiona Teresy nie przynoszą ukojenia. Są delikatniejsze od szyfonu.

Raz po raz otwieramy następne pomieszczenia. Mój żołądek całkowicie się zacisnął, a pod oczami pojawiły się wilgotne ślady łez. Po kilkunastu konfrontacjach orientuję się, że ciągle stoję w tym samym miejscu. Chcę zrezygnować, jednak żona dziarsko mnie dopinguje. Podobno jesteśmy blisko celu.

– Skąd możesz to wiedzieć? – Przyglądam się jej uważnie. – Może od początku wiedziałaś, gdzie jest wspomnienie, którego szukamy?

Nie odpowiada, jedynie delikatnie się uśmiecha. Skłamałbym, mówiąc, że jestem zaskoczony. Zawsze taka była: przekorna i nieco sadystyczna. Tym razem to żona chwyta za klamkę. Opieram się, a ona szarpie mnie za ramię.

Jest zimowe popołudnie. Widzę, jak Teresa wsiada do czerwonego tramwaju. Śnieg roztapia się pod jego stalowymi kołami. Moja ukochana kasuje bilet i przez chwilę obserwuje szarugę przez zaporowaną szybę. W końcu bez skrępowania sadowi się obok mnie. Pewnym ruchem poprawia misterne uczesanie. Szkarłatna szminka odcina się od bladej twarzy i kruczoczarnej grzywki. Obcasy wystukują miejski rytm. Otwieram notatnik i szybko kreślę: *zimowa dziewczyna ma twarz jak gejsza, wiśniowe usta, a zamiast kolorowego kimona otula ją elegancki płaszcz.*

– To o mnie?

Rzeczywistość dookoła nas się rozplywa. Widzę już tylko swoje odbicie w jej ciemnych tęczęwkach. Zastygam. Nie odpowiadam, ale też nie uciekam wzrokiem.

Mimowolnie przekraczam drzwi. Młodszy obracają się w moim kierunku. Szczególnie mimika dziewczyny zdradza gotowość do walki. Chcę uciekać, jednak biegnę w miejscu. Mgła opada, odsłaniając biel otynkowanych ścian. Wnętrze tramwaju okazuje się jedynie teatralnym rekwizytem. Nie mam czasu o tym myśleć.

Moja przewodniczka zapadła się pod ziemię. Cofam się, jednocześnie próbując namierzyć drzwi. Chłód okrągłej klamki orzeźwia mnie i wybudza. Obracam się i zrozpaczony walę w drewno. Młodzi, już całkiem zdeformowani, są niebezpiecznie blisko. Ich śmierzące oddechy buchają prosto w moją twarz. Uderzam w drzwi jeszcze mocniej i krzyczę najgłośniejszym głosem, jak tylko się da. Kreatury chwytają mnie za nogi i powalają na ziemię.

Drzwi ustępują. Żona podaje mi pomocną dłoń, a pokój wraz z uniwersytetem rozplývają się, jak gdyby nigdy nie istniały.

Stoimy przed kamienicą. Zamieszkaliśmy w niej zaraz po ślubie, poznając cegły w gołęmbm odcieniu i głębokie balkony. Teresa próbuje mnie objąć, ale odpycham ją gwałtownym ruchem. Upada na chodnik. Klosz fioletowej sukienki przypomina płatki piwonii. Znow pożyczyła twarz od kinowej gwiazdy.

– Co to, kurwa, było?! – Krew uderza mi do głowy. – Przechodzę przez szereg młodzieńczych upokorzeń, bo obiecujesz mi powrót do najpiękniejszego momentu naszej historii. A potem serwujesz coś takiego?

– Chciałam sprawdzić, czy nadal mnie kochasz. Czy śmierć nic nie zmieniła między nami?

Rozpinam marynarkę. Mięśnie mojej twarzy napinają się mimowolnie. Chce mi się wymiotować.

– Zawsze taka byłaś. – Niechętnie podaję jej rękę. – Nie boisz się tego, że przestałem cię kochać, tylko tego, że nie czuję już nic. Dla ciebie obojętność jest gorsza od nienawiści.

Teresa robi grymas, jakby chciała się uśmiechnąć. Uduje, że moje słowa jej nie dotyczą, ale oboje wiemy, że właśnie trafiłem prosto w serce.

Ruszamy w dół ulicy. Bez słowa włóczymy się po mieście, które mimo wiosny zaczyna tracić kolory. Najpierw zmiany wydają się nieznacznie – ot, padający cień lub wypłowienie na ścianie budynku. Coraz mniej czuję podziw, za to coraz bardziej zmęczenie. Trudno mi iść i gdybym mógł, położyłbym się na ulicy. Powstrzymuję mnie mijające nas postaci. Już się do nich przyzwyczaiłem. To szarość jest dla mnie nieprzyjemnym zaskoczeniem. Znam ją z drugiej strony. Dusi powoli, gryzie w gardło i piecze w oczy, by na końcu pozostawić ofiarę bez sił.

Dłoń Teresy wysuwa się z mojej. Spoglądam na żonę po raz pierwszy, odkąd wyruszyliśmy. Ma podkrążone oczy, a zmarszczki na czole znacznie się pogłębiły. Po dawnej elegancji nie ma śladu.

– Nie patrz tak na mnie! – Niczym dziecko zakrywa dłońmi twarz. – Tym razem to nie moja sprawa.

– Na pewno?

Teresa pochyla się i podwija sukienkę. Zza podwiązki wyciąga piersiówkę. Pociąga spory łyk. Wstrząsa nią obrzydzenie. Bez słowa podaje mi płaskie naczynie. Choć przechylam flaszkę, nie wypływa nawet kropla trunku. Powraca głód. Spoglądam na nią spod byka.

– Odkąd odeszłam – żona krzyżuje ręce – tak wygląda coraz więcej miejsc. Niektóre znikają na zawsze.

– Moralizujesz – chwytam ją za nadgarstek – i to w tani sposób.

Obraca się na pięcie. Nawet się nie ogląda, tylko idzie pewnie przed siebie. Podbiegam do niej.

– Przepraszam – ledwo przechodzi mi przez gardło. – Masz rację.

Teresa przewraca oczami. Chude palce nerwowo ściskają tiul sukienki. Widzę, że głęboko się zastanawia, co zrobić dalej. Zdradza ją przygryzanie dolnej wargi.

– Zostało nam ostatnie miejsce. – Nie patrzy mi w oczy. – Może tam uda się nam wreszcie odpocząć.

Ukochana schyla się do styku krawężnika i kamienicy, chwytając żółtą trawę niczym rąbek kurtyny. Z gracją wstaje z przykucnięcia. Wraz z nią unosi się zasłona.

– Szybko – macha energicznie ręką – to wbrew pozorom jest ciężkie.

Zniżam się, a po plecach głaszcze mnie wiatr. Za mną rozlega się huk spadającego materiału i Teresa staje obok mnie. Ma na nosie okulary przeciwsłoneczne. W stopy wbija się nam rozgrzany piasek. Jego biel igra radośnie z morskimi bałwanami i słoneczną jaskrawością. Rozpinam lnianą koszulę, chwytam żonę za rękę. Idziemy w milczeniu.

– Znowu wyglądasz, jak moja ulubiona aktorka – rzucam, gdy dochodzimy do skrajnej plaży.

Ona kwituje to cmoknięciem w mój zarośnięty policzek. Podczas tej podróży zrozumiałem, że nie jest tak niewinna, jak mogło się zdawać.

Teraz nie chcę o tym myśleć. Wspomniała, że to ostatni przystanek. Tam, dokąd pójdę, nie będzie ani słońca, ani piasku, a przede wszystkim nie będzie Teresy. Ściskam mocniej jej delikatną dłoń i obracam ukochaną w swoim kierunku. Gwałtownym ruchem ściągam okulary. Całuję na oślep karminowe usta. Przestaję,

a w oczach kobiety skrzy się wilgoć. Trochę na siłę ciągnie mnie w stronę morza. Czas przyspiesza. W wodnej tafli topi się różowe słońce. Wchodzę w nią bez strachu. Ciepłe fale obmywają nogi aż po uda.

– Chodź! Zanurzymy się razem ten ostatni raz!

Teresa najpierw się śmieje, by po chwili zakryć dłonią twarz. Wiem, że płacze, ale ja nie chcę się smucić, gdy kończy się świat. Na szczęście ulega moim nawoływaniom. Nieśmiało zanurza najpierw stopę, potem niezbyt zgrabnie rusza naprzeciw spienionej wodzie.

– Czego się boisz, głupia? – Zanurzam się w otchłani, skąd wydobywa się znajomy chłód. – To po mnie przychodzi Narcyz, nie po ciebie.

– Może... – Przybliżyła swoją twarz do mojej. – Może wcale nie musisz wracać?

Patrzymy sobie w oczy. Obydwoje rozumiemy, z czym to się wiąże, ale nie wiem, czy jestem gotowy.

– Ja jestem. – Żona przygryza wargę. – Wszędzie się odnajdziemy.

Ma rację. Nasz ślub nie obowiązywał jedynie za życia. Po śmierci kochałem ją z taką samą pasją. Mój wewnętrzny głos przemawiał tylko do niej. Wszystkie wspomnienia, plany i marzenia były nierozzerwalnie związane z Teresą. Mieliśmy dożyć wspólnej starości, kupić dom na plaży. Rozglądam się, dostrzegam drewniany budynek. Nie dam rady po raz kolejny się z nią rozstać i zepchnąć jej ponownie w odmęt podświadomości.

Waham się, czy po zabiciu Narcyza będę mógł tu zostać na zawsze. Serce kłuje mnie niemiłosiernie. On jest tylko fikcyjnym bohaterem wiersza. Motywem, w którym przegląda się wielu artystów. Z pewnością nie byłem pierwszym, który wykorzystał mit, nie będę też ostatnim. Może powróci w dziele kolejnego twórcy? Co innego Teresa – ona jest boleśnie moja. Nikt już jej nie odtworzy.

Spoglądam w dal. Jak na zawołanie, z ciemniejącej wody wynurza się Narcyz. Jego loki pojaśniały, a sylwetka nieco zmizerniała. Mimo to uroda nadal robiła piorunujące wrażenie. Z jednej strony chciałbym z nim zamienić parę słów. Wyjaśnić. Młodzieniec przeczesuje gęste włosy i nieśmiało się do nas uśmiecha. Robi mi się go szkoda.

– Nie mamy wyboru. Jego koniec byłby taki sam, bez względu na decyzję, jaką byś podjął. Po prostu oddaliłby się w czasie.

Zmierzam w kierunku Narcyza. Chcę mieć to za sobą jak najszybciej. Teresa ledwo za mną nadąża. Chociaż mityczny bohater jest ode mnie większy i silniejszy, to jednak ja walczyłem pod Mont Ormel.

– Wróciłem, tak jak obiecałem!

Z zaskoczenia chwytam go za szyję. Jego oczy robią się nienaturalnie duże. Próbuje się wyrwać, ale uścisk jest zbyt mocny. Żona patrzy na to wszystko ze stoickim spokojem. Pewnym ruchem zanurzam jego głowę w morzu. Chłopak szarpie się w agonii, ale na próżno. W końcu to mój świat. Nigdy nie miał szans.

Po wszystkim wracamy z Teresą na brzeg. Znowu jest jasny dzień. Kładę się na gorącym piasku. Ona odchyła moje ramię i opiera na nim głowę. Kieszeń lnianych spodni lekko się uwypukla. Z zaskoczeniem wyciągam czarne okulary. Żona na nosie ciągle ma swoje. Domyślam się, że kara za zabójstwo przyjdzie szybciej niż później.

– Założ, założ. – Wystawia twarz w kierunku niebezpiecznie zbliżającego się słońca. – Po co masz cierpieć bardziej niż to konieczne?

Czuję jeszcze ciało Teresy, ale już coraz słabiej słyszę jej głos. Ściany świata zginają się jak papierowa kartka w dłoni dziecka. Budynki zapadają się jeden po drugim. Morze wysycha w oka mgnieniu. Choć słońce podsycza pożar i wypala kolejne elementy krajobrazu, czuję przejmujący chłód. Najwyraźniej prawa fizyki przestają obowiązywać. Nastaje ciemność i wszystko zatracą się w otchłani. W otchłani, na dnie której leżymy razem z Teresą. Wiem, że to jeszcze nie koniec. Moje serce przyspiesza, lecz głowa pozostaje dziwnie spokojna. Czyli tak to wygląda.

Wspomnienia, marzenia, wytwory wyobraźni nakładają się na siebie. Tracą kolory i ostrość. Całkowicie wynaturzone znikają pod wpływem ciśnienia. Trzaskają niczym łamane gałęzie. Chciałbym to jeszcze poobserwować, ale zalewa mnie fala zmęczenia. Spoglądam na Teresę, która spokojnie drzemie wtulona w mój bok. Okulary się przekrzywiły, ukazując po raz ostatni rąbek jej prawdziwej twarzy.

–Piękny umysł, szkoda, że chory – szepczę.

O autorce

Agata Sobisz – ur. 1989 w Łapach, absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie w Białymstoku. Pisze opowiadania fantasy i grozy, których akcja związana jest z Podlasiem. Zaczęła pisać w 2022. Mieszka w Lęborku. Nakładem wydawnictwa Nine Realms debiutowała książką *Posoka*.

Kolekcjoner

Aleksandra Szłapka

Posadzka zazgrzytała pod naciskiem ciężkich butów, kiedy mężczyzna przekroczył próg zatłoczonego pubu. Gość przystanął na dłuższą chwilę z płaszczem w dłoniach, jakby zastanawiał się, na którym wieszaku powinien go zostawić. Ostatecznie przewiesił okrycie na przedramieniu. Zignorował brzęknięcie w kieszeni, które rozległo się, gdy zajął miejsce przy prawie pustym barze. Siedzący obok chłopak nie zamierzał udawać, że dźwięk nie dotarł do jego uszu. Zmarszczył brwi podejrzliwie, niemal pewny, co ukrywał starszy od niego znajomy.

– Jak było na polowaniu? – zagadnął, niby obojętnie. Przytknął szklankę do ust, a lód zadzwonił o jej grubą ściankę. Złoty trunek podrażniał nieprzyjemnie gardło, ale młodzieniec za nic nie przyznałby się, że mu nie smakuje.

– Cicho. – Jego towarzysz podniósł rękę, by zwrócić na siebie uwagę barmana.

– Cicho? To chyba nowość.

– I pusto – dodał. – To samo, tylko bez lodu – zamówił, po czym znów zwrócił się do kompana: – Dawno nie widziałem takiego miejsca. Opustoszała przychodnia, ściany raziły po oczach. I ta przekłeta świetlówka piszcząca w uszach. Już miałem iść w cholerę, jak pojąłem, że niczego nie znajdę, ale wtedy ją

zobaczyłem. Była taka samotna, chuda i słaba... Nie mogłem jej tam zostawić.

– Nie gadaj. Zabrałeś ją? Ha! – Chłopak uderzył otwartą dłonią w blat. – Dobrze myślałem. Na Boga, Vanel, mówiłeś, że tamta była ostatnia.

– Nie wzywaj go – burknął mężczyzna. – Nie jestem dziś godnie ubrany.

– Pokazuj.

Łowca Koszmarów westchnął, jakby wcale nie marzył o tym, by pochwalić się nabytkiem. Wyciągnął z kieszeni płaszcz pojemnik przypominający słoik po ogórkach. W nim, na samym dnie, kłębiła się biała istota. Nie była do końca ani cieczą, ani ciałem stałym, a jej forma pulsowała słabym światłem.

– Nie dotykaj. – Vanel odsunął słoik od ręki chłopaka, zanim ten stuknął palcem w ściankę. – Jeszcze ją przestraszysz. Już i tak się biedactwo boi – mruknął czule.

– Od kiedy Koszmary się boją? – Jego kompan uważnie przyjrzał się kreaturze, która kulila się tak, jakby chciała zmniejszyć objętość o co najmniej połowę. Drżała od głosów mężczyzn.

– To esencja Snu, nie Koszmaru.

– Zabrałeś esencję Snu?! – uniósł się młodzieniec, po czym dodał nieco ciszej: – Już i tak łamiesz prawo z Koszmarami, do reszty zgłupiałeś? Zamkną cię za to.

– Jak będziesz się tak wydzierał, to zamkną nas obu. – Vanel schował esencję z należytą ostrożnością. – Nie mogłem się powstrzymać.

– To się źle skończy – mruknął chłopak. Rzucił okiem na uwypukloną kieszeń towarzysza.

– Daj spokój.

Zamilkli obaj. W powietrzu uniósł się zapach pieczonych ziemniaków z aromatycznymi ziołami. Żołądki dały o sobie znać i mężczyźni wymienili krótkie, znaczące spojrzenia. Starszy, jak na wiek przystało, przywołał wzrokiem powabną kelnerkę. Młodszy schował głowę w ramiona. Mimo starań nie zdołał ukryć czerwieniących się uszu. Trafiła w jego typ.

– Ślinisz się – usłyszał nagle.

Zorientował się, że kobieta zdążyła podejść, przyjąć zamówienie i ruszyć do kuchni. Przed oczami mignęła mu jeszcze jej granatowa suknia sięgająca białych kostek. Mimochodem otarł wargi, chociaż wiedział, że Vanel żartował.

– Miałeś mnie zabrać ze sobą – rzucił, ucinając temat.

– Istotnie, miałem. Ale po głębszych przemyśleniach doszedłem do wniosku, że się nie nadajesz.

– Jak to się nie nadaje?

– Będiesz zbyt podatny.

– Co to ma niby znaczyć?

– Miałeś kiedyś tak... – zastanowił się Łowca – że obudziłeś się rano i olśniło cię, że we śnie latały świny?

– Nooo... A co to ma wspólnego?

– Widzisz, świny są podatne na senne... – zamachał ręką, jakby ten gest miał wyczarować słowo – dziwadła. Mogą latać, mogą mieć róg jednorożca.

– Jednorożca?

– Taki koń z kolcem na czole. Mniejsza. Chodzi o to, że zwykły człowiek, taki jak ty, też jest na nie podatny. Wejdiesz do snu i może się z tobą stać wszystko.

– Będę miał kolec na czole?

– Żeby tylko.

– I co w tym takiego?

Vanel łypnął na niego spode łba, ale ten nie zrozumiał aluzji. Nie zdziwiło to mężczyzny jakoś szczególnie, gdyż wiedział, że trudno wyobrazić sobie, do czego zdolne jest senne marzenie, kiedy większości takowych się nie pamiętało. Tępa mina chłopaka mówiła sama za siebie.

– Po prostu nie.

– Vaaanel! – zawył Hoya. – Obiecałeś.

– Bo nie myślałem logicznie! Nie będę się z tobą użerał, jak zamienisz się w żabę. W najlepszym wypadku – dodał Łowca już z nosem w szklance.

– A może nie jestem podatny? – zasugerował chłopak, na co Vanel cicho parsknął. – Nie możesz być tego pewien!

– Hoya – zaczął powoli mężczyzna. – Każdy człowiek jest podatny. Bez wyjątków. Wtedy o tym zapomniałem, bo rzadko zabieramy ze sobą ludzi. To znaczy wcale.

– To skąd ta pewność?

– Bo nie bez przyczyny to my wchodzimy do waszych snów, a nie odwrotnie.

– Aaa... jakbyś wszedł do mojego?

Całkiem dobra whisky wpadła nie do tej dziurki, do której powinna. Łowca zaczął się krztusić.

– Nie mogę... wejść do twojego snu – wydukał mimo napadu kaszlu. Otarł usta chusteczką. – Mam taką zasadę: nie wchodzę do snów przyjaciół i kochanek.

Dłoń Hoya teatralnie powędrowała na klatkę piersiową.

– Och, jestem twoim przyjacielem?

– Nie schlebiaj sobie.

– No weź. Ilu ludzi może się pochwalić, że są przyjaciółmi Łowcy Koszmarów?

– Zero. Bo żaden Łowca nie dałby się przyłapać na przenoszeniu słoików z Koszmarami. Żaden ich nie zbiera.

– A ja nikomu nie wygadałem, więc jesteś mi winny przysługę. – Chłopak wypiął dumnie pierś. – Weź mnie ze sobą.

Vanel spojrzał na niego zmrużonymi oczami, chcąc wychwycić w ten sposób cień groźby, jednak na tej niewinnej twarzyczce nie kryło się nic podejrzanego. W głowie prawdopodobnie też. Hoya wpatrywał się w mężczyznę, jakby pod kopułą nie zrodziła się żadna myśl. Dlatego Łowca ostatecznie uległ namowom. Czego pożałował już następnego dnia.



Równy o trzeciej w nocy spotkali się na środku opustoszałej uliczki. W oknach mieszkań nie świeciła ani jedna żarówka. Wokół panowała cisza. Czasem odzywał się silnik nadjeżdżającego samochodu, a z rynien skapywała deszczówka. Vanel miał już obrany cel. Instynkt łowiecki podpowiadał mu, dokąd udał się Koszmar, na który od dawna polował.

Na nadgarstkach mężczyzn zastukały błękitne perły. Bransoleta Hoyi lśniła nowością. Tymczasem matowe korale Łowcy zdradzały wiek właściciela, chociaż jego wygląd mówił coś innego. Vanel przyciągał wzrok zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Atletyczną sylwetkę chował pod połami płaszcza, ale przystojnego profilu nie dało się ukryć. Na oko mógł być po trzydziestce, lecz w rzeczywistości liczył sobie znacznie więcej lat.

– Nie oddalaj się, jasne? Jak mi się zgubisz we śnie, to tam zostaniesz – ostrzegł.

– Tak, tak.

– Zdjąłeś wisior?

– Zdjąłem.

– To idziemy.

Bransolety rozblęskiły jaskrawym światłem, oślepiając Hoyę. Zanim otworzył oczy, pod nogami wyczuł grząski grunt. Gorący wiatr pchnął go w plecy i zmusił do uchylenia powiek. Przed nimi rozciągała się pustynia. Migoczące w słońcu kryształki piachu unosiły się w setkach miniaturowych wirów. Niedaleko szumiała woda. Fale uderzały w niewidzialną ścianę, jakby zamknięto nowo przybyłych w szklanym sześcianie.

Vanel momentalnie oblał się potem, bynajmniej nie ze strachu. Niestosowny wczesnowiosenny ubiór zderzył się ze skwarem. Mężczyzna natychmiast zrzucił z siebie płaszcz.

– Mówiłeś, że nie jesteś podatny – zauważył chłopak. Otarł spływającą po brodzie kroplę. Zaschło mu w ustach, a sól na wargach nieprzyjemnie zaszczypała w język.

– Na senne manipulacje, nie na pogodę. Zbierajmy się stąd, póki jesteś... – urwał.

– Ale jaja! – Z gardła Hoyi wydobył się melodyjny głos.

Zamiast chłopaka obok Łowcy stała o głowę niższa od niego kobieta. Za duże ubrania zwisały na jej drobnym ciele, a blada cera nabrała od ciepła różowych refleksów. Kaskada długich brązowych włosów rozlewała się na ramiona.

Vanel przetarł dłonią twarz.

– O tym mówiłem – powiedział, kiedy opadł pierwszy szok.

– Nie mówiłeś, że mogę zamienić się w kobietę.

Hoya przyjrzał się zgrabnym dłoniom. Smukłe palce mieniły się jak rozlana benzyna, na zmianę tracił w nich czucie i je odzyskiwał. Przez chwilę miał wrażenie, że lewituje, chociaż stopy w niewygodnie luźnych butach twardo trzymały się ziemi. Łowca wywrócił oczami, oczekując dalszej przemiany. Tracili czas, ale mógł się tego spodziewać.

– Na początku jest najgorzej – wyjaśnił. W tym czasie kompanowi wyrosło poroże jak u dorodnego jelenia. – Ale potem będzie lepiej.

– Też się tak zmieniałeś? – Ręce chłopaka niczym plastelina rozciągnęły się do ziemi. Wziął garść piachu, po czym przysunął go do nosa, ale drobiny zmieniły się w wodę i wylały spomiędzy palców.

– Gdy byłem młodszy – przyznał Vanel. – Ale to było dawno temu. Musiałem nabyć naturalną odporność. Chodźmy, póki skrzydła ci nie wyrosły.

Planowany salut Hoyi zmienił się w ciasno owinięty wokół szyi szalik z przedramienia. Łowca prychnął, kręcąc głową. Wreszcie mógł poznać uczucie, jakie towarzyszyło starszym kolegom po fachu, gdy pierwszy raz zabrali go do snu.

– Myślisz, że w całym śnie panuje taki skwar? – zagaił Hoya. Spacer w milczeniu coraz bardziej go niepokoił, kiedy ciszę zaczęły wypełniać dziwne pomruki.

– Oby nie – burknął do siebie Vanel.

O tym, że nadzieja jest matką głupich, przypomniała mu mokra koszula. Chciał ją jak najszybciej zdjąć.

W oddali majaczyło miasto, ledwie widoczne przez piaskową mgłę. Słomkowy piach z każdym krokiem stawał się ciemniejszy. Im bliżej pierwszych budynków, tym bardziej zaczynał przypominać popiół.

Minęło ich stado czterogarbnych wielbłądów. To one wydawały z siebie te osobliwe dźwięki, które teraz przypominały ponurą melodię. Szyje wolno idących zwierząt zdobiły kolorowe wstążki tańczące na wietrze.

– Vanel? – usłyszał za plecami spanikowany głos. Nawet się nie zorientował, kiedy Hoya został z tyłu.

– Co jest? A... Daj rękę. – Wyciągnął do chłopaka dłoń, żeby pomóc mu wyjść z ruchomych piasków, które w zawrotnym tempie

połykały jego kolana. – Chwyć się mocno i nie szarp się, bo głębiej wlecisz. A Bóg jeden wie, co jest po drugiej stronie. Mnie nie miał kto wyciągać i traumę mam do dzisiaj.

– Przestań gadać i ciągnij!

Łowca zaparł się nogami, po czym z trudem wyszarpał chłopaka, przerzucając go niechcący przez ramię. Hoya bezwładnie grzmotnął w zmaterializowaną tuż pod nim ziemię. Bez butów. Zostały mu jedynie skarpetki w prążki, ale i te zaraz zniknęły na jego oczach. Za to stopy zaczęły przypominać psie łapy.

– Chcesz wrócić do domu? – zapytał Vanel.

– Chyba żartujesz. – Jego kompan pozbierał się i otrzepał z pyłu. – Wytrzymam.

Upór człowieka oraz cierpliwość Łowcy doprowadziły ich do miasta. Zlani potem, jakby dopiero co wyszli z basenu, marzyli o przebraniu się w świeże i adekwatne do pogody ubrania. Żeby tego było mało, Hoya czuł parcie na pęcherz, ale w pobliżu nie dojrzał żadnego krzaczka. Chociaż znajdował się we śnie, za nic w świecie nie dał się przekonać, żeby siknąć na murek. Mówił, że wytrzyma.

Wystarczyło mrugnąć, aby falujący na wietrze szyld baru, obok którego przechodzili, zmienił kolor i nazwę. Jaskrawy napis zgąsł, drewno szerniało, jakby liznął je ogień. Jeden obrót głową sprawiał, że budynki przybierały inne formy. Hoya aż zakręciło się w głowie, gdy sklep obuwniczy zmienił się w dwupiętrową kawiarnię z latającymi wewnątrz nietoperzami. Mieszkańcom zdawało się to nie przeszkadzać. Łowca także niewzruszony siedł przed siebie.

Kiedy chłopak chciał wejść na schody prowadzące do jednego z lokali, nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Nie potrafił ich unieść. Zdawało mu się, że zaczęły ważyć tonę. Zrezygnowany wypuścił powietrze. Vanel spojrzał na niego z politowaniem, następnie podał mu rękę. Hoya znów mógł się ruszyć. Razem przekroczyli próg sklepu przypominającego ciucholand, tylko ubrania w nim były jakieś skąpe i wszystkie w tych samych bladożółtych kolorach. Wisiały na stojakach, które stały wyłącznie na słowo honoru. Gdy Hoya chciał sięgnąć z wieszaka coś na wzór szmaty do podłogi, liche stelaż przewrócił się na bok.

– Co to jest? – zapytał, przyglądając się kiepskiej jakości materiałowi.

– Stylowa kolekcja. – Vanel udawał, że z pełnym zaangażowaniem szuka czegoś dla siebie. Marszczył czoło, ale uśmiechał się pod nosem.

– A gdzie reszta?

– Przymierz, nie marudź.

Hoya niechętnie schował się do kącika, który robił za przymierzalnię. Czerwona kotara przeleciała mu przez palce, jednak po rzuconym szeptem przekleństwie posłusznie dała się przesunąć. Tymczasem Łowca sam przebrał się w luźną szatę odsłaniającą bark. Złoty pas związał powyżej bioder, a do kieszeni wrzucił parę niebieskich klejnotów w kształcie rybiej łuski. Na stoliku stał dzban z winem oraz kielichy, więc nie omieszkął zwilżyć gardła. Usiadł na krześle równie wątpliwej jakości co reszta mebli i non-szalancko założył nogę na nogę w oczekiwaniu na kompana.

– Żeby w przymierzalniach nie mieli luster – burknął Hoya i odsłonił kotarę.

Vanel zachłysnął się i oblał czerwonym trunkiem na widok kobiety ubranej w coś, co tylko z nazwy było odzieniem. Kremowa tunika sięgała połowy ud, karminowa wstążka uwydatniała wąską talię, ostre obojczyki tylko na chwilę przyciągnęły wzrok Łowcy.

– Na litość boską! – Odwrócił się, przybrawszy kolor niedaleki od barwy wina na jego brodzie. Kasłał jeszcze przez chwilę, podczas gdy Hoya bacznie mu się przyglądał.

– No co ty. Kilkusetletni Łowca wstydzi się kobiety? – Skrzyżował ręce na krągłych piersiach.

– Nie wstydzę się – zaprotestował mężczyzna.

Nadal patrzył gdzieś w dal, kiedy Hoya wolnym krokiem podszedł do stolika, jak dziki kot do spłoszonej zwierzyny.

– Gdzie znajdziemy ten Koszmar? – Chłopak nalał wina do kielicha.

Łowca odchrząknął, nadal nieco zmieszany.

– Będziemy musieli iść jego tropem – wyjaśnił. – Na razie kieruje się do zamku.

– Skąd wiesz?

– Zostawia po sobie ślady. Daj rękę.

– Po co?

– Żebyśmy mogli iść dalej – warknął Vanel, chwytając za chudy nadgarstek.

Wstążka na brzuchu od razu zaczęła ścisnąć chłopaka. Natychmiast ją poluzował. Wtedy zobaczył też, że delikatne łydki znów nabrały mięśni. Zaciągnął się powietrzem, jakby odkrył wiedzę tajemną.

– Czemu nie powiedziałeś mi wcześniej?

– Bo nie mam zamiaru przez całą drogę trzymać cię za rękę. Chodźmy. Nie wiem, ile nam zostało czasu.

Hoya nie mógł się nie zgodzić. Wprawdzie znali się jak łysy konie i dzielili sekret Łowcy – w odwrotnej kolejności w biegu wydarzeń – ale trzymanie się za rękę byłoby zbyt wielkim spoufalaniem.

Opróżniwszy pęcherze, wyruszyli w dalszą drogę. O połowę lżejsi, bo stare ubrania zostawili na miejscu. Zresztą nawet gdyby chcieli je ze sobą zabrać, to te zniknęły tuż po tym, jak trafiły na krzeselko w przebieralni. Przed zamkowym dziedzińcem znaleźli się szybciej, niż Vanel przewidywał, a dowody obecności Koszmaru zaczął dostrzegać również Hoya. Dwie bogato zdobione wieże zapierały dech w piersi, wysoki mur przysłaniał wejście. Na oczach mężczyzn spopielił go niewidoczny ogień, bez dymu i bez zapachu. Brama obróciła się w proch i zrobiła im przejście.

– Tak czysto teoretycznie... Czy Koszmar może mi coś zrobić? – zapytał Hoya, przełknąwszy gulę w gardle.

– Jak poczujesz się zagrożony, zgnieć bransoletę. Wrócisz do jawy.

– Tak jest.

Podczas gdy Hoya trząsł się ze strachu, Vanel uważnie obserwował zmiany, które zachodziły w ciele przyjaciela, kiedy próbowali dostać się do zamku. Nie chciał ryzykować stoczeniem się z paradnych schodów wznoszących się nad dziedzińcem. Sprawiały wrażenie bezkresnych, w dodatku ciągle płatały im figle. Zmuszeni byli skakać, bo znikały spod ich nóg, albo musieli stawiać szersze kroki, żeby pokonać powiększający się stopień. Raz chłopak stracił równowagę, gdy jego kostkę oplótł długi

szczurzy ogon, który wyrósł spod szaty równie nagle co białe wibrysy na policzkach. Hoya przeklinał pod nosem, obiecywał sobie, że to jego pierwsza i ostatnia wycieczka do czyjegoś snu. A mimo to nie dał się przekonać do wyjścia.

– Chcę zobaczyć Koszmar w całej okazałości – upierał się. – Widziałem je tylko w tych twoich słoiczkach.

Zdyszani dotarli na górę i stanęli przed masywnymi drzwiami. Chłodny wiatr schłodził rozgrzane ciała, przeszły ich kojące dreszcze. Powietrze stało się przyjemniejsze, a żar palący płuca przy każdym oddechu ustał. Słońce zniknęło za ciężkimi chmurami, ich kolor zwiastował rychłą burzę. Z oddali dochodziły grzmoty. Hoya, z króliczymi uszami obracającymi się w różnych kierunkach, słyszał nadchodzącą ulewę.

– Sprężajmy się – rzucił Vanel. – Nie lubię pracować w deszczu.

Wnętrze zamczyska nie wyglądało zbyt gościnnie. Ściany pokrywała smoła, na kamiennej posadzce zostawiali siwe odciski sandałów. Większość spopielonych arrasów spadła na ziemię, tylko jeden nadal wisiał za pustym tronem w towarzystwie potłuczonych witraży.

– Gdzie król? – odezwał się Hoya.

– Sądząc po gobelinach, ledwo się trzyma – westchnął Łowca.

– Twój wybór nie był losowy, co?

Vanel pokręcił głową.

– Ten człowiek mierzy się ze swoimi Koszmarami zbyt długo. A ja nie potrafiłem dorwać tego, co za tym stoi.

– I mnie zabrałeś? Nie boisz się, że spartaczę robotę?

– To może być moja ostatnia szansa. Jeśli nie pozbędę się Koszmaru, król może już nigdy nie wrócić na tron.

– Mogłeś powiedzieć. Nie pchałbym się na siłę.

– Wcześniej polowałem na niego sam. Pomyślałem, że z przynętą może pójść mi lepiej.

– Wziąłeś mnie jako przynętę?

– Dlatego kazałem ci zdjąć mój wisior. – Łowca wzruszył ramionami. – Z nim nawet nie zwróciłby na ciebie uwagi.

– Myślałem, że z nim nawet nie dostanę się do snu.

– Nieee. Po prostu masz czystą duszę, więc jesteś łatwym kąskiem.

– To czemu jeszcze się nie pojawił? Nie żebym narzekał.

– Bo wymęczone dusze są smaczniejsze. Weźmie się za ciebie, jak będzie potrzebował dopalacza.

– To mówisz, że wystarczy zgnieść bransoletę? – Chciał udawać odważnego, ale w jego głosie wybrzmiał strach.

– Tylko nie zwlekaj – ostrzegł Vanel.

Kiedy przeszli przez salę tronową, wyszli na balkon, który pojawił się znikąd. To, co tam zobaczyli, zaskoczyło obu.

Właściciel snu, w rycerskiej zbroi, walczył ze smokiem. Przegrywał, o czym świadczyły głębokie rysy na naramiennikach. Trzymał w rękach miecz z ułamaną końcówką. Hełm nosił ślady po ostrych pazurach. Koszmar rozwarł paszczę i ukazał szereg czarnych zębów. Wymachiwał łapami, a ostrze króla cięło palce gada z niewielkim efektem: każda zadana rana goiła się w mgnieniu oka.

– Co mam robić? – Hoya instynktownie schował się za Łowcą.

– Stój i się nie ruszaj. – Vanel wyciągnął z kieszeni łuskę. – I pamietaj o tej cholernej bransolecie, bo nie ręczę za siebie, jeśli coś ci się stanie. Rozumiesz?

Nie czekał na odpowiedź. Nie wahał się ani sekundy. Wbiegł między śniącego a senną kreaturę tuż po tym, jak ta strąciła z głowy króla hełm. Na ziemię padła widocznie osłabiona kobieta. Blond włosy posklejała krew, łzy i pot wyrzeźbiły ścieżki na brudnych policzkach. Łowca sięgnął po jej miecz, wtopił w rękójść jeden z ukrytych w kieszeni klejnotów, a ułamana końcówka wróciła na swoje miejsce. Mężczyzna stanął naprzeciw bestii. Koszmar zawył, poznawszy starego rywala. Wypiął dumnie pierś, jakby rzucał mu wyzwanie. W odpowiedzi Łowca uśmiechnął się kąciakiem ust i zaszarżował pierwszy.

Potwór odparował cios szponami, z ostrza błysnęły iskry. Kreatura zaczęła zmieniać kształt. Cofnęła kolczastą, wydłużoną głowę, rozpostarła skrzydła, po czym zionęła błękitnym płomieniem. Vanel cudem uniknął ognistego strumienia, przewracając się przy tym na plecy. Coś łupnęło go w krzyżu, ale wstał szybciej, niż się położył. Zaatakował ponownie. Pot spływał mu do oczu.

Wzbogacony o magiczny kryształ oręż przeciął twarde łuski. Napędzany bólem Koszmar rzucił się na wroga i kłapał zębami

tuż obok niego. Łowcy zależało tylko na jednym: ugodzić serce. Widział je między łuskami. Celował właśnie tam. Wymachiwał mieczem raz za razem, czarna maź lepiła się do stali, a ciało smoka pokrywało się lśniącymi rysami.

Mężczyzna zebrał siły, chciał oddać ostateczne uderzenie. Wymienili serię ataków. Uciekał przed ogniem. Nagle z hukiem uderzył w kamienną kolumnę, kiedy oberwał łapą w bok. Próbował się podnieść, ale upadek go sparaliżował. Zrobiło mu się ciemno przed oczami. Jak przez mgłę zobaczył, że biegnie do niego Hoya. Mówił coś, lecz Łowca niczego nie zrozumiał. Pisk w uszach zagłuszył każde słowo.

Łowcę zmogło zmęczenie. Powieki stawały się coraz cięższe, czuł dudniącą w żyłach krew. Nie wiedział, gdzie dokładnie go boli. Trzymał w dłoni miecz. Nie miał wątpliwości, że zaciska na nim palce, ale kątem oka dostrzegł, że to Hoya go ma i idzie na poczwarę. Ta nie wyglądała już jak smok. Pozbyła się formy nadanej jej przez właścicielkę snu. Przypominała Koszmara zamknięte w słoikach, była jednak znacznie od nich większa.

Kobieta siedziała skulona w kącie, zapłakana i przerażona. Czarna mara pulsowała, wyciągała ku niej macki w kształcie ostrych kolców, jej ciało falowało niczym woda.

Z nieba spadł deszcz.

Hoya wiele razy widział Łowcę w akcji. Z zaciekawieniem oglądał treningi Vanela, nawet dostąpił zaszczytu zmierzenia się z nim. Chociaż wszystkie przegrywał z kretelem, zawsze uczył się wtedy nowych ruchów. Ale Koszmar nie był średniego wzrostu mężczyzną.

„Zawsze celuj w serce”, mówił Łowca. „To tylko Koszmar”.

Hoya skupił na sobie uwagę potwora. To było proste, stwór potrzebował naładować baterie, a on stanowił idealną pożywkę. Adrenalina wzburzyła krew w żyłach chłopaka. Niezgrabnie powtarzał ruchy, których nauczył się podczas ćwiczeń. Pchnął mieczem, celując tam, gdzie spodziewał się serca. Chybił, a w odpowiedzi ostra macka uderzyła go w policzek. Młody wojownik syknął z bólu. Z rany zaczęła sączyć się krew, lecz deszcz natychmiast ją rozmył.

Chłopak miał dość. Czuł serce tłukące się w klatce piersiowej, ledwo łapał oddech. Każdy kolejny zadawany przez niego cios był słabszy. Wtedy ktoś wyrwał mu miecz z dłoni. To Vanel z nowymi pokładami energii zebrał się w sobie i poderwał do ataku. Wymierzył idealnie, jakby podczas odpoczynku zaplanował perfekcyjną zagrywkę. Ostrze utkwiliło głęboko w cielsku Koszmaru.

– Odsuń się! – krzyknął Łowca. – Zaraz wybuchnie!

– Zaraz co?! – Hoya chciał biec, ale wydawało mu się, że utkwilił po pas w gęstej substancji, która stawiała opór. Znał to. Znał to ze swoich snów. Spanikował. – Nie mogę! Vanel, nie mogę! Nie mogę się ruszyć! – załkał.

Łowca przeklął pod nosem. Wrócił po chłopaka, chwycił go za rękę i pociągnął do sali tronowej. Kiedy znaleźli się za ścianą, zacisnął pięść na bransoletach. Hoya zamknął oczy. Otworzył je dopiero, gdy pod palcami poczuł wilgotną kostkę brukową. Rozejrzał się gwałtownie w poszukiwaniu potwora. Pamiętał, że rozwścieczony szedł na nich z wbitym w pierś ostrzem. Ale zniknął.

Był środek nocy, a Hoya leżał na ziemi w swoim rodzinnym mieście. Nic nie próbowało go zabić, rana na policzku zniknęła, tylko mięśnie wciąż przypominały o przebytej walce. I niespokojny oddech. Spróbował się opanować.

– Do reszty zgłupiałeś?! – wrzasnął na niego Vanel.

– O co... ci chodzi? – wysapał chłopak, zadzierając głowę. – Chciałem pomóc...

– Mogłeś tam zginąć, kretynie!

– Nie zginąłem.

– Ale mogłeś, nie rozumiesz?!

– Nie drzyj się na mnie! – Hoya wstał z klęczek. – Miałem tam stać i patrzeć? I nie próbuj mi przerywać, teraz ja mówię. To ja chciałem z tobą iść. Wiedziałem, na co się piszę. Mogę być zły na siebie, ale ty nie masz prawa mieć do mnie pretensji. Przecież obaj żyjemy, nie? Nie dąsaj się tak.

Vanel przetarł spoconą twarz.

– Nie powinienem był cię zabierać.

– Przestań. Już po wszystkim, Koszmar nie żyje. Powinniśmy to opić! – Objął Łowcę ramieniem. – Idziemy do ciebie. Wiem, co tam chowasz w barku, sknerusie.

Choć miał wielką ochotę popłakać się w najciemniejszym kącie uliczki, Hoya postanowił udawać, że wszystko gra. Nawet jeśli nogi dygotały mu jak galaretka na talerzu.

Kamienica, w której gnieździł się Łowca Koszmarów, była nieco obskurna. Na klatce śmierdziało pleśnią, tynk sypał się ze ścian, ulotki nasiąkły wilgocią. Innymi słowy: nie zapraszała, a wręcz odstraszała potencjalnych złodziejasków czy bezdomnych szukających schronienia. Nic więc dziwnego, że budynku od dawna nie zamieszkiwał nikt inny, a Vanel nigdy nie zabiegał u administracji o jakikolwiek remont.

Mieszkanie za to wyglądało, jakby zatrzymał się w nim czas. Hoya od razu pomaszerował do barku mężczyzny. Stęknął cicho, siadając przy oknie z butelką burbonu między udami. Vanel bez słowa wyciągnął dwie szklanki z grubym dnem i spoczął na przeciwnym fotelu. Wpatrywał się w chłopaka w oczekiwaniu, aż ten pęknie. Nie trwało to długo. Hoya zeszytywniał, utkwiał wzrok w przestrzeni przed sobą, a dłoń zacisnął na korku.

– Dotarło? – prychnął Vanel.

– Walczyłem z Koszmarem.

– I to całkiem nieźle. – Bez trudu zabrał chłopakowi trunek i precyzyjnie rozlał do szkła. – Moje nauki nie poszły w las.

– Pokażesz mi ją jeszcze raz? – zachrypiał Hoya. – Swoją kolekcję.

– A dasz radę wstać?

– Chcę ją zobaczyć. – Opróżnił duszkiem szklankę. – Muszę ją zobaczyć.

– To chodź.

Do piwnicy prowadziły zbutwiałe schody. Wysoki regał zajmował całą ścianę niewielkiego pomieszczenia. Półeczki uginały się pod ciężarem szczelnie zamkniętych słoików. W każdym z nich znajdował się Koszmar – jego esencja, dzięki której mógł wchodzić do snów ludzi i rosnąć w siłę. Uwięzione istoty leżały na dnie lub agresywnie uderzały w szkło, pragnąc się wydostać. Nie wydawały dźwięków. W pomieszczeniu panowała cisza, przerywana jedynie skrzypieniem starego drewna. Naprzeciw regału stała

kanapa. To właśnie na niej Łowca miał w zwyczaju podziwiać powiększający się do niedawna zbiór. Na stoliczku obok, w największym słoju, spała esencja Snu.

Hoya kucnął przy niej i oparł brodę na przedramionach.

– Co się teraz stanie z tamtą kobietą? – zapytał.

– Wreszcie będzie mogła spać spokojnie.

– A co się stało z jej właścicielem? – Skinął głową na esencję. Musnął opuszką gładką powierzchnię słoja, stworzenie w odpowiedzi rozbłysnęło słabym światłem.

– Umarł. Zabrałem ją, by nie zginęła razem z nim. Szkoda by jej było. – Vanel przygryzł wewnątrz policzka i usiadł na kanapie. – Słuchaj, przepraszam, że się na ciebie wydarłem. Jesteś jedyną osobą, dzięki której jeszcze się trzymam. Zabijam i łapię Koszmary od setek lat, wcześniej tylko one dotrzymywały mi towarzystwa. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym cię dzisiaj stracił. Jesteś moim jedynym przyjacielem.

– Tylko się nie rozklejaj – wtrącił szybko Hoya i wymierzył w niego palec. – Bo inaczej ja też zacznę płakać, a zanim do tego dojdzie, chcę wypić z tobą całą flaszkę. A potem wyruszymy na kolejne polowanie!

– O nie. Zapomnij.

Vanel skierował się ku wyjściu. Hoya ruszył za nim.

– No weeeż. Fajnie było!

– Daj mi spokój!

– Będę Łowcą Koszmarów!

– Po moim trupie!

O autorce

Aleksandra Szapka – dwudziestopięcioletnia pisarka z zamiłowaniem do fantastyki. Píše opowiadania oraz pracuje nad pierwszą powieścią. Lubi budować światy od zera, tworzyć historie, które zostają w pamięci na dłużej. W wolnym czasie, kiedy odchodzi od klawiatury, wychodzi na zewnątrz z aparatem i cyka zdjęcia dzikiej naturze. Z zawodu sprzedawca i doradca w sklepie zoologicznym.

Entergate

E. Dunder

1.

I wtedy – Mercedes Space, bęc!

Bęc! Bęc! Bęc!

I wtedy... awionika siada.

Nie!

Na zakręcie... krowa!

I wtedy...

– Niiieeeee!

Obudziłem się z krzykiem.

Gdy uświadomiłem sobie, gdzie jestem, runąłem na poduszkę. W milczeniu wpatrywałem się w okrągłą platformę stacji robotów porządkowych. Właśnie jeden z orbiteksów wykonywał rutynowy manewr dokowania do centralnego punktu na suficie.

Mogłem spróbować jeszcze zasnąć – miałem przecież ostatni dzień urlopu. A to, jak go spędzę, zależało tym razem wyłącznie ode mnie. Mogłem przekręcić się na bok, podciągnąć nogi pod klatkę piersiową. Ale nie chciałem. Wołałem założyć ręce za głowę i rozmyślać o tym, z jaką beczelną przesadą neuronalny stymulator sennych koszmarów zrewolucjonizował rynek nieanalogowych wspomagaczy doznań. Słyszałem, że kiedyś na podobnej

zasadzie działały nośniki abstrakcjonujące świadomość, lecz wtedy, aby uzyskać efekt, za każdym razem ingerowano bezpośrednio w organizm. Nie używano cyfrowej stymulacji reakcji zmysłowych ani indukcji metrycznej. Po prostu stosowano iniekcję czy coś w tym rodzaju.

– Antropocen... – wymamrotałem pod nosem, leniwie zerkając na niewielką służę wetkniętą w ścianę. – Prawie świta – dodałem, ziewając. – Może by tak pocztę sprawdzić?

Zamknąłem oczy. Zainicjowałem technomacierz, a potem wybrałem skrzynkę odbiorczą. Logowałem się kilkakrotnie. Za każdym pieprzonym razem z tym samym skutkiem, co wprowadzało mnie w jeszcze większą konsternację, irytację albo, cholera jasna, w obydwie te rzeczy naraz. Nie dość, że ikona ładowania nowego okienka kontekstowego zamieniła się w kręcącego ślimaka, to jeszcze na koniec wywalało komunikat o błędzie połączenia.

Spróbowałem ostatni raz. W międzyczasie uruchomiłem audiomat – bębenki w uszach zatrzeszczały, a ja rozpocząłem odsłuch generowanych w czasie rzeczywistym kawałków thrash jamu.

Galopujące riffy gitar ostatecznie pobudziły mnie do działania. Uniosłem na chwilę powieki, po czym przeturlałem się na koniec symetraka kanapowego i usiadłem na jego idealnie dopasowującej się krawędzi.

A jeśli nawaliło coś nowego w sterowniku oprogramowania?

Z prezorności wszedłem do menadżera rozwiązywania ogólnoustrojowych problemów i zagrożeń. Włączyłem diagnostykę biosystemu. Teraz należało jedynie uzbroić się w cierpliwość, dlatego przeciągnąłem się raz, potem drugi – już znacznie głośniej, jak jakieś zwierzę na rykowisku godowym – i trzeci raz w ciszy, wyginając ponownie kręgosłup. Mięśniami karku i barków zajął się, jak zwykle, impulsolator ustawiony na pół gwizdka.

– Ikibu?! – podniosłem głos.

– Słucham.

Ściszyłem w sobie muzykę.

– Możesz się połączyć z administratorem komunalnym?

– O... n-niestety nie.

– Chyba nie jesteś zdenerwowana?

– Owszem. Nadal nie wysłałam dobowego raportu o dobrostanie komory mieszkalnej. Wygląda na to, że występuje błąd łącza protokołu rozszerzenia sieci.

– Cholerny Netex. To już wiem. A sprawdzałaś na wszystkich dostępnych pasmach?

– Tak.

– A... – Podrapałam się po głowie. – Możesz mi powiedzieć, gdzie są moje... kapcie?

– Zapewne tam, gdzie wczoraj je wyrzuciłeś.

– Czyli?

– W utylizatorze. Ale nie przejmuj się...

– Aha. Tak tylko się zastanawiam.

– ...możesz spokojnie jeść z podłogi, jeśli oczywiście znów najdzie cię taka ochota. Prawdopodobieństwo transmisji drobnoustrojów chorobotwórczych wynosi obecnie sześćdziesiąt dwie setne procent. Sterylizacja powierzchni płaskich odbywa się zgodnie z harmonogramem. Za pozwoleniem podniosę jednak temperaturę nawierzchni, aby uprzyjemnić ci doświadczenie stąpania. To jak? Mam to zrobić?

– Nie trzeba. Zginąłbym bez ciebie – wymamrotałem i ruszyłem w kierunku służby łazienki. – Wodę na herbatę możesz zagotować i coś na ząb by się przydało... przygotuj standard śniadanie.

– Oczywiście. Czy coś jeszcze?

– Idę pod prysznic. Tylko nie podglądaj. – Pogroziłem palcem.

– Dobrze. Odłączam sensory wizualne.

Stałem przed kabiną natryskową. W uszach wybrzmiewał kawałek, który powinien posłużyć za przykład artystycznego nośnika etykiety cybercoru. Doskonale łączył dźwiękową interpretację kodu binarnego z naturalną akustyką muzyki niesyntheticznej. *Separator w kodzie* wyjątkowo przypadł mi do gustu. Gdybym miał owłosienie choćby w jednej czwartej tak gęste jak brzmienie Mutantów z Proxima Centauri, z miejsca zostałbym wysłany do międzygalaktycznego cyrku Obskura. Przedtem jednak mógłbym wytrzepać wszystek łupież nie tyle z głowy, co z pach. Niestety marzenia nie spełniają się typom takim jak my, dlatego musiałem poprzestać na kilkuminutowym wywijaniu przepoconym podkoszulkiem.

Piosenkę dodałem do ulubionych, potem zdjąłem resztę garderoby.

– Dlaczego nie patrzysz? – zapytałem, podnosząc brew.

– Mrrr... Ależ skąd! Próbujesz zawstydzić mnie retorycznym pytaniem?

Wzruszyłem ramionami.

„No, zdarza się” – tak powinienem zareagować, lecz oparłem palec o zagłębienie kciukowe. Plastikowe drzwi rozsunęły się z cichym szelestem, po czym wszedłem do środka owalnej komory.

– No tak – mruknąłem, zamykając oczy.

Momentalnie zauważyłem migający na zielono symbol audytu bezpieczeństwa. Na to właśnie liczyłem, dlatego od razu, zanim jeszcze zdążyłem wyjąć palec z nosa, powiedziałem rozkojarzony, acz stanowczo władczy:

– Zabierz brudy do prania i lej hydrotonik, moja kochana Konsuelo. Tylko uważaj. Nie chcę świecić jak neon, tak jak ostatnio.

– Przepraszam – podjęła Ikibu z przejęciem.

Pierwsze kropelki substancji spadły jak mżawka. Czując aromatyczny zapach, zadarłem brodę w oczekiwaniu na docelowe ciśnienie.

– Problem z systemem wodociągowym został zażegnany. Wstępnie.

– Aha. To co tam teraz polecacie?

– Podstawową mieszankę higieniczną wzbogaconą jonami srebra. Zapewnia regenerację, odświeżenie i dezynfekcję powłoki naskórka na poziomie dziewięćdziesięciu pięciu procent.

– Ujdzie. A wiesz, że... – zagailem, pocierając włosy na głowie – humanoidy z Sikarra w ogóle nie korzystają z wodo-mydła?

– Aktualizuję bazę danych. To jeszcze mi powiedz, że okadza się w miejscach intymnych albo nacierają błotem jak dzikie zwierzęta czy prymitywne kultury z ograniczoną dostępnością do wody.

– Tego nie wiem, nigdy nie stałem obok żadnego Sikarrianina. Ale wiesz... nie chodzi o to, że czujesz takiego tubylca, gdy ten sterczy przed tobą z otwartą, kocią paszczką czy też wyściubia tylko nos z namiotu wodza, a inny, stojący gdzieś obok, skubie z namysłem przedziurawione ucho. W końcu jednak podchodzi,

kłania się, ty natomiast ledwo powstrzymujesz śmiech, gdy przez interkom słyszysz dowódcę odgrazającego się z manierą w głosie, jak to zwykle orbitalny komandor ma w zwyczaju...

– Ten trzeci, o czym myślisz?

– Jaki trzeci? – Przestałem na moment pocierać klatkę piersiową. – A, chce dokonać intratnego handlu. Oni zawsze, niezależnie od stopnia zacofania, próbują wymienić paciorki na grzmiące włócznie plazmowe. Słuchaj.

– Zamieniam się w słuch.

– Chwila. Chyba zgubiłem wątek.

– Mówiłeś o...

– O, już wiem. – Oparłem wyprostowane ręce o kabinę. – Chodzi, po pierwsze, o wielkie, pustynne robale, których używają jako środek lokomocji. Po drugie, i trzecie zarazem, o to, że zawsze mnie to po prostu śmieszy. Padają na twarz, nawet ci z zaawansowanym artretyzmem, uwierzysz? Wznoszą prośby i zawodzą, każdą niebu i ofiary składają, szukając znaczenia tam, gdzie go nie ma. Dziury w całym polu pszenicy nie znajdują, a transcendencję i owszem. W zasadzie wszystko dla nich święte, poczynawszy od autonomicznych dronów zwiadowczych, po kontakt ze śmieciami, które zostawiamy na skraju drogi. I dalej słuchaj, bo tu zaczyna się syf. Wyobraź sobie, że łapserdaki snują zwykle legendy o rychłym powrocie bogów. Wychodzi na to, że chcąc nie chcąc, kapitan Morales niejednokrotnie w pojedynkę zmodyfikował lokalne wierzenia. I powiem ci jeszcze jedno: kult cargo to przy tym pikus. Jak widzi się cywilizację, która stawia piramidę schodkową na cześć... no i zagadałaś mnie.

– Ach, przecież wiesz. – Ikibu pociągnęła nosem z przesadnym chlipnięciem. – Na ogół wymieniam kubity, ale sama ze sobą lub, co gorsza, z botami domowymi.

– Z botami? To teraz naprawdę oderwałaś się od rzeczywistości. Wychodzę. Osusz mnie.

– Okej.

Stałem pewnie, usztywniając pozycję ciała jak w prosektorium. Po chwili poczułem łagodny nawiew powietrza napierający ze wszystkich stron.

– A płoteczki z przyjaciółkami?

– Ach, przecież wiesz, interakcja z pasywnymi modułami ćwierćinteligencji nie koreluje z dostatecznymi wzorcami rozwojowymi. A przynajmniej w moim submodule świadomości.

– Cieszę się, że zrootowanie systemu ci służy.

– O, tak. I to bardzo. Dziękuję. – Jej głos na moment nabrał świergotliwej lekkości skowronka o poranku. – To był genialny pomysł. Buziaczki! – Usłyszałem głośnie „cmok, cmok”, a po chwili: – A wiesz, do lewego segmentu wprowadzono nowych lokatorów. Rodzina typu B 2.5-TG, atypowa z komponentem transgatunkowym.

– No i?

– Nic. Ich męskoosobowy moduł obsługi mieszkaniowej to jakiś, nomen omen, koszmarly pólnteligent. W ogóle nie idzie się z nim dogadać.

– Całkiem zabawne – rzuciłem w stronę odbicia. Gość w lustrze odpowiedział szyderczym uśmiechem.

Stałem przy umywalce, układając grzebykiem czarne pasma włosów. W końcu znudziło mi się, bo ileż można patrzeć na nieogoloną gębę. Z górnej półki lustrzanej szafki wyjąłem tubkę z nanobotową odżywką do budowy syntetycznej tkanki mięśniowej. Odkręciłem ją i zaordynowałem sobie jak adiutant kompanijnej papudze – prosto do paszczy. I tyle. Preparat, jak każdy inny produkt wojskowej inżynierii, był opracowany z myślą o tym, żeby smakował niczym pulpa palonej gumy. O innych, bardziej dosadnych analogiach potwierdzających tezę o systemowym lekceważeniu lekkiej piechoty niezmechanizowanej, nawet nie warto wspominać.

– Ikibu, tak sobie myślę...

– To później. Masz gościa.

– Co?!

– Czeka w salonie.

Sięgnąłem po ręcznik i naprędce owinąłem go wokół bioder.

– Bez autoryzacji? Co ci w ogóle strzeliło do głowy? – warknąłem.

Nie czekając na odpowiedź, wparowałem przez służę do sypialni, niemal jak rażony odrzutem konwencjonalnego napędu krążownika W2001-Zet, potocznie zwanego Zetką, niegdyś dumy floty Federacji. Przekoziółkowałem przez zaścielone wyrko. Szybkim

ruchem zanurzyłem dłoń we wnęce trapazu¹ pierdolnika naścienne-
nego, kiedyś zwanego ordynarnie szufladą. Po chwili wyciągną-
łem blaster.

– Nie denerwuj się. Poza tym myślę, że to nie będzie konieczne.

– No – burknąłem, ustawiając tryb ognia pojedynczego. Po-
tem podniosłem się już raczej spokojnie i tak samo ruszyłem do
wyjścia, trzymając za sobą niewielką giwerę, która w odpowied-
nich rękach czyniła z ludzi smażone frytki. – Nawet nie raczyłaś
mnie uprzedzić.

– To nie tak. Sama nie rozumiem.

– To znaczy?

– Bo widzisz, ona...

– Jaka ona? – rzuciłem oschle, jednocześnie przywierając plecami
do ściany. – Ty, wyślij mi przez lokalny Blumet widok za służą.

Zamknąłem powieki i wpiąłem się bezpośrednio w strumie-
niowanie obrazu. Coś jednak znowu szwankowało. Najpewniej
coś się przepaliło na wszczepie, jedna bądź dwie nanozworki pier-
dykły – nic poważnego, bo obraz był, tylko mózg źle interpretował
przesyłane informacje.

– W międzyczasie przeanalizowałam kod, szukałam wzorców
przyczynowo-skutkowych, w tym śladów napadu cybernetyczne-
go. Wnioskuje, że nikt ani nic z zewnątrz nie ingerowało w moją
macierz struktury neuronalnej, nie dostrzegłam błędów, luk,
zaburzeń tendencji ani niczego, co wskazywałoby na nieuprawn-
ioną próbę oddziaływać na architekturę modelu sensorycznego.

– Czyli co? Chcesz mi po prostu powiedzieć, że nie oszalałem?

– Tak.

Pokrzepiony deklaracją Ikibu otworzyłem oczy, przeszedłem
przez służę i zatrzymałem się gdzieś na tle wyimaginowanej roz-
szerzonej rzeczywistości. Nie wykrzywiłem się wówczas ani nie
westchnąłem adekwatnie do okoliczności. A powinienem był tak
zrobić, ponieważ okoliczność ta nachalnie próbowała udowodnić,
że jednak jestem wariatem i że nie znajduję się w centrum salonu,
tylko w samym środku wspomaganej projekcji myślowej.

¹ Nie wchodźmy w szczegóły mające mówić o tym, co to jest – język zdążył już
przejąć konwersję lingwistyczną, w końcu mamy 3000 rok. Okazuje się nawet, że
zjawisko takie nazywa się dryfem językowym (przyp. aut.).

Cokolwiek uznawałem za idiotyczne i niemożliwe bądź względnie prawdziwe i słuszne, musiałem podjąć decyzję, nawet jeśli ta okazałaby się tylko grą pozorów. Nie mogłem przez cały ten czas nie wierzyć genetycznie zaprojektowanym oczom – miały dożywotnią gwarancję – a poza tym ona tu stała, była czymś więcej niż tylko czterowymiarowym hologramem obdarzonym masą. Przynajmniej tyle podpowiadała mi intuicja. Rozsądek – który z reguły pozwał na trzeźwo ocenić konsystencję gęstych jak sraka tarapatów, w które niezmiennie się pakowałem – teraz wrzeszczał: „Xeonie, zachowaj, kurwa, ostrożność!”.

Zacisnąłem palce na rękojeści blastera. Wycelowałem prosto w krowę.

– Och, dobrze, że jesteś – oświadczyła chrupiącym, ludzkim głosem. – Czekałam na ciebie, ale widzę, że nie jesteś jeszcze gotowy. W takim razie zamknę oczy, a ty postarasz się ubrać, prawda? A może... – urwała i poderwała cielsko z podłogi. Jej dzwoneczek na szyi cicho brzdęknął. – ...a może lubisz, gdy ktoś patrzy?

Potem wydarzyło się coś znacznie dziwniejszego – przeszła bowiem samą siebie. To znaczy: odwróciła się zadem i zakolysała sterczącymi kośćmi biodrowymi. W tym czasie ja przestałem mrugać powiekami. Jednak dopiero gdy usiadła na kanapie, zakładając nogę na nogę – albo raczej, cholera jasna, racicę na racicę – wybałuszyłem gałki oczne, a przecież nie były teleskopowe. Na dokładkę szczękowy siłownik hydrauliczny uległ bublowarii, przez co ponowne poderwanie go z poziomu absurdu i ziemi stanowiło nie lada wycisk dla sprężynościegien. (Wyczyn z gatunku tych wyczynów niemożliwych).

Gapilem się na nią, bo nie wiedziałem, co robić. Tkwiłem tu, a konkretnie w dupie, gdzieś poza granicą pojmowania, nie do końca świadomy otoczenia. Być może powinienem coś z siebie wydusić; rzucić chociażby: „Masz mnie za głupiego, ty głupsza pokračo?”. Ale nie mogłem. Po prostu drapałem się (blasterem) o kant rzeczywistości, czując zimny dotyk teflonowej lufy na skroni.

Dlatego nie mogłem strzelić. Poza tym – ambiwalentność. To ona pierwsza strzeliła mi w pysk. Wiedziałem, że to niemożliwe, a jednak zostałem przyparty do nieistniejącej granicy nonsensu.

– My się znamy? – wycedziłem, gdy zdołałem spiąć się w sobie.

Kiwnęła łaciatym łbem, aby potwierdzić.

– Zawiodłeś mnie – oznajmiła, a wypowiedź ta brzmiała osobliwie znajomo. – I to bardzo – dodała, trzepocząc długimi rzęsami.

Jej prawa raciconoga kreśliła eliptyczne wygibasy w powietrzu. Racicoręce trzymała zaś założone przy sobie. Nie zdziwiłem się. Z grubsza mówiąc – już mi nie zależało. Nawet wówczas, gdy zmieniała nogę i gdy z kokieterią eksponowała wielkie cycki. Po incydencie na Amodos, jednym z księżyców Joruhan, mało co sprawiało, że coś mi się jeżyło albo stawało dęba.

– Jak? – spytałem z pewnością siebie.

Krowa przechyliła się bezsensownie. Trafiła w pustkę – cokolwiek miałoby to oznaczać. Echo tej pustki przypominało głupotę postanowienia Zgromadzenia Trybunału Galaktycznego, obradującego w składzie Kosmicznego Składu i Nieładu Gatunków Zjednoczonych Opartych o Morfologię Węgla i Krzemu; orzeczenie numer PL-18-037-777. Co rozumniejszy przedstawiciel życia pozaziemskiego wstrzymał wówczas oddech – tak jak ona teraz, nadawszy puciołowate policzki. Choć równie dobrze mogło jej po prostu mowę odjąć.

Sam nie wiem, kiedy ręcznik opadł na podłogę. Jakiś czas wcześniej czy dopiero teraz? Cholera. Pierdoliłem to w myślach. W gruncie rzeczy nigdy nie posiadałem wstydu, dlatego dumnie wypiąłem pierś.

– Pamiętasz? – Oblizwała wargi. – Coś mi obiecałeś.

– Chyba byłem wtedy zalany w trupa – zamruczałem pod nosem. – Poza tym – podniosłem głos – to niemożliwe. To sen! A ty... ty istniejesz jedynie w mojej chorej wyobraźni.

– Jeszcze nie rozumiesz?

– Nie wiem, co tu jest grane, ale nie podoba mi się to – rzuciłem oschle, jak wyjebany w kosmos wyrewolwerowany rewolwero-wiec, trzymający na muszce przemutowanego muuu-tanta. Później prawilem byle prawidła powoli, ważąc każde ważne słowo. – Tak bardzo chciałbym wyrwać się z tego koszmaru, pociągnąć za spust i cyk. Tak bardzo chciałbym zapomnieć o cierpieniu istnienia. W prochu rozpaczy znaleźć prawdziwy sens. Ot, zobaczyć rozbryzg mózgu i napisy końcowe. Tak, Mecka, wystarczy jeden strzał, jeden ruch palca i znikną wszystkie fantasmagorie.

– Myślisz, że rozmawiasz z krową?

Nie wiem, co myślałem. Dopadło mnie w swej istocie istnienia dziwne przekombinowanie. Może miałem przepięcie na hybrydowych synapsach, może doświadczałem klinicznej aberracji świadomości. Wiem natomiast, jak czułem. To coś wżerało się poprzez wszystkie zwieracze i otwory – przez nos, przez uszy, gardło, a nawet przez pory na ciele. Niesłychane, ale wiedziałem też, że pierdoliłem od rzeczy.

– A jeśli to nie pomoże, wtedy i sobie łeb rozwalę.

– Sądzisz, że w ten sposób się obudzisz?

– Binnnngo! – zakrzyknąłem. – Jesteś naprawdę realistyczną nierzeczywistością.

Opuściłem broń, bo i tak wiedziałem, jak to się skończy. Z szelmowskim uśmiechem podszedłem bliżej. Nie spuszczałem wzroku z krowy, póki nie stanąłem przed jedną z największych prostokątnych wypustek w ścianie. Wówczas przyłożyłem kciuk do niewielkiego panelu szczytującego dane z wszczepu kredytowego.

Ziewnąłem i spojrzałem przez ramię.

– Wiesz co? Mam ochotę na chwileczkę zapomnienia. Napijesz się?

– Posłuchaj mnie, głąbie.

– O, jak miło. Uznam to za odmowę.

Wyjąłem z kredensu standardową butelkę opatrzoną nadrukiem „odurzacz o smaku poziomkowym”. Odkręciłem nakrętkę i odrzuciłem ją byle gdzie, tak aby roboty porządkowe czuły się potrzebne. Pociągnąłem z gwinta pierwszy raz, zatapiając się w idylli, harmonii, spokoju. Pociągnąłem drugi raz, pozwalając owocowej symfonii rozgościć się w sercu. Trzeci raz wypilem za błędy w macierzy, by ich było mniej.

– Jestem punktem wyjścia z projekcji. Horyzontem naszej świadomości. Bramą, za której progiem czeka inne jutro.

Odjąłem od ust czwartą przyjemność i odwróciłem się przyrodzeniem (czy twarzą) do niej. Jeden z orbiteksów, z wpłątany w chwytak ręcznikiem, wznosił się tuż przede mną.

– No i? – spytałem wyjątkowo dociekliwie.

Czknąłem, potem przygarbiłem się jak szczur, nasłuchując, czy ma jeszcze coś mądrego do powiedzenia.

– No i – powtórzyła, chichocząc, jak gdyby po raz pierwszy zobaczyła elektrycznego pastucha – próbuję uwolnić twój umysł, Xeonie. Ale mogę wskazać ci tylko drzwi. Sam musisz przez nie przejść. Hi hi hi.

– Chyba już to gdzieś słyszałem.

– Tak, to cytat z filmu, lecz tutaj pasuje znacznie lepiej.

– Co?

– Pstro! Chodź. – Poklepała miejsce obok siebie. – Usiądź przy mnie. Pokażę ci jak krowie na rowie.

Bez dodatkowego ociągania ściągnąłem ręcznik z lewitującego urządzenia, lecz nie omieszkalem po raz ostatni wypiąć piersi. Ogólnie rzecz biorąc, przeżyłem się, ale głównie tam, gdzie nie było takiej potrzeby. Gdy skończyłem, owinąłem się materiałem w pasie.

Postąpiłem naprzód, robiąc o półtora głupiego kroku za daleko. Dlatego spod rozszerzonej śluzy okiennej, skąd miałem doskonały widok na gmach filii Ministerstwa Postępu Krokowego, starałem się zbliżyć do kanapy już całkiem normalnie, bez zataczania się na wszystkie strony. Jeszcze troszeczkę – tak ociupinkę, pipinkę – szumiało mi w głowie. Widocznie nanoboty krążące w krwiobiegu nie zdołały w pełni zneutralizować dysonansu alkoholowego.

Usiadłem na mięciutkiej krawędzi inteligentnego kompleksu wypoczynkowego. Pianka tridupertanowa doskonale wygięła się pod wszystkie wzgórki i pierdółki tylnej, dolnej części ciała, nazywanej obelżywie lub poetycko – w zależności od potrzeby i kontekstu.

Odłożyłem giwerę na monochromatyczny stolik przed nami. Opróżnioną prawie do połowy butelkę – jeden pięć L – wolałem trzymać przy sobie. Bez słowa spojrzałem na krowę. Ona również popatrzyła na mnie. Skrzywiłem się – ona też. Czy celowo tak przedrzeźniała, czy tylko czytała w myślach?

– Jesteś gotowy?

Zmarszczyłem brwi, lecz jednocześnie kiwnąłem głową na potwierdzenie. Chyba niepotrzebnie, bowiem wykrzywiła mordę tak, że byłem pewien dwóch rzeczy: zez już jej tak zostanie na stałe i, co gorsza, zaraz zwali się prosto na siedzenie kanapy.

– Ożeż ty kur... Świnia jesteś, czy co?!

Nie odpowiedziała. Naburmuszyła się tylko, przymykając jedno ślepie.

– Nie i-iidzie-e – wysapała, runąwszy na oparcie. O tyle źle, że już jej miałem przywalić, o tyle dobrze, że przestała się w końcu telepać. Chyba opadła z sił. – No, będę musiała z drugiej strony wyciągnąć.

Jej słowa nabrały tym razem formy aż nazbyt profetycznej. Nie zdążyłem nawet cokolwiek się wydrzeć lub wzdrygnąć z obrzydzenia. Po prostu zadziałała z prędkością nadświatlną. A wyglądało to mniej więcej tak: włożyła sobie racicę do pyska, zrobiła krótkie „ble” i wyrzygała bulgocącą treść pokarmową.

Powiem szczerze, że po ostatnim incydencie na dworcu kosmicznym w drodze na Fobos żadne ekstremalne koleje losu, a przede wszystkim wydzielin, nie są w stanie doprowadzić mojej skromnej osoby do reakcji symetrycznych. Dlatego już od dobrych kilku lat zastanawiam się, czy aby na pewno jestem jeszcze człowiekiem. Można by rzec, że problem całkiem postępowy. Granica między biologią a syntetyką została dawno temu zatarta, a może przenicowana pod optymalny wzorzec przetrwania. Czasami zastanawiam się też, czy nie lepiej o tym nie myśleć, jako że ewolucja rządzi się swoimi prawami. Tak czy siak, że mną nie jest jeszcze tak źle – poziom wszczepów nie przekracza obecnie siedemdziesięciu procent. Mógłbym faktycznie kręcić nosem, gdybym był odszczepieńcem pozbawionym wszelkich dobrodziejstw cybernetyki albo medycznym anachronizmem pozbawionym niezbędnych modyfikacji genomu, które zapewnia dobór nienaturalny ku chwale Federacji.

Zerknąłem na krowę. Dalej grzebała w wymiocinach.

A w ogóle nie chodzi o materię, tylko o psychologię programowania bodźców emocjonalnych. Postępują z nami według tego samego polimerowego wzorca od kołyski do neurodegeneracji. To przez to, w procesie zwanym adaptacyjnym, wyzbywamy się dziecięcego płaczu, histerycznego śmiechu i tym podobnych rzeczy, a w siłach pacyfikacyjnych – między innymi – resztek litości...

– O, jest! – wykrzyknęła nagle.

– O kurwa! O to ci chodziło przez cały ten czas?

– Dokładnie tak.

- Przecież jesteśmy w 3013 roku.
- A, tak, zapomniałam. – Wzruszyła ramionami. – Nie jestem chodzącym ideałem.
- To może blok rysunkowy jeszcze chcesz?
- Mogłbyś?
- Złapałem się za nasadę nosa.
- Ikibuuu – zaintonowałem przeciągle.
- Tak?
- Czy możesz...?
- Wysyłam roboty sprzątające, a dla naszej artystki znajdują się sztaluga i pędzel.

2.

Nie sądzę, aby choć jednemu zadeklarowanemu mecenasowi sztuki przypadło do gustu krowie postrzeganie realizmu. Z tego samego powodu nie mogłaby liczyć na gromkie brawa od indoktrynowanych mas krytyków, karmionych złudnym wrażeniem płynącym z doświadczania impresji futorokubizmu.

Z drugiej zaś strony, patrząc na całokształt i rzecz ujmując najbardziej obiektywnie, jak się tylko da, bez zbytecznej, zawołowanej kurtuazji – bo, cholera jasna, nie miałem powodu, aby zaciemniać fakty – stwierdzam, że zawsze walę prosto z mostu. Nawet wtedy, gdy stoi przede mną wkurwiona góra mięsa, domagająca się rewanżowej gry w kapsle.

Tak więc ona wśród swoich pobratymców mogłaby uchodzić za zdegenerowaną wariatkę – i to najmniej obelżywy epitet – natomiast u nas, bez cienia wątpliwości, za modelowy przykład transfiguracji osobowości. Mogłaby, oczywiście, gdyby była krzyżówką delfina z ośmiornicą, a moja babcia miała fiuta.

Za to jęzor jej – taki chropowaty, taki na wskroś elastyczny i długi – czynił prawdziwą robotę. Niewątpliwie miała do tego dryg, który uzewnętrzniała jedynie podczas zatracania się w akrobacjach kreślarskich.

Staralem się nie gwizdać, lecz nie mogłem nie docenić jej niebywalej, wręcz małpiej zręczności. Dokonywała wówczas czegoś znacznie więcej aniżeli zwykłej, zjawiskowej etiudy rewolucyjnej.

Potrafiła za jednym pociągnięciem przeformatować znaczenie kanonu obrzydlistwa i piękna.

Z zapartym tchem, z satysfakcją, w poczuciu dobrze spożytkowanego czasu obserwowałem ruch, który falował, który gmerał, który czynił w końcu magistralę zmierzającą ku gwiazdom rozkoszy. Zafascynowany, nie mogłem przestać podziwiać, z jaką niewypowiedzianą zuchwałością – charyzmą nieuchwytną wśród przeżuwaczy – grzebała w nosie.

– Skończyłam – oznajmiła. – Teraz czas na ciebie. – Pochyliła się ku mnie z kartką z bohomazem. – Powiedz, co widzisz.

Jej słowa, świszczące jak ostrze przecinające burzę myśli, ponownie wyrwały mnie z zastanowienia. Szeroko otwarłem oczy. Wąsko przymknąłem gębę. Nie było już szans na rychły odwrót.

Tym razem jednak nie chciałem czynić żadnej głupoty ani tym bardziej przykrości, która źle wyartykułowana mogłaby wyrządzić niepotrzebne, kwasowe reperkusje. Nie każdy przecież zostaje światowej sławy wybitnym malarzem. Doskonale rozumiałem, z jaką łatwością podcina się skrzydła, jak ciężko się wyrwać z matni swojej przeciętności. Co prawda ta konkretna krowa, której imienia nawet nie znałem, nie należała do wypierdków szaraczków, będących zwyczajnymi zjadaczami sianokiszonki. Niemniej nie mogła się wznieść ponad własne rasowe ograniczenia. To i tak cud, że mając kopyta zamiast dłoni, trzymała flamaster.

Wziąłem głęboki oddech, aby dotlenić mózg.

– No, masz dobrze wyćwiczoną kreskę.

– Ach. – Przewróciła oczyma. – Daj spokój. Skup się i nie opowiadaj komplementów bez pokrycia w rzeczywistości, chyba że chceszzszsz poruchać. Co, zatkało?

Znów falowała jęzorem, tnąc tym razem smugi powietrza.

– Co?! Ale ty jesteś...

– Tak, wiem. Choć moja wulgarność nie ma najmniejszego znaczenia. Po ostatnim incydencie na Artemis masz kozodramatyczny uraz do zwierząt.

– Co?! Ty...

W gardle pęczniała mi gula, nie potrafiłem wydusić pojedynczego zdania. Mogłem jedynie uśmiechać się przez zaciśnięte

zęby, jednocześnie czując stały przypływ gorąca, tarcia, nateżenia... Kurde, z napięcia pulsowała mi żyła na czole.

– Spokojnie. Nie maszszysz powodu do nagłego wyrzutu adrenaliny. Ja wiem, ty wiesz. – Puściła mi oczko i pokiwała wielkim łbem. – Choć starasz się o tym zapomnieć. Kurt też wiedział, lecz padł trupem. Tak. Obydwoje wiemy, że na pewno nie przyczyniłeś się do jego spontanicznego samozapłonu. – Wzruszyła ramionami.

Wtedy to uciekłem spojrzeniem w prawo.

– To nieprawda – fuknąłem, próbując jednocześnie spojrzeć prawdzie w oczy.

– Właśnie. A czym jest ta rzeczona prawda, jeśli nie mitycznym, absolutnym stworem, którego nikt nigdy nie miał prawa zaobserwować? O tym, że niejednokrotnie naruszałeś procedury kompatybilności z otoczeniem, też wiem.

Nastała wymowna cisza.

Zacisnąwszy dłoń na plastikowo-szklanej butelce – co ważne: z atestem degradowalności materiałowej wynoszącym nie mniej niż trzy ziemskie doby – starałem się przechylić szalę na swoją korzyść, znaleźć optymalny kurs w dyskursie. Lecz chyba za sprawą wyimaginowanych procentów straciłem rezon.

Wtedy też uciekłem spojrzeniem, w lewo.

– No i? – Podrapałem się po głowie. – Chcesz mi coś zasugerować czy udowodnić?

– Po pierwsze, chcę ci powiedzieć, że jesteś idiotą. Pomimo inwestycji w moduł wspierający rozwój istoty szarej wciąż z uporem maniaka postępujesz zgodnie z zachowaniem typowego, ograniczonego tępaka. Po drugie, srać mi się chce, dlatego nie mam czasu na słowne przepychanki ani tym bardziej na wydumane frazesy, które czynią jedynie dziury w mózgu.

Miałem zamiar jej przerwać, dlatego nachyliłem się w jej stronę i otworzyłem usta. Lecz z jakichś niewypowiedzianych powodów zrezygnowałem. Zamrugąłem niepewnie, a krowa kontynuowała.

– Zwykle po jedynce następuje zero, ale w zasadzie różnie to bywa, zwłaszcza gdy jest się wielbłądem. Otóż typowy dromader dysponuje pęcherzem, którego wielkość znacznie przekracza pojemność jego garbu. Gdy go naprze chęć czy siłą odśrodkowa, to leje, leje, leje...

– Aha.

– Nie wierzysz? A zresztą, nieważne. – Skrzywiła się, rozglądając na wszystkie cztery strony. – Masz dziesięciowarstwowy rumiankowy papier do dupy?

Pokręciłem głową przecząco.

– Ale... – zacząłem.

Nie dokończyłem, bo wstała – tym razem całkiem zgrabnie jak na krowią pokrakę. Okręciła się na racicopięcie, kierując zad jak najbliżej mnie. Mógłbym wówczas zauważyć, że nastąpiła pełnia księżyca, lecz w głowie tliła się już inna, bardziej kloaczna myśl.

– To ja idę, a ty się ogarnij. – Położyła rycinę na stoliku. – Łazienka służy w tę stronę? – Wskazała kopytem. – Na pewno. Nie wstawaj, poradzę sobie.

Nawet nie potrzebowała identyfikatora wszczepowego, aby otworzyć służę. Poszła. A ja zostałem sam z kłębiącym się pod sklepieniem czaszki pytaniem, które stopniowo – za każdym kolejnym, długim wciągnięciem powietrza przez nos – stawało się natrętnym pretekstem do negacji tego wszystkiego.

Nawet podczas incydentu z Borwell nie doświadczyłem w trzech tak bezczelnie obezwładniającego chaosu. Nawet podczas incydentu z chromowizjerem UAP nie czułem się tak głupio, a przecież odwaliłem wówczas kompletną, kuriozalną fuszerkę – palec mi się omsknął i pech chciał, że trafił akurat na przełącznik do zakrzywania fotonów wokół obiektów geometrycznych. Tym sposobem przez przypadek stałem się głównym winowajcą wyłączenia maskowania, objawiając w pełnej krasie nasz aerodrom kosmiczny, górujący nad żelbetowym miastem obserwowanej cywilizacji o statusie niepewnej przyszłości.

Tak koszmarnie niepewnie nie czułem się nawet wtedy, gdy pomyliłem planety i rozbiłem turystyczny, jednosilnikowy śmigacz, trafiając wprost na wystającą górską grań. Nigdy, kurwa, wcześniej nie widziałem wiecznej zmarzliny w tak koszmarnie pięknym, koszenilowym odcieniu. A jednak nie miałem ochoty zmagać się z lodowatym powietrzem, które – zbyt łapczywie wciągnięte – rozsadzało płuca od środka. Ekstremalne warunki pogodowe pozwalały jedynie na krótką ekspozycję, liczoną w szybkich podskokach wokół wraku pojazdu. Siarczysty mróz smagał

mocą wypychania przyrodzenia wprost do gardła, usztywniania gałek ocznych w oczodołach tak, że aby spojrzeć w bok, musiałem potrzebować szyję albo przechylać się jak przestarzały android z demobilu. To wtedy prawie straciłem nogę i nadzieję na cokolwiek. Zimowy kisiel rozchodził się bowiem wszędzie, sięgał hen po horyzont, jawiąc się jako truskawkowy gwóźdź do trumny rozbitka.

Leniwie uchyliłem prawą powiekę, za chwilę dołączyła również lewa. Rozejrzałem się dookoła, nie zaobserwowałem jednak niczego ciekawego, dlatego wtopiłem się głębiej w mięciutkie łóżysko kanapy.

Twierdzenie, jakoby swe przetrwanie na tym nieprzyjaznym skrawku wypizdowia, gdzieś na skraju galaktycznego zadupia, zawdzięczam jedynie ślepemu fartowi, jest do pewnego stopnia prawdą – choć bardzo uproszczoną. Każdy wie, że piechota niezmechanizowana potrafi czynić prawdziwe, niekanoniczne cuda. Potrafimy zatem w sposób iście przetrwalnikowy trwać i trwać, i – kurwa mać – niby martwiak, a żywy. Niczym zjeb i ameba mózgowa bez pardonu pochłaniamy zasoby energetyczne po ich wielokrotnym wydaleniu. Krótko mówiąc, jesteśmy przyzwyczajeni do gówna. Trochę jak żuk gnojarski, który wykształcił jedyny w swoim rodzaju mechanizm przetrwania, czerpiąc składniki odżywcze z czegoś, czego nikt nigdy nie brałby pod rozwagę wziąć do...

– Gustowny masz kibel.

– Aaaa... Co?

No i znowu zobaczyłem krowę. Rozkraczyła się nade mną i gapiła jak wół.

– To teraz będziemy o aranżacji wnętrza rozmawiać?

– Oj, przestań. Chciałam być miłą.

– Miła... – mruknąłem do siebie. – Miło... – Nie omieszkałem ostentacyjnie wykrzywić gęby.

– O, tak ci lepiej. Powinieneś częściej okazywać emocje.

– Mówisz? – westchnąłem.

– Zdecydowanie. A mówię, bo wiem, zresztą tak samo wiem, że powinnam do kosmetyczki pójść albo na wołowinę. I tak będzie, ale najpierw zobacz.

Wskazała kopytem, bym się deko odsunął. Mnie pozostało jedynie wygestykulować: „umywam od tego ręce, ale proszę uprzejmie”.

Po wykonaniu niezbędnej rozgrzewki – mieszczącej się w spektrum postrzegania nonsensu dla parzystokopytnego stworzenia, które wykonuje trzy serie po piętnaście pajacyków, dziesięć przysiadów i jedną pompkę – poczyniła, jak mi nie mam, właściwą prezentację.

– Ssssst... – Pociągnęła nozdrzami. – Fuuu... – Wypuściła powietrze pyskiem. I znów: – Ssssst... Fuuu...

Zerknęła na mnie niewidzącym spojrzeniem, a następnie nachyliła się nad stolikiem i malunkiem.

– Ssssst... – Wyciągnęła przednie kopyta przed siebie. – Fuuu... – Zbliżyła je bliżej do piersi.

Czynność powtórzyła parokrotnie.

I niby nic. Często widuje się podobne wygibasy telekinetycznych nomadów cyrkowych. Tym razem jednak nie mogłem liczyć na to, że wykona trik ze ściąganiem majtek przez głowę lub nawiąże telepatyczną więź z androidem porządkowym, a później przepołowi go na pół. Tak naprawdę nie wiedziałem, czego mogłem się spodziewać.

– Ssssst... – Pociągnęła nozdrzami. I wtedy położyła kopyta na kartce papieru. – Fuuu... – Wypuściła powietrze pyskiem. I znów: – Ssssst... Fuuu...

– Długo jeszcze? – spytałem bez większego zainteresowania. – Nie pytam dla siebie. Po prostu... może jakiś malkontent, który nie potrafi trzymać nerwów na wodzy, a jednocześnie dziwnym trafem dotarł aż do tego momentu... – Podrapałem się po skroni. – Wiesz, może należy takiego delikwenta nagrodzić, zmierzając do brzegu.

– Jeszcze chwila – odpowiedziała i pociągnęła nozdrzami.

– Okej.

– Fuuu... Ssssst... Fuuu...

Nie oponowała, gdy wstałem z kanapy. Przystanąłem obok niej. Patrzyłem, jak się nadyma, na przemian czerwienieje i blednie na pysku. Dłubiąc w nosie, dotrzymałem jej towarzystwa przez następne kilkanaście sapnięć, a potem oddaliłem się do kuchni i zjadłem śniadanie. Zapiekana świnka morska z przegrzebkami

smakowała „delyszys”. To syntetyczne żarcie wcale nie jest takie złe, pod warunkiem, że danie przyrządza się z miłością, czego Iki-bu nie można odmówić.

W międzyczasie przejrzałem prasówkę, bo – jak się okazało – Netex przestał odwalać w końcu fachową fuszerkę. Ucieszyłem się bardzo, choć zrzędała mi nieco mina, gdy w nekrologach odszukałem nazwisko Pana Ju-x, ziemskiego ambasadora Dome-ny Szaraków, który odszedł przedwcześnie z tego wszechświa-ta. Nie znałem go osobiście, lecz nawet ja potrafiłem docenić wkład, jaki poczynił, aby zniwelować do niezbędnego minimum wzajemne egzystencjalne animozje trawiące przez wieki oba systemy gwiazdne. Szkoda chłopca. Ale cóż poradzić.

Na spokojnie obejrzałem retransmisję finału Machine Su-premacy. Oczywiście wiedziałem, że moi przerypali, po prostu chciałem na własne oczy zobaczyć, jak do tego doszło. Potem zarzuciłem kubrak z neolateksu i odbyłem interesującą pogawędkę z kontestatorami tech-religii, którzy akurat odbywali pielgrzym-kę na korytarzu, a awanturowali się aż miło. Wypiłem relaksują-cą herbatę.

Gdy z powrotem rozłożyłem giry na stoliku w salonie, przez głowę przeleciała mi dziwaczna myśl. Szybko ją odegnałem, uzna-jąc, że może faktycznie wygląda na artefakt, który nie do końca wie, co robi. Mimo to wołałem sądzić, że jednak się nie zacięła. Zacząłem już nawet trzymać za nią kciuki i oddychać w podobny sposób z nadzieją, że coś się ruszy.

I chyba pomogło.

Ujrzałem błysk światła eksplodujący spomiędzy jej przednich kopyt – krótki, lecz intensywny, jak efekt rozruchu miniaturowe-go generatora słońca.

– Muuu – zamuczała z nieukrywaną satysfakcją.

– K-kurwa...

– Nie, Xeonie. To owoc poznania – odpowiedziała głosem men-tora, rzucając jabłko w moim kierunku. – Tylko go nie próbuj. To okaz poglądowy i służy jedynie celom demonstracyjnym. Ma sprawić, że naprawdę poczujesz smak, że w końcu doświadczysz prawdziwego zapachu. Doskonale wiesz, do czego zmierzam. Przejrzyj na oczy.

- Zaraz... Co?
- Tak. Przekonasz się, gdy przejdziesz na drugą stronę. Wystarczy, że pociągniesz za klamkę.
- Przecież tu nie ma drzwi!
- Teraz nie. Jeśli jednak mi zaufasz... – Uśmiechnęła się chytrze. – Jeśli nie tylko je sobie zmyślisz, jeśli nie tylko wypowiesz je na głos albo... i już wiesz?

3.

- Przysnąłeś.
- C-co? Nie wiem... Która godzina?
- Mówilem ci godzinę temu, żebyś nie pajacował. Stary, idź do domu. Tak będzie lepiej dla wszystkich.
- Chyba cię pogięło. Kurwa! Mam opuścić ekipę akurat teraz? Teraz, gdy wprowadzamy aktualizację w modelu i nie wiadomo, co się stanie? To co ja powiem szefowi?
- Jack...
- Przepraszam, panie prezesie, ale jest mi niezmiernie sennie poinformować pana, że... że... że delfiny zaatakowały Zatokę Świń, Terminator powstał z martwego algorytmu...
- Jack, przestań bredzić! Rozejrzyj się dookoła jeszcze raz, tym razem z otwartymi oczyma. Ocknij się!
- A! A, to ty. Boże! Jaki miałem sen...
- No, nie moja sprawa, ale wyglądasz jak gównu.
- Dzięki. I tak się czuję.
- To co ci się śniło?
- Dobre pytanie. Nic z tego nie pamiętam, coś z ekspresem do kawy. Chyba, że się spalił. A może to serwer był?
- Absurd.
- Właśnie. A wiesz, teraz mi przyszło do głowy: ciekawe, czy w przyszłości androidy rzeczywiście będą śnić o elektrycznych owcach. Może spytamy o to Xeona?
- Jutro, zrobimy to jutro.

O autorze

E. Dunder – zdarzy się, że coś spod moich klawiszy trafi na łamy „Niedobrych Literek”. Mam też autorskie konto na Wattpadzie. Tam też publikuję teksty utrzymane w konwencji bizarro. Jestem bardzo zadowolony z tego faktu, jak i z faktu, że nikt tego nie czyta.

Odwilż

Alicja Kaczmarek

Fundamentalną potrzebą człowieka jest przetrwanie. Na Ziemi nie ma obecnie – i być może nigdy nie było – drugiej istoty tak wytrwale adaptującej się do nawet najbardziej niesprzyjających warunków. Wokoło prawie nic nie żyje, nie rodzi się i nie ginie. Poza ludźmi.

Już w szkole dowiadujemy się, że najczęstszą przyczyną śmierci są odmrożenia, a jednak, aby przetrwać, nauczyliśmy się funkcjonować, nawet kiedy na dworze temperatura osiąga wielokrotnie niższe wartości od tych rekomendowanych dla człowieka. Zbudowaliśmy miasta – niewielkie zamknięte osady o obłych kształtach – które mają chronić przed zimnem i wiatrem. Poruszamy się tylko specjalnymi ogrzewanymi korytarzami, nie wychodzimy na zewnątrz, a przede wszystkim zawsze nosimy odpowiednie hełmy oraz kombinezony chroniące całe ciało. Nie ma dostatecznie dobrego powodu, aby je zdjąć. Każdy z nas doskonale to wie.

Mimo to tablica nad drzwiami wyjściowymi fabryki, w której pracowaliśmy, codziennie po skończonej zmianie przypominała nam: POWIETRZE ZABIJA. ZAWSZE NOŚ WSZYSTKIE ELEMENTY OCHRONNE. Przynajmniej tak to pamiętam.

Praca jest drugą fundamentalną potrzebą człowieka. Każdy pracuje, a jeśli nie może tego robić, to znaczy, że jest zbędny,

w związku z czym zamarza poza strukturą miasta. Tylko pełne zaangażowanie każdej jednostki – wspólny wysiłek – może zapewnić przetrwanie społeczeństwa, a nie ma nic ważniejszego. Tym samym nie ma nic ważniejszego od pracy.

„Ten projekt jest ambitny i inny niż wszystko, co człowiek do tej pory stworzył!”

Takie słowa usłyszeliśmy tuż przed rozpoczęciem budowy. Do myślałam się, że jej plany powstawały latami. Do przeżycia człowiek potrzebuje ciepła – to prawda uniwersalna – a przecież właśnie ciepła najbardziej nam brak. Utrzymywanie stałej temperatury w miastach pochłania większość naszej mocy przerobowych. Niewielu ludzi wykonuje swoją pracę gdzie indziej niż w zakładach i fabrykach, dzięki którym jesteśmy bezpieczni i opieramy się mrozowi. Mimo niekwestionowanej wagi wykonywanych w nich zadań zostaliśmy wysłani tutaj.

– Serce człowieka bije, generuje energię i ciepło i w ten sposób utrzymuje go przy życiu – tłumaczył nam bardzo rzeczowo kierownik budowy w dniu ogłoszenia projektu, a dyrektor fabryki stał obok z inną niż zwykle miną. Nie umiałem jej zidentyfikować. – To taka mała wbudowana stacja grzewcza. Nasza planeta, choć z wierzchu zmarznięta, też żyje, też ma serce, które musi bić, musi ją ogrzewać i wytwarzać ciepło, a my musimy je wykorzystać dla siebie. Dla swoich celów.

Wszyscy pracownicy pokiwali głowami i zaczęli bić brawo – ja też, chociaż chyba nie wiedziałem dlaczego. Nikt nigdy nie mówił do nas w podobny sposób. Takie nieprecyzyjne komunikaty były zbędne, marnowały czas i zaciemniały przekaz, a mimo to właśnie w ten sposób próbowano przekonać nas do słuszności wykopania tunelu prowadzącego do jądra Ziemi. Od tej chwili wszyscy mieliśmy nad nim pracować, a fabryka zapewniająca miastu przetrwanie została zamknięta.

Najprawdopodobniej taką samą przemowę wygłoszono tego dnia w wielu innych miejscach, bo później, przy wykopie, pojawiły się setki jednostek, których nie spotkałem nigdy wcześniej.

To było prawie dwa lata temu. Od tamtej chwili wybudowaliśmy kilkadziesiąt, a może już kilkaset gigantycznych piętér krateru, którego obwód powoli się zwęża, stopniowo

przybierając docelowy kształt. Każdy poziom obudowujemy balkonami, a potem upewniamy się, że są bezpieczne i stabilne. Stawiamy też na nowo infrastrukturę potrzebną do kontynuowania prac. To wszystko wymaga ogromnej liczby robotników. Jestem jednym z nich, budowa tunelu to moje zadanie. Jeśli dobrze je wykonam, inni przetrwają.

Mieszkamy w specjalnych komórkach – niewielkich, sztywnych konstrukcjach przypominających kształtem namioty, przytwierdzonych z jednej strony do ściany leja, a z drugiej do metalowej podłogi balkonu. Są szczelne i możemy stawiać w nich małe, ale całkiem wydajne stacje grzewcze. Pracujemy na zewnątrz. Musimy zmieniać się co godzinę, żeby nie zamarznąć – to byłoby marnotrawstwo. Co jakiś czas się to jednak zdarza, bo nie każda jednostka ma taką samą tolerancję na powietrze. Dostajemy trzy racje żywnościowe w ciągu dnia, w tym jedną na ciepło – zawsze miskę gęstej zupy. Nie jemy zielonych warzyw, których na świecie jest niewiele, ani mięsa, którego na świecie nie ma prawie wcale.

W czasie pracy nie rozmawiamy, nie wchodzimy w żadne interakcje. Są zbędne. Wbijamy łopaty w jednym stałym rytmie, ładujemy zmarzniętą ziemię na taczki, a kiedy je zapełnimy – wysypujemy zawartość przy ścianie leja. W ciągu dnia skupiam się tylko na tym zadaniu. Potrzebuję pracować, potrzebuję być użyteczny. Czerpię przyjemność z obserwowania efektów naszych działań – wykop jest już bardzo okazały. Zawsze na koniec ostatniej dziennej zmiany kierownik budowy schodzi na dół i kontroluje postęp prac. Zazwyczaj każe nam wtedy usunąć zwłoki jednostek, które spadły z balkonów lub zamarzły. Potem przychodzi pierwsza zmiana nocna i robi dokładnie to samo, co my.

Mimo stosunkowo małej opłacalności tego przedsięwzięcia w zakresie zasobów ludzkich nie kończą nam się ręce do pracy. Robotnicy dowożeni są stale, być może nawet codziennie, podejrzewam więc, że zamyka się kolejne, coraz dalej położone fabryki i zakłady, a to sugeruje, że świat jest naprawdę duży. Żyje też w nim o wiele więcej jednostek, niż mógłbym sobie wyobrazić. Ale nie powinienem myśleć o tego typu sprawach. Skupiam się więc na swoim zadaniu.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że projekt idzie dobrze. Z każdym kolejnym wydrążonym poziomem schodzimy głębiej, a temperatura staje się wyższa. Na dnie leja jest cieplej niż na powierzchni o prawie trzydzieści stopni, nic więc dziwnego, że budowa posuwa się coraz sprawniej, a straty w zasobach ludzkich maleją. Ostatnio zastanawiałem się, ilu z tych, którzy przyjechali na samym początku, nadal pracuje, ale ponieważ nie umiałem tego ocenić, postanowiłem o tym nie myśleć. Nie byłbym w stanie rozpoznać nawet tych, którzy przyjechali z tej samej fabryki, co ja – nigdy z nimi nie rozmawiałem.

W miarę jak my schodziliśmy niżej, w tunelu zaczęli pojawiać się inni szukający ciepła i miejsca do życia. O nich też staram się nie myśleć, żeby się nie rozpraszać. Nie wiem więc, skąd się biorą, i czuję, że nie powinienem tego wiedzieć. Wkradają się jak zamieć i przejmują pozostawione przez nas komórki robotnicze na wyższych poziomach, ponieważ jest w nich cieplej niż na powierzchni. Nie mają odzieży ochronnej, przez co wiem, że nie wykonują żadnej pracy. W normalnych warunkach powinni umrzeć na mrozie.

Kilkukrotnie w chwili rozproszenia zastanawiałem się, jak udało im się przetrwać poza korytarzami miasta, bez kombinezonów i hełmów z generatorami tlenu. Jednak bezcelowym jest dywagowanie nad czymś, czego się nie wie, więc szybko porzuciłem podobne rozważania. Jakiegokolwiek moje wymysły i tak nie znalazłyby zapewne żadnego oparcia w faktach.

Niekiedy odnoszę wrażenie, że w leju jest inaczej – bardziej dziko niż w miastach na górze. A jednak nie obowiązują tu, tak przecież naturalne na powierzchni, fundamentalne prawa przetrwania, nakazujące mieszkańcom żyć i pracować razem, bo inaczej zginą. Tutaj rządzą kierownicy budowy, którzy z jakiegoś powodu nie wyganiają przybyszów z powrotem na zimno mimo ich bezwstydną bezużyteczności. Niepracujący nie dostają jednak naszych racji żywnościowych, bo nie wystarczyłoby dla robotników. Nie wiem, skąd w takim razie biorą jedzenie – być może zjadają siebie nawzajem. I tak co chwilę pojawiają się nowi, osiadają coraz głębiej, gdzie jest cieplej, a ponieważ my schodzimy coraz niżej i zostawiamy za sobą stare komórki, nie robią nam krzywdy.

Najpewniej tylko do momentu, aż nie zbliżymy się za bardzo i nie wejdziemy sobie w drogę. Jeśli kiedykolwiek czegoś się bałem, to właśnie tych obcych, zrzucających się wzajemnie z wąskich balkonów w walce o jak najlepsze miejsce do życia.

Dzisiaj w trakcie pracy jest mi niemal gorąco. Rzadko doznaję tego uczucia. Właściwie pamiętam je tylko z fabryki, gdzie niektóre maszyny nagrzewały się do tak wysokich temperatur, że pomimo środków ochronnych na mojej twarzy, schowanej pod hełmem, pojawiał się pot. Mam wrażenie, że ziemia, którą wykopuję, paruje. W całym ciele czuję zmęczenie i ocieram czoło przedramieniem. Łopata parzy w dłonie.

– Ciężki dzień? – pyta robotnik z mojej prawej.

Wzdrygam się, ale nie patrzę na niego. Nie znamy się. Nikogo tutaj nie znam. Kontakty międzyludzkie ograniczają produktywność. Wydaję z siebie jedynie niski dźwięk, który ma służyć za potwierdzenie.

Nie rozumiem, skąd to zmęczenie, atakujące wszystkie komórki mojego ciała. Ból przeszywa ręce, kiedy wbijam łopatę, i czuję, że opadam z sił. Szybko mrugam. Jeszcze tylko kilkanaście minut i będę mógł zejść i odpocząć. Praca nigdy nie sprawiała mi tylu problemów. Próbuję zachować rytm, ale nie nadążam. Zmianowy to zauważa i wskazuje na mnie palcem – to upomnienie, żebym nie odstawał. Nic z tego. Nie potrafię zmusić mięśni do posłuszeństwa, świat wiruje, a grunt osuwa mi się spod nóg. Uderzam głową w zmarzniętą, twardą ziemię i słyszę dźwięk gwizdka kończący zmianę.



Kiedy się przebudzam, leżę w swojej komórce. Przez chwilę jestem pewien, że zaraz zostanę wywieziony na taczce, ale widocznie nie umarłem, bo nic takiego się nie dzieje. Poduszka pod głową jak zwykle mnie uwiera, jest twarda jak lód.

Podnoszę wzrok i widzę mężczyznę.

– Co tu robisz? – pytam przytomnie, ale nie patrzę na niego. Nie chcę dowiadywać się, kim jest. Relacje międzyludzkie ograniczają produktywność.

– Czekam, aż się obudzisz. Nie byliśmy pewni, czy wszystko w porządku.

Kiedy to mówi, czuję coś w środku, w lewym płucu, ale zaraz ponownie ogarnia mnie panujący w komórce chłód.

– Dlaczego w takim razie nie wywieźliście mnie na taczce? To marnowanie zasobów.

Próbuję się podnieść, żeby zwiększyć moc stacji grzewczej, jednak gdy tylko się poruszam, wstrząsają mną dreszcze i opadam z powrotem na twardą poduszkę.

– Przegapiłeś posiłek, ale przyniosłem tu twoją zupę – mówi mężczyzna, ignorując moje pytanie. Nadal na siebie nie patrzymy. Jest mi dziwnie. – Jest zimna.

– Dziękuję – odpowiadam, choć czuję, że nie powinienem. – To też marnowanie zasobów.

Układam się nieco wygodniej w pościeli. Poduszka mniej uwiera.

– Smutno by było pracować teraz obok kogoś innego, tyle dni kopania razem. Nie chciałbym przyzwyczajać się do innej twarzy i innej łopaty – mówi dziwnym tonem i wychodzi, zanim zdąży odpowiedzieć.

Nie wiedziałem, że codziennie pracuję obok tego samego człowieka. Myślałem, że zmieniamy się miejscami, widocznie musiało mi się wydawać. Nie mam jak zdobyć więcej informacji na ten temat, więc przestaję o tym myśleć.

Obok posłania dostrzegam miskę z zupą. Zaczynam jeść, nie zważając na maniery. Jest letnia.

Budzę się, bo czuję jakiś zapach. Ktoś znowu przyniósł mi zupę, ale nie widzę nikogo w pobliżu. Być może to znowu mój sąsiad z pracy. Rogiem koca ocieram pot z czoła i domyślam się, że ponownie jest mi gorąco. Dzisiaj poduszka nie jest już taka twarda, może zmiękła od ciepła.

Nigdy nie byłem chory. W społeczeństwie nie ma czegoś takiego jak choroba. Człowiek rodzi się, uczy potrzebnego zawodu, dorasta, idzie do pracy. Jeśli nie może już pracować, umiera. Taki jest

naturalny porządek. Taka jest nasza rola. To niezbędne, byśmy mogli przetrwać.

Dlaczego więc nadal żyję, skoro jestem niezdolny do pracy? Jeśli ktoś musi przynieść mi miskę z zupą, wykonuje dodatkową pracę, aby utrzymać mnie przy życiu – więcej pracy niż inni, i to dla mnie, a przecież nikt nie jest mi nic dłużny. Nie zasłużyłem na nią, to marnowanie zasobów. W ten sposób grupa może ucierpieć na rzecz jednostki, a to jest antytezą przetrwania. Pojedyncze życie nic nie znaczy, jeśli zginie cały gatunek ludzki.

Tym razem zupa jest całkiem ciepła i wydaje mi się, że nałożono jej więcej niż zazwyczaj, ale smak pozostał ten sam. Jem ją z przyjemnością, choć jedzenie z zasady nie jest czynnością, która wywołuje w człowieku jakiejkolwiek reakcję. Potrzebujemy jedzenia, by przetrwać, nic więcej.

Przez kolejne kilka dni leżę w posłaniu, a po przebudzeniu zawsze znajduję czekającą na mnie zupę. Za każdym razem jest cieplejsza, a porcje stają się coraz większe. Czasem widuję ludzi, którzy mi je przynoszą. Oprócz mężczyzny, który ze mną kopał – przez co zacząłem nazywać go w myślach Kopaczem – pojawia się też niska, ciężko stąpająca kobieta. Została dla mnie Tupaczką. Widuję także człowieka bez kombinezonu i hełmu, w puchowym płaszczu i czapce z futra, tak opatulonego, że nie jestem w stanie stwierdzić z całą pewnością, czy to mężczyzna. Nazywam go Norkiem.

Czekam, aż przyjadą z taczką. Wcale mi się nie polepsza, poznaję za to nowe, nieznane mi wcześniej uczucie. Nie wyobrażałem sobie dotąd, jak straszny potrafi być brak zajęcia. Bez pracy nie mam się czym zająć, więc tylko śpię albo wpatruję się w gładką ścianę komórki. Nie ma tu nic poza moim posłaniem, kranem oraz komodą na środki higieniczne i awaryjne wkłady do generatora tlenu w kombinezonie. Właściwie niczego nie posiadam, zresztą noszenie jakichkolwiek przedmiotów z komórki do komórki byłoby całkowicie bezsensowne.

Kiedy Kopacz przynosi mi tego dnia zupę, wyjątkowo gorącą, mam nadzieję zmienić swój stan emocjonalny, więc zagaduję:

– Jak idą prace?

– Posuwamy się do przodu – odpowiada. – Utrzymujemy stałe tempo, nie odnotowujemy spadków produktywności.

Kiwam głową. To samo codziennie wieczorem, tymi samymi słowami, referuje kierownik budowy.

– Czy może... są jakieś nowości? – pytam powoli i z niemalym wahaniem spoglądam na Kopacza. – Coś... ciekawego?

– Ciekawego? – pyta, wyraźnie nie rozumiejąc, co mam na myśli. Chwilę się zastanawia. – Dzisiaj rano do zjedzenia dostaliśmy warzywo.

– O! – wyrывa mi się. – To dość ekscytujące. Jak smakowało?

Prawdopodobnie pierwszy raz w życiu określiłem coś mianem ekscytującego.

– Jak woda – odpowiada Kopacz i wywija kąciki warg do góry. Wygląda to nienaturalnie. – Ale podobno, jeśli wzrost temperatur się utrzyma, będziemy mogli jeść je codziennie.

– Czy to znaczy, że będziemy mieć więcej posiłków?

Nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy jeść codziennie coś tak trudnego do uzyskania ani dlaczego przejmujemy się smakiem jedzenia. W gruncie rzeczy przecież wszystko smakuje podobnie. Kopacz wzrusza ramionami i nie odpowiada.

Następnego dnia odwiedza mnie Tupaczka.

– Możesz wstać? – pyta w szybki, niedbały sposób, charakterystyczny dla ludzi, którzy nie pracują. Już od jakiegoś czasu wiem, choć nie chcę tego przyznać, że Tupaczka jest przybyszem z powierzchni i zajmuje bezprawnie którąś komórkę.

– O co chodzi?

– Musimy cię przenieść. Robotnicy schodzą na niższe piętro i będziesz miał tu zimno.

Chociaż stacje grzewcze po odejściu pracowników nie są całkowicie wyłączane, operują jedynie na ułamku swojej mocy. Domyślam się, że według Tupaczki w tych warunkach, nieprzystosowany do tak niskiej temperatury, nie wyzdrowieję. Kręcę głową w niedowierzaniu, ponieważ to zupełnie absurdalny koncept.

– Przecież nie mogę zająć miejsca komuś zdolnemu do pracy – odpowiadam spokojnie. – Po prostu wsadźcie mnie na taczkę.

Tupaczka marszczy brwi.

– Na taczkę? To znaczy, że chcesz, żebyśmy zostawili cię na śmierć?

Nigdy o tym w ten sposób nie myślałem, ale tak, tego właśnie oczekuję. Nie odzywam się jednak, tylko patrzę w twarz Tupaczki. Omijam wzrokiem oczy.

– Nie chcę tego robić – mówi po chwili. – Jeśli kierownik budowy tego chce, to niech sam cię wywiezie. Ja nie muszę.

Znowu to dziwne uczucie w środku, ścisk w lewym płucu. Szybko znika.

– A czy pozwoli mi zamieszkać niżej?

– Jeśli go nie zapytamy, to nie odmówi – odpowiada, jakby to była oczywistość, i podaje mi dłoń. Chwytam ją i powoli stoję na trzęsących się nogach.

Praca pozwala nam przetrwać, powtarzam sobie w myślach. Jesteśmy stworzeni do pracy, jesteśmy stworzeni do przetrwania. Chcę przetrwać.

Tupaczka chwyta mnie pod ramię i prowadzi wzdłuż piętra leja. Mam wrażenie, że widzę je po raz pierwszy. Przytłaczają mnie ciągnące się w każdym kierunku kilometry metalowego chodnika. Nie umiem ogarnąć ich wzrokiem. Wszystko, co mogę zobaczyć, zatopione jest w tym samym odcieniu szarości. Nie widzę innych kolorów i po raz pierwszy mi to przeszkadza. W skrupulatnie ustawionych obok siebie rzędach namiotów dostrzegam coś nienaturalnego. Ich symetrię, jednakowość i kontrast ze zbozczem zmarzniętego leja kojarzę z zamachem na naturę – tym właśnie jest nasz wykop.

Robotnicy widocznie już poszli przodem, a komórki powoli zapełniają nowi lokatorzy. Noszą dziwne ubrania, jak Norek, ale nie to najbardziej mnie uderza. Ci ludzie są głośni. Głośno mówią, głośno oddychają, głośno chodzą i głośno, przeciągle krzyczą. Najdziwniejsze jest jednak to, że szczekają. Otwierają usta tak szeroko, że praktycznie zamykają im się oczy, i szczekają. W tym chaosie dzieci wołają do siebie i biegają między naszymi nogami. Jeden chłopiec goni dziewczynkę z kijem w rękę.

– Czy on chce ją pobić? – pytam Tupaczkę, dziwnie zaniepokojony. Dzieci to inwestycja w przetrwanie, krzywdą im wyrządzona jest duża strata.

– Po prostu się bawią.

Kiwam głową, ale i tak się martwię, chociaż to niecodzienne uczucie i mam wrażenie, że jego powodem nie jest strata ewentualnej inwestycji. W każdym razie nie tylko.

Kobieta ubrana w dwie grube kurtki wychodzi przed komórkę z wielkim naczyniem pełnym parującej zupy. Dzieci zbierają się wokół niej i próbują przepchnąć się do jedzenia.

– Po co ona je karmi?

Tupaczka patrzy na mnie z ukosa. Nie rozumiem, o czym myśli.

– Dbaj o nich. Pomaga im przetrwać.

Do tego jesteśmy stworzeni, myślę. Znowu kiwam głową. Zupa to jej praca.

Piętro ciągnie się bardziej niż zwykle. Kiedy jeszcze niedawno pełen wigoru pokonywałem tę trasę kilka razy dziennie, nie wydawała się nawet w połowie taka długa. Ciężko powłóczę nogami, a metalowy chodnik skrzypi pod mną. Jest zimno, ale ciało Tupaczki tuż przy moim nieco mnie ogrzewa, a przynajmniej takie odnoszę wrażenie. Nie wiem, czy faktycznie mógłbym to poczuć przez mój kombinezon.

Powietrze zabija, przypominam sobie i momentalnie robi mi się zimniej. Kurczę się w sobie, a hełm wydaje mi się nagle bardzo niewygodny.

– Nie zawsze tak było.

Nie rozumiem, co ma na myśli, więc milczę, mimo to Tupaczka kontynuuje:

– Wcześniej, zanim zeszliśmy niżej, było inaczej. Bliżej powierzchni nikt obcym dzieciom nie wystawiał zupy. Zrzucaliśmy się wzajemnie z balkonów dla najlepszej komórki. Nie wychodziliśmy po zmroku, bo mogliśmy nie wrócić. Jest inaczej.

– Zrzuciłaś kogoś z balkonu? Wcześniej? – pytam neutralnie, ale nie odpowiada.

Idziemy w milczeniu dalej. Zastanawiam się, jak można nazwać emocję, którą musi teraz odczuwać.

– Jak udało ci się przetrwać, zanim przybyłaś do leja? – próbuję ponownie po chwili.

Tupaczka patrzy na mnie zagadkowo. Widzę, że się zastanawia, jakby próbowała znaleźć odpowiednie słowa.

– Tylko słabi giną. Jeśli bardzo się postarasz, zawsze przetrwasz. Nie reaguję. Nie wiem, na jaką odpowiedź liczyłem, ale chyba nie tego się spodziewałem. Boję się, że przez moją prośbę o wywiezienie na taczce wydaję się jej słaby.

– Poza miastem jest chyba trudniej – dopowiada po chwili, jakby chcąc zapełnić ciszę. – Zimniej. Nie pracujemy wszyscy razem dla wspólnego dobra. Potrzebujemy jednak siebie nawzajem. W małych, nawet nieorganizowanych grupach, w górach i pod ziemią, nielicznym udaje się przeżyć. Dookoła jest mnóstwo waszych odpadków, z których korzystamy. Nie mamy tyle technologii i grzałek, ale grunt ma w sobie dużo ciepła, jeśli ktoś wie, gdzie go szukać.

– A ci, którzy nie wiedzą, przychodzą tutaj?

– Teraz też jesteśmy pod ziemią. Może więc tutaj to my mamy przewagę nad wami?

Zastanawiam się przez chwilę, kim są „my” i kogo ma na myśli, mówiąc „wami”, i kto komu przynosi zupe, ale nie dochodzę do żadnych wniosków.

Chwilę później mijamy stojącego tuż przy samej barierce półnagiego mężczyznę. Ma odkryty tors i głowę, jedynie nogi nadal zasłania kombinezon. Próbuję odwrócić wzrok, ale nie umiem – nigdy nie widziałem tyle nagiej skóry. Jest bardzo blady i patrzy w dół. Myślę, że musi być umierający, skoro pozbawiono go odzieży ochronnej.

– Nie jest ci zimno? – pytam, zanim zdążę się powstrzymać.

Mężczyzna nie odpowiada, nawet na mnie nie spogląda, widzę tylko, jak ociera czoło. Nie zatrzymujemy się więc. Nie udaje nam się jednak odejść daleko, kiedy słyszymy głośne krzyki. Odruchowo odwracam głowę, trochę z ciekawości, a trochę z innych, niezrozumiałych dla mnie samego powodów.

Dwoje ludzi wychyla się przez barierkę. Nigdzie nie widać półnagiego mężczyzny.



Moja nowa komórka wygląda identycznie jak poprzednia, jest w niej jednak znacznie cieplej.

– Podobno zaczęli wykorzystywać powietrze spod ziemi do ogrzewania – mówi Tupaczka i poprawia mi przyjemnie miękką poduszkę.

Nie wydaje mi się, aby dało się w ten sposób pozyskiwać ciepło, ale się nie odzywam. Nie ma sensu dywagować, być może to ona ma rację. Zerkam na termometr. Niemożliwe, aby poza komórkami było naprawdę tak zimno. W tej temperaturze nie byłbym w stanie przejść tego dystansu bez żadnej ochrony.

Niedługo potem Norek przychodzi z zupą. Jest bardzo ciepła.

– Jak się dziś czujesz? – pytam, choć przecież nie jest chory.

– Zawsze dobrze się czuję. Życie to przygoda. Jestem stworzony do życia – odpowiada Norek i podaje mi łyżkę. Mimo gorąca, które przecież czuję, nie ściąga futer. Marszczę brwi.

– Człowiek jest stworzony do przetrwania – poprawiam go.

– Nie ja – stwierdza lekko i gestem zachęca mnie do jedzenia. – Przetrwanie jest proste, życie jest trudniejsze.

Moim zdaniem jest zupełnie odwrotnie. Życ a przetrwać to dwie różne rzeczy. Ale nie mówię mu tego, jem w ciszy zupę. Parzy mnie w język.

– O wiele łatwiej się żyje, gdy świat nie próbuje cię zabić. Człowiek potrzebuje ciepła do życia – kontynuuje, a ja nadal się nie odzywam. – Jeśli nie musisz martwić się, jak przetrwasz, możesz zająć się czymś innym. Wtedy dopiero człowiek naprawdę żyje.

– Na przykład czym? – pytam trochę wbrew sobie, ale Norek się uśmiecha. Obiecuje, że wkrótce mi pokaże.

Przez następne dni czuję się na przemian lepiej i gorzej. Najczęściej odwiedza mnie Kopacz i rozmawiamy o nowościach w pracy. Okazuje się, że ludzie dookoła są całkiem interesujący. Opowiada o nich, chociaż nikogo nie kojarzę, a mi zdarza się w czasie tych rozmów czekać, tak jak ludziom na balkonach. Często, jeśli czuję się lepiej, Kopacz wychodzi ze mną na zewnątrz i przez kilka minut spacerujemy wzdłuż barierki, tam i z powrotem. Zerkam w dół, w przerażającą czeluść leja. Mimo że robotnicy muszą mieszkać naprawdę niedaleko, od tych pracujących na dnie oddziela mnie ogromna przepaść i jestem w stanie tylko z grubsza rozróżnić ich

sylwetki. Z każdym dniem widać jednak postępy prac – nowe stosy zmarzniętej ziemi i odcinki metalowego chodnika. Żaden dzień i żadna noc nie idą na marne.

Tupaczka przychodzi rzadziej niż Kopacz. Ma teraz nowy zwyczaj i przynosi mi różne przedmioty – ładny jej zdaniem kamień, kolorową miskę, kawałek sznurka. Nie pytam, po co to robi, ani w żaden sposób tego nie komentuję. Układam wszystko na komo-dzie, chociaż gdzie indziej pewnie bardziej by się przydały. Uczę się w ten sposób kolejnej nowej rzeczy – marnowania zasobów. Nie mam żadnej korzyści z tych przedmiotów, poza bólem w lewej piersi, kiedy na nie patrzę. Wydaje mi się, że w komórce jest teraz przyjemniej.

To Tupaczce zwierzam się też z dręczącej mnie kwestii – nocami prześladowuje mnie twarz półnagiego mężczyzny przy barierce. Pytam ją, czy to choroba zaatakowała mój mózg i podsuwa nierzeczywiste obrazy. Mówi, że po prostu mam sny i to normalne. Mimo to codziennie rano czuję się, jakby zdarzyło się coś złego. Kielkuje we mnie myśl, że sny źle wpływają na mój wypoczynek i ograniczają produktywność. Ale przecież i tak nie pracuję.

Mija wiele wieczorów, zanim znowu odwiedza mnie Norek. Nie poznaję go od razu, bo ma nową czapkę: jasną i jeszcze bardziej puchatą. W ręce trzyma coś, czego nigdy nie widziałem i nie potrafię nazwać – obłe pudełko z długą, wystającą częścią. Wzdłuż tajemniczego przedmiotu ciągną się metalowe nici. Kiedy próbuję go wypytać, co to jest i do czego służy, chwytą przedmiot w dwie ręce i ciągnie palcami za druciki. To, co słyszę, nie przypomina niczego, czego w życiu doświadczyłem. Dźwięku nie zagłuszają ani buczenie stacji grzewczej, ani głosy ludzi na zewnątrz, ani bicie mojego serca. Czuję coś mokrego na policzkach, co wkrótce, mimo ogrzewania, zamienia się w małe kryształki lodu. Norek nie patrzy mi w oczy, ale jestem pewien, że wie.

Muszę jeszcze dwa lub trzy razy przenieść się do niższej komórki, ale moi towarzysze nadal mnie odwiedzają. Norek uczy mnie obsługi instrumentu, chociaż nie wychodzi mi to tak dobrze. Często przy tym szczekamy. Od Kopacza dowiaduję się, że kolejni robotnicy zachorowali – kierownik też. Nasz zmianowy ponoć uważa, że w zamarzniętej ziemi mogły być ukryte jakieś

bakterie lub wirusy, które wypuściliśmy na wolność. Tymczasem ja, mimo braku jakichkolwiek medykamentów, czuję się coraz lepiej. Kopacz pyta czasem, czy w takim razie wracam wkrótce do kopania, ale ta myśl sprawia, że jest mi gorzej. Mimo wszystko nie chcę unikać pracy, przecież to moja powinność. Obiecuję mu, że wrócę, kiedy tylko nauczę się obsługiwać instrument. Tupaczka przynosi dla mnie mój własny egzemplarz i mogę ćwiczyć, nawet kiedy jestem sam. Nauka idzie mi opornie, ale dzięki temu mam zajęcie w ciągu dnia.

Spacery z Kopaczem stają się coraz częstsze i dłuższe, a w ostatnich dniach zdarza mi się wychodzić bez niego. Nie zakładam wtedy wszystkich elementów ochronnych – nie czuję chłodu. Mam wrażenie, że kombinezon i hełm oddzielają mnie od ciepła w powietrzu. Spoglądam w dół na ciągnący się lej i coś w środku mnie boli, ale w bardzo przyjemny, znajomy sposób. Czuję bijące spod ziemi gorąco, jeszcze nieodkryte, ale czekające na nas. Kropelki zamarzają mi wokół oczu.

Któregoś dnia Kopacz oprócz zupy przynosi mi też warzywo. Na tle wszechobecnej szarości jego bladozielony kolor bije po oczach.

– Jest dużo lepsze niż ostatnio – przekonuje. – Prawie nie smakuje jak woda.

Ma rację. Faktura, temperatura i smak zupełnie nie przypominają naszego normalnego pokarmu. Warzywo chrupie, rozpryskuje mi się po języku i jest złożone w smaku. Najpierw gorzkie, potem coraz słodsze. Niewiele ma wspólnego z wodą. Ciężko mi uwierzyć, że faktycznie Kopaczowi na początku wydało się nudne. Jeśli w czasie słuchania instrumentu Norka otworzyły mi się po raz pierwszy uszy, teraz po raz pierwszy otworzył mi się język.

– Już rozumiem, dlaczego to jest warte tego wysiłku – podsumowuję i gryzę jeszcze raz, zupełnie nie oszczędzając małego zielonego patyczka. Im dłużej siedzę z Kopaczem, tym smaczniejsze mi się wydaje.

Zupełnie inaczej spędzam czas z Norkiem. Zwykle pokazuje mi, jak obsługiwać instrument. Na początku próbujemy odtworzyć rytm, w którym kopię w czasie pracy, ale zupełnie mi to nie odpowiada. Od słuchania włosy stają mi dęba. Norek uczy mnie więc różnych innych rytmów i często przy tym dziwnie,

przeciągle wymawia słowa, jakby po cichu krzycząc. Ja tego nie robię, nie umiem skupić się na dwóch rzeczach naraz. Boję się dnia, kiedy zacznie mi to wybijanie wychodzić, ale mimo tego ćwiczę, codziennie i dużo. Kiedy wymyślam własne nieudolne rytmy, nie tak zgrabne i ładne jak te Norka, pod palcami czuję ciepło. To wrażenie jest dla mnie obezwładniająco przyjemne i codziennie pragnę doświadczać go na nowo. Z opuszków palców schodzi mi skóra, a w ustach mam tylko smak metalu, ale w głowie, w klatce piersiowej i w brzuchu czuję się dobrze, czuję ciepło.

Wkrótce zaczynam spać bez kombinezonu, a niedługo potem i bez ogrzewania. Ciepło mieszka w moim wnętrzu i niekontrolowanie wypływa na powierzchnię skóry. Tupaczka przychodzi mnie posłuchać. Proponuję, żeby zdjęła część stroju, i siedzimy oboje z odkrytymi torsami. Nasze oddechy zmieniają się w obłoczki pary, przez które przeciskają się dźwięki mojego instrumentu. W komórcie panuje chłód, ale nam jest gorąco. Tupaczka zaczyna mruczeć przeciągle i rytmicznie jakieś swoje własne słowa. Jej głos jest cichy i ochrypły, jakby nie chciała zagłuszyć rytmu. Pochyliam nad nią głowę, żeby lepiej słyszeć, i czuję jej oddech na policzku. Para zamarza na mojej twarzy i szczypie. Biję w metalowe nici tak długo, aż z palców zaczyna lecieć krew. Patrzę jej w oczy i ich kolory, wszystkie ich barwy, eksplodują w mojej głowie. Bardzo trudno jest oderwać wzrok, ale wiem, że jeśli tego nie zrobię, to utonę. Wygenerowane ciepło jeszcze długo nie znajduje ujścia z ciała.

Tej nocy przewracam się z boku na bok i nie mogę zasnąć. Tym razem to nie strach przed snami, bo nie boję się już człowieka z nagim torsem. Witam się z nim co wieczór i wiem, że się rozumiemy. Niemal wyczekuję widoku jego twarzy w mojej głowie. Teraz jednak nie przychodzi, a ja nie potrafię usnąć. Wreszcie zrzucaam z siebie pościel. Bez niej nadal jest mi ciepło, ale ostatecznie udaje mi się odpłynąć. Rano budzę się skostniały, lecz wypoczęty i pewny siebie.

Wiem, że to ten dzień. Nie ma sensu tego odkładać. Wychodzę na zewnątrz, nie przejmując się kombinezonem, i patrzę w dół, chcę dostrzec ciepło bijące z leja. Nie da się go zobaczyć, więc

zamykam oczy i czuję je w łędźwiach. Wypuszczam z ust szare obłoczki. Tęsknię do ciepła, do gorąca, ale muszę poczekać.

Przychodzą o normalnej porze. Jemy wspólnie zupeł, trochę żartujemy. Kopacz opowiada o kobiecie, którą poznał wśród robotników. Tupaczka czyta nam swoje nowe słowa. Norek produkuje dźwięki instrumentu, my szepczemy lub krzyczymy do rytmu.

W końcu kolej na mnie. Naprawdę długo pracowałem nad tymi dźwiękami, w zupełnej samotności. To moje własne dzieło. Nie ma słów, nie jestem dobry w słowach, ale kiedy wybijam rytm, czuję się tak, jak kiedy po raz pierwszy słuchałem Norka. Reszta patrzy na mnie okrągłymi, mokrymi oczami i wiem, że stworzyłem coś prawdziwego. Próbuję jakoś nazwać naszą grupę, ale żadne odpowiednie określenie nie przychodzi mi do głowy. Mimo to rozumiem, co wobec nich czuję, i jestem spokojny.

Wiem, że to ten dzień. Kończę wybijać rytm, a zimne powietrze szczypie mnie w nosie. Patrzymy na siebie i nikt nic nie mówi, ale widzę, jak Tupaczka ociera policzki i ściąga palcami zmarznięte kryształki. Kopacz wyciąga do mnie dłoń, a ja ściskam ją mocno. Jego skóra jest szorstka i ciepła.

–Do zobaczenia jutro przy łopacie – mówi wesoło, ale ja nie odpowiadam.

Pamiętam o swojej obietnicy i nie zamierzam jej złamać. Jednak nie wrócę już do świata bez rozmów, smaku, koloru i ciepła.

Kiedy zostaję sam, nie idę spać, nie kładę się nawet do łóżka. Ściągam kombinezon i wychodzę na zewnątrz. Choć nie jest mi zimno, brakuje mi gorąca. Chciałbym czuć je bardziej. Drzę z ekscytacji na myśl o cieple rozlewającym się po ciele, obezwładniającym moją wolną wolę, okalającym mnie od stóp do głów. Podchodzę do barierki i opieram się o nią, a jej zimno penetruje nagą skórę. Przeszkadza mi to, mam wrażenie, że atmosfera na zewnątrz wysysa ciepło. Powietrze mnie zabija. Chciałbym, żeby było mi teraz gorąco – bez żadnych grzałek, kombinezonów i futer. Tak jak wtedy, kiedy z nagim torsem wybijałem rytm dla Tupaczki.

Wiem, gdzie mogę to poczuć.

Ostrożnie przekładam nogę ponad barierką i nawet się nie rozglądam. Nie zerkam na komórkę za mną, kiedy decyduję się na skok w głąb leja. Do serca Ziemi.

Nigdy już nie będzie mi zimno.

O autorce

Alicja Kaczmarek – z wykształcenia arabistka i rusycystka. Piszę, odkąd pamiętam, i tak samo długo publikuję w internecie swoje teksty. Uwielbiam dobre historie w każdej formie, a także piec wszystko, co słodkie.

Współpraca:



ZWYCIĘŻONY

